

THE MASTER OF ACTION AND SUSPENSE

ALISTAIR MACLEAN

RIVER OF DEATH

'A magnificent
storyteller'
Sunday Mirror



ALISTAIR MACLEAN

Rzeka Śmierci

Prolog

Na nad starożytny grecki monaster nadciągały ciemności. Pierwsze wieczorne gwiazdy zaczynały migotać na bezchmurnym egejskim niebie. Morze było spokojne. Powietrze, jak to często opisywano, naprawdę pachniało winem i różami. Żółty księżyc stał prawie w pełni. Właśnie wychylił się zza horyzontu, kąpiąc w swej łagodnej i delikatnej poświacie lekko pofałdowany krajobraz, co nadawało nieco magicznego nastroju ciemnym i odpychającym zarysom monasteru, który – na przekór wszystkiemu – drzemał spokojnie tak samo jak przez niezliczone wieki.

W tym momencie trudno było jednak uznać nastrój panujący wewnątrz monasteru za równie magiczny, jak na zewnątrz. Magia rozwiała się i nikt nie drzemał, ponieważ spokój zniknął z tego miejsca. Ciemność ustąpiła miejsca smrodliwym lampom naftowym, i trudno było uznać ich zapach za winny i różany. Ośmiu umundurowanych esesmanów nosiło dębowe skrzynie przez wyłożony kamiennymi płytami hall. Okute brązem skrzynie były małe, lecz tak ciężkie, że trzeba było czterech mężczyzn, by unieść każdą z nich. Operacją tą kierował sierżant.

Wszystkiemu zaś przyglądało się czterech mężczyzn, z których dwaj byli wysokiej rangi oficerami SS. Pierwszy z nich, Wolfgang von Manteuffel, wysoki, szczupły, o zimnych, niebieskich oczach, mimo swoich trzydziestu pięciu lat był już w stopniu generała majora. Drugim był Heinrich Spatz; krępy, śniady mężczyzna, uważający, że życie polega głównie na patrzeniu na wszystkich wilkiem. Był w stopniu pułkownika i miał tyle samo lat, co jego kolega. Pozostali widzowie tego spektaklu to dwaj mnisi w zakapturzonych habitach. Byli to starzy i dumni ludzie, choć w tym momencie duma mieszała się ze strachem. Nie odrywali oczu od dębowych skrzynek. Von Manteuffel szturchnął sierżanta końcem oprawionej w złoto malachitowej laski, którą z trudem można było uznać za regulaminowe wyposażenie oficerów SS.

–Sierżancie! Myślę, że zrobimy wrywkową kontrolę.

Sierżant wydał rozkaz najbliższej grupie tragarzy, którzy nie bez trudu postawili swój ciężar na podłodze. Przyklęknął, odbił wbite w żelazne okucia szpilki i uniósł wieko. Skrzypienie starych żelaznych zamków było najlepszym świadectwem tego, że wiele lat musiało upłynąć od czasu, kiedy po raz ostatni dokonywano takiej operacji. Nawet w świetle migających i kopnących lamp naftowych zawartość skrzyni lśniła, jakby była czymś żywym. Skrzynia zawierała tysiące złotych monet, które błyszcząły i wyglądały tak świeżo, jakby wybito je właśnie tego dnia. Von Manteuffel w zamyśleniu poruszył je końcem swojej laski z zadowoleniem przyjrzał się ich połyskowi i odwrócił się do Spatza.

–Sądziś, Heinrichu, że są prawdziwe?

–Jestem zaskoczony – odparł Spatz. Nie wyglądał jednak na takiego. – Aż mi

brakuje słów. Czyżbyś sądził, że pobożni ojcuzłkowie handlowali śmieciem?

–W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać – von Manteuffel ze smutkiem potrząsnął głową.

Jeden z mnichów wykazując wielką siłę woli, ale i sporo włożonego w ten gest wysiłku, oderwał wzrok od błyszczącej skrzynki i spojrzał na von Manteuffla. Był to bardzo szczupły mężczyzna, stary i mocno przygarbiony – musiał mieć bliżej dziewięćdziesiątki niż osiemdziesiątki. Jego twarz była bez wyrazu, ale niewiele mógł zrobić, by ukryć “mowę” swoich oczu.

–Te skarby należą do Boga – odezwał się. – I strzeżliśmy ich przez stulecia. Teraz złamaliśmy nasze śluby.

–Nie powinienes przypisywać sobie całej zasługi – odparł von Manteuffel. – Pomogliśmy ci. Ale nie zamartwiaj się. Będziemy tego strzec zamiast was.

–To prawda – poparł go Spatz. Nie trać wiary, Ojczy. Z pewnością okazemy się warci tego posłannictwa.

Wszyscy dalej stali w milczeniu, aż zabrano ostatnią skrzynię. Dopiero wtedy von Manteuffel wyciągnął rękę w stronę ciężkich, dębowych drzwi.

–Dołączcie do swoich braci. Jestem pewien, że wszyscy zostaniecie uwolnieni, kiedy tylko nasze samoloty odlecą.

Dwaj starzy ludzie wykonali polecenie. Wyraźnie byli przybici i załamani nie tylko na duchu, ale i na ciele. Von Manteuffel zamknął za nimi drzwi i zablokował je dwoma sztabami. Po chwili weszli żołnierze, wtaczając pięćdziesięcioletnią beczkę z benzyną, którą ułożyli na boku tuż przed drzwiami. Było jasne, że wcześniej zostali dokładnie poinstruowani.

Jeden z żołnierzy wybił szpunt beczki, a drugi wysypywał prochem ścieżkę aż do drzwi wejściowych. Ponad połowa zawartości beczki wylała się na posadzkę; część przesączyła się nawet pod dębowe drzwi. Żołnierz wyraźnie był zadowolony, że trochę benzyny zaoszczędzono. Ostatni podeszli do drzwi wyjściowych von Manteuffel i Spatz. Von Manteuffel zapalił zapałkę i rzucił ją na prochowy lont. Z wyrazu jego twarzy można było wnioskować, że siedzi właśnie w kościele...

*** * ***

Łądowisko znajdowało się w odległości zaledwie dwóch minut marszu. Zanim obaj esesmani dotarli tam, żołnierze skończyli już ładować i umocowywać skrzynie w dwóch wielkich junkersach Ju-88 stojących obok siebie na polu startowym, których silniki pracowały na wolnych obrotach. Na rozkaz von Manteuffla żołnierze pobiegli

do stojącego dalej samolotu i weszli na jego pokład. Obaj oficerowie, chcąc podkreślić swoją wyższość, powoli podeszli do drugiej maszyny. Trzy minuty później oba Ju-88 były już w powietrzu. W kradzieży, szabrze i plądrowaniu krzyżacka sprawność nie miała sobie równych.

W ogonie prowadzącego samolotu, za rzędami skrzynek starannie owiniętych przymocowanymi do podłogi siatkami, siedzieli von Manteuffel i Spatz ze szklaneczkami w dłoniach. Wyglądali na spokojnych i beztroskich. Obydwaj mieli miny ludzi zadowolonych z dobrze spełnionego obowiązku. Spatz wyjrzał leniwie przez okienko. Nie miał najmniejszych kłopotów ze zlokalizowaniem tego, czego szukał. Trzysta, może pięćset metrów pod lekko pochylonym skrzydłem wściekle palił się wielki budynek oświetlając ziemię, wybrzeże i morze na dobry kilometr. Spatz dotknął ramienia von Manteuffla, by podziwiać ten widok. Von Manteuffel wyjrzał na moment przez okno i obojętnie odwrócił się w drugą stronę.

–Wojna jest piekłem – powiedział sącząc swój koniak – oczywiście zdobyty we Francji, i najbliższej stojącą skrzynkę stuknął swą laską.

–Nasz gruby przyjaciel bierze dla siebie najtłustsze kęski. Na ile byś ocenił jego najnowszy nabytek.

–Nie jestem fachowcem, Wolfgangu – Spatz zastanowił się. – Sto milionów marek?

–Ostrożny szacunek, drogi Heinrichu. Bardzo ostrożny. I pomyśleć, że on za granicą zgromadził już ponad miliard.

–Słyszałem, że więcej. W każdym razie możemy powiedzieć, że marszałek polny nie ma apetytu godnego Gargantuy. Wystarczy na niego spojrzeć. Czy naprawdę sądzisz, że któregoś dnia zobaczy to na własne oczy? – von Manteuffel uśmiechnął się i upił łyk koniaku. – Jak długo, twoim zdaniem, to wszystko jeszcze potrwa? – spytał.

–Jak długo utrzyma się Trzecia Rzesza?... Tygodnie?

–Nawet tego nie, jeżeli nasz ukochany fuhrer pozostanie naczelnym wodzem.

–A ja, niestety, mam do niego dołączyć w Berlinie, gdzie pozostanę aż do gorzkiego końca – Spatz wyglądał na zmartwionego.

–Do samego końca, Heinrichu?

–Głupie przejęzyczenie – Spatz skrzywił się z niesmakiem. – Prawie do gorzkiego końca.

–A ja będę w Wilhelmshaven.

–Naturalnie. Jakie hasło?

Von Manteuffel myślał przez chwilę zanim powiedział:

–Walczymy aż do śmierci.

Spatz wypił maleńki łyk koniaku i smutno się uśmiechnął.

–Wolfgangu, nigdy nie było ci do twarzy z cynizmem.

*** * ***

Nawet w najlepszych swoich czasach doki Wilhelmshaven nie stanowiły dobrego miejsca na wyprawy turystyczne. A zwłaszcza ten dzień nie sprzyjał turystyce. Było ciemno, zimno i padał deszcz. Panujące ciemności były jak najbardziej zrozumiałe, ponieważ baza okrętów podwodnych na Morzu Północnym, a właściwie to, co z niej zostało, przygotowywała się do kolejnego nalotu lancasterów RAF-u. Tylko jedno miejsce było jako tako oświetlone rozlanym światłem ze słabych żarówek osłoniętych kapturami. Mimo że teren ten był ledwo widoczny, to i tak wyróżniał się z otoczenia, żeby – dla lecących już z pewnością eskadr bombowców – stanowić doskonały punkt zaczepienia, który uchwycą leżący w dziobach bombardierzy. Nikt w Wilhelmshaven nie czuł się szczególnie uszczęśliwiony tymi światłami, ale nikt też nie palił się zbytnio, by zakwestionować rozkazy generała SS. Zławszcza, że ten generał posiadał pełnomocnictwa marszałka polnego Rzeszy, Goeringa.

Generał von Manteuffel tkwił na mostku jednego z ostatnich hitlerowskich u-bootów dalekiego zasięgu. Za nim stał kapitan u-boota, który najwyraźniej nie był zachwycony perspektywą przyłapania przez RAF z cumami na nabrzeżu. A kapitan miał pewność, że samoloty RAF-u wkrótce się pojawią. Miał minę człowieka, którego aż świerzbi, żeby dla uspokojenia nerwów pochodzić sobie tam i z powrotem. Tyle tylko, że na wysokim mostku łodzi podwodnej nie było na to miejsca. Chrząknął, oznajmiając w ten charakterystyczny sposób, że zamierza powiedzieć coś szalenie ważnego.

–Generale von Manteuffel. Nalegam, by natychmiast odbić od brzegu. Znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

–Mój drogi kapitanie Reinhard. Podobnie jak pan, nie jestem fanatykiem śmiertelnych niebezpieczeństw – von Manteuffel nie sprawiał jednak wrażenia człowieka przejmującego się niebezpieczeństwami. Śmiertelnymi lub nie. – Tylko, że marszałek ma zwyczaj szybkiego załatwiania się z podwładnymi nie wykonującymi jego rozkazów.

–Wezmę to ryzyko na siebie – nie tylko w głosie kapitana Reinharda wyczuwało się przerażenie. On był cały przerażony. – Jestem pewien, że admirał Doenitz...

–Nie miałem na myśli pana i admirała Doenitza. Myślałem o sobie i o marszałku Rzeszy.

–Te lancastery mają na pokładzie dziesięcotonowe bomby – zaznaczył Reinhard ponuro. – Dziesięcotonowe! Dwie takie bomby wystarczyły, żeby wykończyć “Tirpitz”, najpotężniejszy okręt wojenny na świecie. Czy potrafi pan sobie wyobrazić...

–Potrafię. I to aż za dobrze. Ale potrafię sobie również wyobrazić wściekłość marszałka. Druga ciężarówka, Bóg jeden wie dlaczego, się spóźnia. Czekamy.

Odwrócił się w stronę kei, na której grupy mężczyzn z wojskowej ciężarówki w pośpiechu wyładowywały skrzynie i wносиły je po trapie do otwartego na dziobie luku. Były to małe skrzynie, ale bardzo ciężkie; bez wątplenia były to te same dębowe skrzynie zrabowane z greckiego monasteru. Nikt nie musiał zmuszać tych ludzi do większego wysiłku. Oni również wiedzieli o nadlatujących lancasterach i mieli pełną świadomość niebezpieczeństwa wiszącego nad ich głowami.

Na mostku zadzwonił telefon. Kapitan Reinhard podniósł słuchawkę, wysłuchał niewidzialnego rozmówcy i odwrócił się do von Manteuffla.

–Pilny telefon z Berlina, generale. Może pan przyjąć go tutaj, albo na dole.

–Może być tutaj – mruknął von Manteuffel i odebrał słuchawkę z rąk Reinharda. – Ach! Pułkownik Spatz.

–Walczymy aż do śmierci. Rosjanie stoją u bram Berlina – relacjonował Spatz.

–Mój Boże! Tak szybko? – von Manteuffel wydawał się szczerze zaniepokojony tą informacją. Zresztą naprawdę powinien się zmartwić. – Błogosławię pana, pułkowniku Spatz. Wiem, że spełni pan swój obowiązek wobec ojczyzny.

–Tak jak zrobiłby to każdy prawdziwy Niemiec. – Ton głosu Spatza, słyszalny na mostku również przez kapitana Reinharda, był kunsztem aktorskiego zdecydowania i pogodzenia się z losem. – Padamy tam, gdzie walczymy. Ostatni samolot wystartuje stąd za pięć minut.

–Moje nadzieje i modlitwa będą cię chronić, drogi Heinrichu! Heil Hiller!

Von Manteuffel odłożył słuchawkę i spojrzał na keję. Na moment zastygł, po chwili odwrócił się do kapitana.

–Spójrz! Tam! Przyjechała wreszcie druga ciężarówka. Do załadunku proszę wysłać wszystkich, którzy są zbędni. Wszyscy ludzie, którzy byli zbędni, już pracują przy załadunku – kapitan Reinhard wydawał się szczególnie zrezygnowany.

–Wszyscy chcą żyć, tak samo jak pan, czy ja.

*** * ***

Wysoko na niebie nad Morzem Północnym, powietrze huczało i drżało od przejmującego huku. Na pokładzie lancastera, prowadzącego eskadrę, kapitan odwrócił się do nawigatora.

–Jaki jest nasz spodziewany czas przylotu nad cel?

–Dwadzieścia dwie minuty – odparł nawigator. – Dzisiejszej nocy niech niebiosa mają w opiece tych biedaków.

–Nie przejmuj się biedakami w Wilhelmshaven – zwrócił mu uwagę kapitan. – Poświęć trochę czasu biedakom w powietrzu, czyli nam. Muszą nas już mieć na swoich radarach.

*** * ***

W tej samej chwili do Wilhelmshaven zbliżał się ze wschodu inny samolot – junkers Ju-88. Na jego pokładzie znajdowało się tylko dwóch ludzi, co nie było oszałamiającą liczbą, jeżeli zważyć, że miał to być ostatni samolot odlatujący z oblężonego Berlina. Pułkownik Spatz, siedzący tuż za pilotem, wyglądał na bardzo zaniepokojonego i nieszczęśliwego. Ten stan nie był wywołany faktem nieprzerwanych wstrząsów junkersa powodowanych przez wybuchy pocisków przeciwlotniczych. Praktycznie cała trasa ich lotu przebiegała nad terenami nazwanymi zachodnią aliancką strefą okupacyjną. Pułkownik Spatz miał jednak inny problem. Nerwowo zerknął na zegarek i zniecierpliwiony odwrócił się w stronę pilota.

–Szybciej, człowieku, szybciej!

–Niemożliwe, pułkowniku...

*** * ***

Zarówno żołnierze, jak i marynarze zwijali się jak szaleni, by przed nalotem uporać się z przenoszeniem skrzyń ze skarbem z ciężarówki na okręt podwodny. Nagle rozległy się pulsujące dźwięki syren ogłaszających alarm przeciwlotniczy. Jak na komendę, mając pełną świadomość tego, że nalot był nieunikniony, wszyscy znieruchomieli i z niepokojem spoglądali w niebo. I równie nagle, również jak na komendę, powrócili do swojej pracy. Wydawałoby się, że już wcześniej osiągnęli maksimum szybkości i wydajności, ale dopiero teraz udowodnili, że stać ich na więcej. Jedna rzecz to pewność, że nieprzyjaciel przyłeci, ale zupełnie inna sprawa to świadomość, że ostatnie nadzieje rozwiały się: – lancastery były już nad głowami.

Pięć minut później spadła pierwsza bomba.

Po piętnastu minutach baza morska w Wilhelmshaven wyglądała jak jedno wielkie ognisko. Von Manteuffel mógłby teraz rozkazać, by zapalono potężne lampy łukowe, a nawet reflektory, gdyby zaszła taka potrzeba. Ich światło nie przyciągnęłoby już nikogo. Doki zamieniły się w piekło gęstego i duszącego dymu, przez który przebijały wielkie słupy ognia. W dymie tym chodzili ludzie – wyglądali jak postacie z poematów Dantego. Poruszali się jak we mgle, nie zważając na to, co się wokół nich działo. Postacie te obojętne były na huk silników samolotowych, wybuchy bomb rozrywające bębunki w uszach, suche trzaski dział ciężkiej artylerii przeciwlotniczej, jak i nieprzerwany stukot pistoletów maszynowych; nawet jeżeli trudno było sobie wyobrazić, co pragnęli osiągnąć strzelający z tych pistoletów. Esesmani i marynarze, którzy mimo gorących pragnień poruszali się coraz wolniej pod ciężarem ciężkich skrzynek, kontynuowali swoją – teraz już – fatalistyczną pracę ładowania okrętu podwodnego.

Na smukłej wieży okrętu zarówno von Manteuffel jak i kapitan Reinhard krztusili się gęstym, cuchnącym dymem palącej się ropy. Po policzkach obu mężczyzn płynęły łzy.

–Na Boga! – Jęknął kapitan Reinhard. – Ta ostatnia bomba to była dziesięcotonówka. I spadła prosto na dach schronu okrętów podwodnych. Trzy lub sześć metrów zbrojonego betonu. I co z tego? Teraz nie został tam chyba już nikt żywy. Na Boga! Generale! Ruszajmy! I tak dotąd mieliśmy diabelskie szczęście. Możemy wrócić, kiedy będzie już po wszystkim.

–Niech pan spojrzy, kapitanie. Nalot jest już w punkcie kulminacyjnym. Niech pan spróbuje wydostać się teraz z portu, a trzeba to robić ostrożnie, jak pan wie. Szanse na to, że któraś z tych bomb zmiecie nas z powierzchni wody są takie same, jak na trafienie przy kei.

–Być może, generale, być może. Ale przynajmniej coś byśmy robili. – Reinhard zamilkł na moment; po chwili kontynuował: – Nie chciałbym pana urazić, generale, ale z pewnością wie pan, że statkiem dowodzi jego kapitan?

–Jako żołnierz mam tego świadomość, kapitanie. Wiem również, że przejmuje pan dowodzenie po rzuceniu cum i ruszeniu w drogę. Na razie ładujemy towar...

–Mogą mnie za to postawić pod sąd wojenny, generale, ale i tak to powiem. Pan jest nieludzki. Siedzi w panu diabeł.

–To prawda – potwierdził zamyślony von Manteuffel. – To prawda...

Na lotnisku w Wilhelmshaven ledwo widoczny samolot, który dopiero po dłuższej chwili udało się zidentyfikować: junkers Ju-88, tak nieudanie lądował, że istniało poważne przypuszczenie, iż jego podwozie nie wytrzyma wstrząsu. Wstrząs był jednak zrozumiały, ponieważ spływający z nad bombardowanej bazy dym był tak gęsty, że pilot na ślepo musiał oceniać wysokość samolotu nad pasem startowym. W normalnych warunkach nigdy by się nawet nie odważył podejść do lądowania, ale sytuacja była wyjątkowa. Zanim jeszcze samolot zakończył kołowanie, pułkownik Spatz – człowiek o wielkim darze przekonywania – otworzył już drzwi i z niepokojem rozglądał się po lotnisku, szukając samochodu. Od chwili, gdy wreszcie go dostrzegł, otwarty osobowy mercedes, po dwudziestu sekundach, był już na jego siedzeniu, ponaglając kierowcę do jak najszybszej jazdy.

*** * ***

Dym otaczający okręt podwodny był bardziej gęsty i gryzący niż przed kilkoma minutami. Nagły podmuch porywistego wiatru, wywołany bez wątpienia szalejącym pożarem, dawał jednak nadzieję na szybkie polepszenie warunków. Von Manteuffel dostrzegł jednak to, co desperacko pragnął wreszcie dostrzec przy całym swoim pozornym spokojem.

–Nareszcie, kapitanie Reinhard. Nareszcie. Ostatnia skrzynia jest już na pokładzie. Proszę wezwać na pokład swoich ludzi i niech diabeł wstąpi teraz w pana.

Kapitan Reinhard był w takim stanie, że trudno było sobie wyobrazić, co spowodowałoby poganie go. Wreszcie, przekrzykując narastający wciąż harmider, wezwał swoich ludzi na pokład, rozkazał rzucić cumy i ruszyć małą naprzód. Okręt podwodny powoli zaczął oddalać się od kei, nim jeszcze ostatni marynarz wdrapał się po chybotliwym trapie. Nie zdążył jednak dostatecznie odpłynąć, gdy pisk opon i warkot silnika zwróciły uwagę von Manteuffla.

Zanim samochód zdążył się całkiem zatrzymać, z mercedesa wyskoczył Spatz. Potknął się. Odzyskał równowagę i wpatrywał się w powoli płynący okręt. Twarz miał wykrzywioną desperackim lękiem. – Wolfgangu! – głos Spatza nie był krzykiem, wręcz rykiem: – Wolfgangu! Na litość boską, zaczekaj! – Nagle wyraz jego twarzy zmienił się. Lęk ustąpił miejsca całkowitemu niedowierzaniu: von Manteuffel mierzył do niego z pistoletu. Przez sekundę Spatz trwał nieruchomo, zszokowany, sparaliżowany niewiarą. Wreszcie zrozumiał, w czym mu dopomógł strzał z pistoletu von Manteuffla, i rzucił się na ziemię. Pocisk wzbił trochę kurzu obok niego. Spatz wydobył swojego lugera i opróżnił jego magazynek, strzelając do wolno płynącego okrętu podwodnego. Był to zupełnie nieprzemyślany gest dający jedynie upust jego emocjom. Smukła wieża bojowa okrętu była jednak pusta, gdyż von Manteuffel i Reinhard wykazali się oczywiście ostrożnością i schowali za stalowe ściany, od których kule Spatza odbijały się bezsilnie. Po chwili w oparach skłębionego dymu okręt podwodny zniknął zupełnie z oczu.

Spatz podniósł się powoli, spoglądając z gorzkim gniewem w stronę gdzie zniknął okręt.

–Niech twoja dusza dusi się w piekle, generale majorze von Manteuffel – odezwał się wreszcie cicho. – Fundusze NSDAP, SS, część prywatnych skarbów Hillera i Goeringa, a teraz jeszcze skarby greckie. Mój drogi i zaufany przyjacielu.

Uśmiechnął się z ironią.

–Ale świat jest mały, mój drogi Wolfgangu, i odnajdę cię. Skoro Trzecia Rzesza upadła, to ty będziesz celem mojego życia!

Nie spiesząc się zmienił magazynek, otrzepał błoto z munduru i powoli podszedł do swojego mercedesa.

W junkersie JU-88 siedział pilot i przeglądał mapę, gdy Spatz wszedł na pokład samolotu i zajął fotel tuż za nim. Pilot spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

–Zbiorniki? – spytał Spatz.

–Pełne. Nie spodziewałem się pana, pułkowniku. Miałem właśnie startować z powrotem do Berlina.

–Madryt!

–Madryt? – zdumienie pilota było ogromne. – Ale moje rozkazy...

–Oto nowe rozkazy – oświadczył Spatz, wyciągając z kabury lugera.

Rozdział pierwszy

Kabina tego trzydziestomiejscowego samolotu była poobijana, obdrapana i brudna, a ponadto lekko cuchnęła, co dość wiernie harmonizowało z ogólnym wyglądem jej pasażerów, którzy nigdy nie znaleźliby się wśród klientów międzynarodowych linii. Tylko dwóch z nich można było uznać za wyjątki, a przynajmniej za różniących się od innych, chociaż i oni nigdy nie zakwalifikowaliby się do grona pasażerów pierwszej klasy, jako że żaden z nich nie posiadał tej pseudoarystokratycznej ogłady nabywanej dzięki prawdziwemu bogactwu i nieróbstwu. Pierwszy z nich podający się za Edwarda Hillera – w tych odludnych obszarach południowej Brazylii podawanie prawdziwego nazwiska uchodziło za nietakt – miał około trzydziestu pięciu lat; był silnie zbudowanym blondynem o twarzy twardziela. Wyglądał na Europejczyka lub Amerykanina. Wydawał się większość lotu spędzać na wyglądaniu w zamyśleniu przez okno, gdzie – prawdę mówiąc – nie było nic wartego uwagi, ponieważ pod spodem zieleniły się dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych tego samego, nie zbadanego jeszcze zakątka świata. Wszystko, co można było zobaczyć, to jedynie

kręte rzeki dorzecza Amazonki, wijące się wśród równikowego buszu wyżyny Mato Grosso.

Drugim wyjątkiem – uznanym za taki, ponieważ sprawiał wrażenie, że nie były mu obce podstawowe zasady higieny – był osobnik podający się za Serrana. Ubrany był w garnitur, wciąż jeszcze dający się określić jako biały, i miał mniej więcej tyle samo lat, co Hiller. Był szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną z wąsikami i mógł uchodzić za Meksykanina. Nie zajmował się oglądaniem krajobrazu, za to bardzo dokładnie przyglądał się Hillerowi.

–Za chwilę wylądujemy w Romono – hałaśliwie zaskrzeczał głośnik metalicznymi i prawie niezrozumiałymi słowami. – Prosimy o zapięcie pasów.

Samolot przechylił się na skrzydło, szybko wytracił wysokość i podszedł do lądowania bezpośrednio wzdłuż rzeki.

*** * ***

Kilkaset metrów poniżej mała, otwarta łódź, z przyczepionym do burty silnikiem powoli płynęła w górę rzeki. Łódź ta – która po bliższym przyjrzeniu okazała się zwykłym wrakiem – wiozła trzech pasażerów. Najwyższy z tej trójki, John Hamilton, był barczystym, silnie zbudowanym mężczyzną dobiegającym czterdziestki. Miał przenikliwe, brązowe oczy, które były bardzo wyraziste na jego brudnej, nie ogolonej twarzy pokrytej śladami niedawnych cierpień i przeżyć. Wrażenie to potęgowała jeszcze brudna, poszarpana odzież oraz pokrwawione ramię, kark i twarz. Dwaj pozostali pasażerowie w porównaniu z nim prezentowali się znośnie. Byli chudzi, żyłaści i dobre dziesięć lat młodsi od Hamiltona. Ich twarze, ciemnooliwkowego koloru, o bezspornie latynoskich rysach – żywe, pełne humoru i inteligencji. Bardzo podobni do siebie mogli uchodzić za bliźniaków, którymi w rzeczywistości byli. Z siebie tylko znanych powodów, lubili, by nazywać ich Ramon i Navarro. Przyglądali się Hamiltonowi – którego prawdziwe nazwisko dziwnym trafem brzmiało również Hamilton – krytycznym wzrokiem.

–Kiepsko wyglądasz – stwierdził Ramon. Navarro skinął głową na znak, że zgadza się z tą opinią.

–Każdy widzi, że dużo przeszedł. Nie wiem tylko, czy wystarczająco źle wygląda?

–Może i nie. Trochę się poprawi tu i tam... – rozstrzygnął Ramon.

Pochylił się do przodu i w ubraniu Hamiltona rozdarł jeszcze większe dziury.

Navarro przechylił się i dotknął trupa małego zwierzaka leżącego na dnie łódki. W górę podniósł zakrwawioną rękę i dodał trochę artystycznej dekoracji w tonie szkarłatu na twarzy, szyi, klatce piersiowej i barkach Hamiltona. Krytycznie przyjrzał

się swojemu dziełu.

–Mój Boże – ze smutkiem i podziwem potrząsnął głową. – Naprawdę przeszedłeś przez piekło, panie Hamilton.

* * *

Na budynku lotniska – chociaż budę tę trudno było tak nazwać – łuszczył się wytarty i wyblakły napis: “Witamy w Romono International Airport”, stanowiący swoisty hołd złożony ślepemu optymizmowi osoby, która zezwoliła na jego umieszczenie lub po prostu odwadze faceta, który go wymalował. Żaden bowiem “międzynarodowy” samolot nie mógł ani nigdy nie próbował tu wylądować. I to nie tylko dlatego, że nikt przy zdrowych zmysłach nigdy dobrowolnie nie przyleciałby do Romono, ale przede wszystkim dlatego, że jedyny trawiasty pas startowy był tak krótki, iż żaden samolot wyprodukowany później niż czterdziestoletni DC-3 nie miał cienia nadziei na pomyślne lądowanie.

Samolot zrobił podejście z biegiem rzeki, wylądował i udało mu się, nie bez trudności, zatrzymać przed walącym się terminalem.

Pasażerowie wysiadali i podchodzili do czekającego nie opodal autobusu, który miał zawieźć ich do miasta.

Serrano ostrożnie oddzielił się od Hillera dziesięcioma pasażerami, ale podczas wsiadania do autobusu nie miał już tyle szczęścia. Były wolne tylko cztery miejsca z przodu przed Hillerem, a – co za tym idzie – nie mógł już dłużej go obserwować. Teraz Hiller bardzo uważnie przyglądał się Serrana.

* * *

Łódź Hamiltona powoli zbliżała się do brzegu.

–Nie ma nic lepszego od domu, choćby był nie wiem jaki ubogi – stwierdził Hamilton. Mówiąc “ubogi” Hamilton stał się mimowolnym sprawcą poważnego niedomówienia. Romono było najzwyczajszą dżunglą slumsów, a na dodatek stanowiło wyjątkowo cuchnący przykład takich tworów.

Na lewym brzegu rzeki, celnie nazwanej Rio da Morte, stały domy – częściowo na wypełnionych odchodami bagnach, częściowo na wydartych dżungli przesiekach – otoczone lasem, wciskającym się złowrogo w każdą lukę, niecierpliwie czekającym na odzyskanie swojej własności. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że miasto zamieszkuje około trzech tysięcy mieszkańców. Prawdopodobnie jednak żyło w nim dwukrotnie więcej; trzy, cztery osoby w pokoju stanowiły normę Romono.

To przegrane, przygraniczne miasteczko było brudne, zdewastowane i nadzwyczaj

szpetne. W labiryncie ciasnych, krzyżujących się przypadkowo alejek – bo nawet przy wybujałej wyobraźni nie można ich było nazwać ulicami – stały szeregi drewnianych chałup, spelunek hazardowych, burdeli, sklepów monopolowych, wszystko w oplakany stanie, aż po wielką i fałszywą fasadę hotelu o nazwie ogłaszanej stosownym, krzykliwym neonem jako: “OTEL DE ARIS”. Tylko szczególny splot okoliczności spowodował zapewne brak liter H i P.

Nabrzeże wspaniale uzupełniało się z miasteczkiem. Trudno było powiedzieć, gdzie kończy się brzeg rzeki, a gdzie zaczyna rząd przystosowanych w domy łodzi – powinno się wymyślić jakąś nazwę na te pływające potworki, których konstrukcja opierała się prawie całkowicie na smołowanym papierze. Pomiędzy domami-łodziami widać było pływające pale, puszki po oleju, butelki, wszelkiego rodzaju śmiecie, ścieki i olbrzymie mrowie muszek. Fetor był niesamowity. Higiena, jeżeli w ogóle kiedykolwiek zabłądziła do Romono, musiała pospiesznie opuścić je już dawno temu.

Trzej mężczyźni przybili do brzegu, wysiedli i przycumowali łódkę.

–Kiedy będziecie gotowi, ruszajcie do Brasilii. Dołączę do was w Imperialu – polecił Hamilton.

–Czy mamy przygotować twoją marmurową wannę, mój książę, i podać ci twój najlepszy smoking? – spytał go Nawarro.

–Coś w tym rodzaju. Weźcie trzy apartamenty. Najlepsze. W końcu nie my płacimy za to.

–A kto płaci?

–Smith. On jeszcze o tym nie wie, oczywiście, ale zapłaci.

–Znasz pana Smitha? Znaczy, czy go spotkałeś osobiście – zainteresował się Ramon.

–Nie!

–Czy nie byłoby więc rozsądnie najpierw poczekać na zaproszenie od niego?

–Nie ma powodu, żeby czekać. Zaproszenie zagwarantowane. Moim zdaniem nasz przyjaciel musi być teraz bliski utraty zmysłów.

–Jesteś bardzo okrutny dla tego biednego pana Hillera – z wyrzutem powiedział Nawarro. – Myślę, że musiał chyba oszaleć przez te trzy dni, które spędziliśmy u twoich przyjaciół Indian Muscia.

–On nie! On jest pewny, że wie. Kiedy dotrzecie do Imperialu, siadźcie pod

telefonem i trzymajcie się z dala od swoich ulubionych spelun.

Ramon wyglądał na urażonego.

–W naszej stolicy nie ma spelunek, panie Hamilton.

–To się wkrótce zmieni.

Hamilton zostawił ich i ruszył swoją drogą w nadchodzącym zmroku przez wietrzne, zanurzone w półmroku ścieżki, aż przeszedł całe miasto dotarł do jego zachodnich granic. Tutaj, na peryferiach miasta, na samym skraju dżungli stało coś, co niegdyś mogło uchodzić za chatę z bali drewnianych, ale obecnie ledwo przypominało szałas, a i to raczej dla zwierząt niż dla ludzi. Trawą i mchem porosły powykrzywiane na wszystkie strony ściany, drzwi ledwo trzymały się w zawiasach, a w jednym oknie z trudem można było znaleźć choćby jedyną małą szybkę. Hamiltonowi udało się – nie bez trudności – wyszarpnąć drzwi z framugi i wejść do środka.

Odnalazł i zapalił zakopconą lampę naftową, która dawała mniej więcej tyle samo dymu, co światła. Z tego, co z trudem można było dostrzec w jej migotliwym blasku wynikało, że wewnątrz szałasu ściśle odpowiadało wyglądowi zewnętrznemu.

Chata była skąpo umeblowana, a właściwie ledwo zaopatrzona w sprzęt niezbędny do życia. Stała tam para wykoślawionych krzesel, stół w oplakany stanie z dwoma szufladami i kilka półek. Na kuchence znajdowały się jeszcze resztki oryginalnej emalii, widocznej na prawie całkowicie pokrytej brązową rdzą ścianie. Hamilton również przyzwyczajony był do życia w wielkim luksusie.

Usiadł ostrożnie na łóżku, które – jak łatwo można było przewidzieć – niepokojąco zaskrzypiało. Sięgnął pod łóżko, wyjął stamtąd butelkę z trudnym do określenia płynem, pociągnął duży łyk i trochę niepewnie odstawił ją na stół. Hamilton nie był sam. Postać, która pojawiła się za oknem chaty zaglądała do środka ostrożnie, co prawdopodobnie było całkiem niepotrzebne. Trudno bowiem zobaczyć z oświetlonego pomieszczenia, co dzieje się w ciemnościach za oknem, tym bardziej, że brudne okno utrudniało zobaczenie czegokolwiek. Twarz obserwatora była niewidoczna, ale nietrudno było odgadnąć jej tożsamość. Serrano był prawdopodobnie jedynym mężczyzną noszącym biały garnitur w Romono – nawet jeżeli biel ta była obecnie problematyczna. Serrano uśmiechnął się; był to uśmiech zadowolenia, rozbawienia i lekceważenia.

Hamilton wyciągnął z postrzępionych kieszeni, które kiedyś były zapinane, dwie skórzane sakiewki i zawartość jednej z nich wysypał na dłoń w niemym uwielbieniu gapiąc się na garść diamentów, które wkrótce poturlał po stole. Niepewnie sięgnął po butelkę i pokrzepił się sporym łykiem, po czym zawartość drugiej sakiewki również wysypał na stół. Tym razem były to monety. Błyszczące, szczerozłote, stare

monety. Co najmniej pięćdziesiąt sztuk.

Mówi się, że od zarania dziejów złoto przyciągało ludzi. Bez najmniejszej wątpliwości miało ono przyciągającą moc dla Serrana. Wyraźnie niepomny ryzyka swojego zdemaskowania, prawie przylepił się do jedynej szyby. Tak mocno, że ktoś spostrzegawczy i obdarzony dobrym wzrokiem mógłby dostrzec ze środka blady zarys jego twarzy. Hamilton nie był jednak ani obdarzony ostrym wzrokiem, ani spostrzegawczy, bo dalej najzwyczajniej w świecie z wyraźnym zafascynowaniem oglądał leżący przed nim skarb. To samo zresztą robił Serrano. Rozbawienie i lekceważenie zniknęły. Rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w stół i co chwilę oblizywał wargi.

Hamilton wyjął z plecaka aparat fotograficzny, wydobyl kasetę z filmem i dokładnie obejrzał jego wnętrze. Podczas tych czynności ze środka wypadły dwa diamenty i – najwyraźniej niezauważone – potoczyły się w kąt. Potem odłożył kasetę na półkę, na której leżało tandetne wyposażenie aparatu i całą swoją uwagę skupił na monetach. Wybrał jedną z nich i poddał tak dokładnym oględzinom, jakby ją widział pierwszy raz w życiu.

Moneta bez wątpienia była złota, choć nie wyglądała na żadną ze znanych monet Południowej Ameryki – wybita na niej twarz miała klasyczne rysy i ślady greckiej lub rzymskiej urody. Obejrzał jej rewers – ostre, nie zatarte litery były greckie. Hamilton westchnął, obniżył poziom tak szybko ubywającego płynu w butelce, wsypał monety z powrotem do sakiewki, zatrzymując sobie kilka z nich; schował je do kieszeni razem z sakiewką. Po chwili diamenty również znalazły swoje miejsce – w drugiej sakiewce, którą ostrożnie wsunął do pustej kieszeni. Wypił duży łyk z butelki, zgasił lampę i wyszedł z chaty. Nie trudził się dokładnym zamykaniem drzwi z tej przyczyny, że nawet gdyby były zamknięte i tak między zamkiem a framugą pozostałaby pięciocentymetrowa szpara. Chociaż zapadał już zmrok, nie potrzebował światła, aby znaleźć drogę. W ciągu minuty zniknął w labiryncie chat wykonanych z falistej blachy i tektury, które tworzyły przedmieście Romono.

Serrano przezornie odczekał pięć minut i wszedł do środka z małą latarką w ręku. Zapalił lampę naftową i postawił na półce tak, aby nie można było jej dostrzec z zewnątrz, a następnie odszukał leżące na podłodze diamenty. Podniósł je i położył na stole. Potem podszedł do półki, wziął kasetę, którą zostawił tam Hamilton i położył inną. Właśnie odkładał zabraną kasetę do diamentów na stole, kiedy nieoczekiwanie i niemile zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Hillerem, który zdecydowanie i pewnie mierzył do niego z pistoletu.

–No, no! – dobrotliwym tonem powiedział Hiller. – Kolekcjoner, jak widzę. Jak się nazywasz?

–Serrano – odparł. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. – Dlaczego trzymasz mnie na

muszce?

–W Romono trudno zamówić wizytówki, więc używam tego zamiast nich. Masz broń?

–Nie!

–Jeżeli kłamiesz i znajdę ją, to cię zabiję – Hiller był wciąż jeszcze uosobieniem dobroci. – Czy masz broń, Serrano?

Serrano powoli wsadził rękę do kieszeni.

–W klasyczny sposób przyjacielu. Spust w dwa paluszki i potem delikatnie położy ją na stole.

Serrano ostrożnie, według instrukcji, wyjął mały, obdrapany automatyczny pistolet i położył go na stole. Hiller podszedł do stołu i razem z diamentami i kasetą z filmem schował broń do kieszeni.

–Śledziłeś mnie przez cały dzień. Już na kilka godzin wcześniej, zanim wszedłem do samolotu. Widziałem ciebie również wczoraj i przedwczoraj. I prawdę mówiąc jeszcze kilka razy w poprzednim tygodniu. Naprawdę mógłbyś kupić inny garnitur, Serrano. Tajniak, który chodzi w białym garniturze nie jest żadnym tajniakiem. – Jego ton zmienił się na tyle, że Serrano ogarnął strach. – No więc, dlaczego mnie śledzisz?

–Nie chodzi mi o ciebie – odpowiedział Serrano. – Obaj interesujemy się tym samym facetem.

Hiller podniósł lufę pistoletu o dobry centymetr. Mógłby ją podnieść równie dobrze tylko o milimetr, żeby Serrano zrozumiał. Był on i tak coraz bardziej przerażony.

–Nie jestem pewien – powiedział Hiller – czy lubię, jak się mnie śledzi.

–Jezus! – Serrano przerażony był nie na żarty. – Czy zabiłbyś człowieka za coś takiego?!

–Zabicie robaka jest niczym – odparł Hiller niedbale. – Ale możesz przestać trząść portkami. Nie mam zamiaru cię zabić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie zabiłbym faceta tylko za to, że mnie śledzi. Chociaż nie wiem, czy nie połamałbym mu nóg, żeby przez parę miesięcy nie mógł łązić za nikim.

–Nikommu nic nie powiem – żarliwie przyrzekał Serrano. – Klnę się na Boga, że nic nie powiem.

–O! To ciekawe. Jeżeli już miałbyś mówić, to komu byś mówił?

–Nikommu! Komu miałbym powiedzieć? Tak mi się tylko powiedziało...

–Naprawdę? Ale może powiesz, co chciałbyś powiedzieć, gdybyś miał mówić?

–Co ja mógłbym powiedzieć? Wszystko, co wiem. To znaczy, jestem prawie pewien, że Hamilton jest na tropie czegoś wielkiego. Złoto i diamenty, coś w tym rodzaju – znalazł jakiś skarb. Wiem, że pan również jest na jego tropie, panie Hiller. Dlatego pana śledzę.

–Więc wiesz, jak się nazywam. Skąd?

–Jest pan bardzo ważnym facetem w tej części Brazylii, panie Hiller – Serrano próbował podlizać się, ale nie był w tym dobry. Najwyraźniej niespodziewanie przyszło mu coś na myśl, bo nagle ożywił się i powiedział:

–Skoro obaj chcemy tego samego faceta, panie Hiller, więc możemy być współnikami!

–Wspólnikami?

–Ja mogę pomóc, panie Hiller – Serrano był uosobieniem gorliwości, ale czy to ze względu na perspektywę spółki, czy też ze zrozumiałego pragnienia, aby nie zostać połamanym przez Hillera. – Ja mogę panu pomóc. Przysięgam, że mogę!

–Przestraszony szczur będzie wszystko obiecywał.

–Mogę udowodnić to, co mówię – Serrano zdawał się odzyskiwać cień nadziei. – Mogę zaprowadzić pana do miejsca w odległości pięciu mil od Zaginionego Miasta.

Hiller zdziwił się, ale zaraz stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

–Co ty o nim wiesz? – powoli przychodził do siebie. – W porządku. Chyba każdy słyszał o Zaginionym Mieście. Hamilton ciągle o tym kłapie.

–Może, może... – Serrano, wyczuwając zmianę nastroju, był teraz prawie odprężony.

–Ale ilu odważyło się cztery razy go śledzić z odległości paru kilometrów? – Gdyby Serrano siedział przy stole pokerowym, to teraz wyciągnąłby się wygodnie na krześle, jak po dołożeniu asa.

Hiller coraz bardziej był zaintrygowany. Do tego stopnia, że opuścił pistolet i nawet go schował.

–Czy wiesz, w przybliżeniu, gdzie ono jest?

–W przybliżeniu? – skoro niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Serrano pozwolił sobie na zaakcentowanie swojej wyższości. – Nawet dokładnie! Rzekłbym bardzo dokładnie.

–Jeżeli wiesz, jak tam trafić, to dlaczego nie poszedłeś sam?

–Pójść tam samemu? – Serrano wyglądał na zaskoczonego. – Panie Hiller! Pan chyba jest szalony! Nie rozumie pan chyba, co pan mówi. Czy ma pan chociaż ogólne pojęcie o tym, jakie szczepy indiańskie zamieszkują te tereny?

–Pokojowe – według Biura Ochrony Indian.

–Pokojowe – Serrano pogardliwie się zaśmiał. – Pokojowe? W tym kraju nie ma dość pieniędzy, żeby zmusić tych biurowych brzuchaczy do pozostawienia ich ślicznych, klimatyzowanych biur w Brasilii i udowodnienia swoich tez. Są przerażeni, po prostu umierają ze strachu. Nawet ich agenci terenowi, a jest trochę twardzieli pomiędzy nimi – są wystraszeni i nie zbliżają się do tych terenów. Czterech z nich parę lat temu wybrało się tam, ale żaden jeszcze nie wrócił. Jeżeli oni się boją, to ja również się boję, panie Hiller.

–To stwarza poważny problem. – Nic dziwnego, że Hiller zamyślił się. – Problem, który da się jednak rozwiązać. A cóż jest tak nadzwyczajnego w tych krwiożerczych ludach? Tam zamieszkuje wiele plemion, których nie obchodzą biali ludzie i które ty i ja uznalibyśmy za cywilizowane.

Hiller najwyraźniej nie dostrzegął nic niewłaściwego w nazwaniu siebie i Serrano ludźmi cywilizowanymi.

–Ludach? Powiem panu, co w nich jest szczególnego. Oni są najbardziej bestialskimi plemionami w Mato Grosso. Co ja mówię? Oni są najbardziej bestialskimi plemionami w całej Ameryce Południowej! Nie wyszli dotąd z epoki kamienia łupanego, prawdę mówiąc są jeszcze gorsi od ludzi z tamtej epoki. Gdyby tamci tak wyrzynali się nawzajem, do dzisiaj w ogóle nie byłoby ludzi na naszej planecie. Kiedy te szczepy nie mają nic lepszego do roboty, to masakrują się; chyba po to, aby nie wyjść z wprawy. Żyją tam trzy plemiona, panie Hiller. Pierwsze to Chapate. Bóg świadkiem, że są oni wystarczająco dzicy, choć używają tylko dmuchawek. To, że sypią na strzały trochę kurary nie zmienia faktu, że kiedy cię nimi naspikują, to zostajesz tam, gdzie padłeś. Są niemal cywilizowani, można by rzec.

Plemię Hornea ma trochę inne zwyczaje. Zatruwają strzały substancją, która tylko pozbawia przytomności. Potem wloką cię do swojej osady i torturują. Słyszałem, że tortury te trwają dzień lub dwa a potem zmniejszają cię o głowę.

Ale jeżeli chodzi o uosobienie okrucieństwa to Muscia są najgorsi. Myślę, że żaden biały nawet ich nie widział. Raz czy dwa Indianie, którzy ich spotkali i do tej pory żyją

opowiadali, że są oni kanibalami. Jeżeli ktoś wygląda wyjątkowo apetycznie, to wrzucają go żywego do wrzątku. Jak na przykład homary.

Chcesz sam szukać Zaginionego Miasta otoczonego przez te wszystkie potwory? Mogę pokazać ci nawet kierunek. Ja z zewnątrz lubię patrzeć na gotującą się wodę.

–Tak, być może będę musiał jeszcze raz zastanowić się nad tym – zupełnie naturalnym gestem oddał broń Serrano. Hiller nie był złym psychologiem, gdy przyszło oceniać rozmiar ludzkiej chciwości. – Gdzie mieszkasz? – spytał.

–W Hotelu de Paris.

–A gdybyś spotkał mnie w barze?

–Nigdy przedtem pana nie widziałem.

*** * ***

Najlepszy przewodnik po dobrych lokalach Ameryki Południowej miałby kłopoty z umieszczeniem w spisie baru hotelu de Paris w Romono. Bar nie był dziełem sztuki. Tynk ze ścian pomalowanych na nieokreślony kolor łuszczył się i pokryty był bąblami. Rozłupująca się drewniana podłoga czerniała, brudna i nierówna. Grubo ciosana drewniana lada baru nosiła ślady upływu czasu: tysiące rozlanych drinków i tysiące zgaszonych niedopałków. Nie było to miejsce dla wybrednych.

Klientela na szczęście nie była zanadto wymagająca. Składała się wyłącznie z mężczyzn, w większości ubranych jak strachy na wróble. Byli oni ordynarni, nieokrzesani, brudni i ciągle pijani. Prawdę powiedziawszy byli tu tylko pijący bez umiaru. Jak najwięcej klientów – a było ich naprawdę dużo – nacierało na bar i konsumowało olbrzymie ilości czegoś, co można było tylko określić jako zwietrzałą whisky. Na sali walały się zdezelowane, powykrzywiane drewniane krzesła i przeważnie puste, chwiejące się stoły. Obywatele Romono hołowali picciu na stojąco. Wśród aktualnych klientów byli Hiller i Serrano, oddzieleni od siebie odpowiednią odległością.

W takim otoczeniu i atmosferze wejście Hamiltona nie wywołało przerażenia, co najprawdopodobniej stałoby się w luksusowych lokalach Brasillii czy Rio de Janeiro. Nawet tutaj jednak jego pojawienie się było wystarczającym powodem do wyraźnego wyciszenia się klienteli w sali. Z potarganymi włosami, tygodniowym zarostem, pokrwawioną brodą i koszulą poplamioną krwią wyglądał, jakby właśnie wrócił z jakiejś udanej, choć niechlujnie wykonanej, akcji potrójnego morderstwa. Wyraz jego twarzy – jak zwykle zresztą – nie skłaniał bywalców do towarzyskich pogaduszek. Zignorował obserwujących go i mimo że tłum przed barem składał się co najmniej z czterech szeregów ludzi, to ustępowano mu miejsca. W Romono podobne ścieżki zawsze tworzyły się przed Johnem Hamiltonem, który najwyraźniej – z różnych

zresztą powodów – cieszył się wyjątkowym poważaniem swoich współobywateli.

Duży, bardzo tłusty barman – szef czterech mężczyzn serwujących non stop alkohol – szybko skierował się ku Hamiltonowi. Jego jajowata, łysa głowa lśniła w świetle. Może dlatego przekornie nazywano go Kędzierzawy.

–Panie Hamilton!

–Whisky.

–Dobry Boże! Co się stało, panie Hamilton?

–Ogłuchłeś?

–Już się robi, panie Hamilton.

Kędzierzawy sięgnął pod ladę, wyjął butelkę “na szczególne okazje” i nalał hojną ręką szklaneczkę. To, że Hamilton był tu klientem uprzywilejowanym wyraźnie nie wzbudzało zazdrości gapiów. I to bynajmniej nie dlatego, że wrodzona kurtuazja każdego z nich nie pozwalała im na kłótnie. Hamilton bowiem już kiedyś w przeszłości zademonstrował, co robi z facetami wtrącającymi się w sprawy, które uważał za osobiste. Zrobił to tylko raz, ale ten raz wystarczył.

Twarz Kędzierzawego, zarówno jak i twarze jego pozostałych klientów, wyrażały wprost błaganie o zaspokojenie ciekawości. Wszyscy jednak wiedzieli, że John nigdy nikomu się nie zwierza. Hamilton rzucił dwie greckie monety na ladę. Hiller, który z bliska go obserwował, nagle znieruchomiał. Podobnie jak inni.

–Bank zamknięty – powiedział Hamilton. – Czy to wystarczy?

Kędzierzawy podniósł dwie błyszczące monety i przyglądał się im z niekłamanym uwielbieniem.

–Czy to wystarczy? Czy wystarczy? Tak, panie Hamilton. Myślę, że to wystarczy! Złoto! Najprawdziwsze złoto! Będzie pan mógł za to mieć olbrzymią ilość szkockiej, panie Hamilton. Naprawdę dużo. Jedną z nich zatrzymam dla siebie. Tak, proszę pana. A drugą zaniosę do banku i oszacuję.

–Jak chcesz – powiedział obojętnie Hamilton.

Kędzierzawy przyglądał się monecie bardzo uważnie i w końcu zapytał:

–Chyba greckie?

–Na to wygląda – odparł Hamilton z tą samą obojętnością.

Upił trochę szkockiej i uważnie przyjrzał się Kędzierzawemu.

–Chyba ci się nie śniło zapytać mnie, czy te monety przywiozłem z podróży do Grecji?

–Oczywiście, że nie – odpowiedział Kędzierzawy śpiesznie. – Oczywiście, że nie – powtórzył. – Może zawołam doktora, panie Hamilton?

–Dzięki, ale to nie jest moja krew.

–Dużo ich było? To jest, chciałem zapytać kto na pana napadł?

–Dokładnie dwóch. Horena. Jak zwykle.

Chociaż wielu ludzi przy barze wciąż jeszcze w milczeniu gapilo się na Hamiltona lub na monety, to gwar zaczął narastać. Hiller ze szklanką w ręku, rozpychając się łokciami, wytrwale torował sobie drogę do Hamiltona, który spojrzał na niego bez entuzjazmu.

–Mam nadzieję, że mi wybaczysz – powiedział Hiller – nie chcę być natrętny. Rozumiem, że po utarczce z łowcami głów człowiek chciałby mieć trochę spokoju i ciszy. Ale mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego. Uwierz mi. Czy można na słówko?

–O co chodzi? – ton Hamiltona w najmniejszym stopniu nie był zachęcający. – Nie chcę dyskutować o interesach, a zakładam, że chodzi o interes, kiedy połowa ludzi w barze podsłuchuje, o czym mówię.

Hiller rozejrzał się. Rzeczywiście. Ich rozmowie przysłuchiwano się z wielką uwagą. Hamilton zawahał się chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym zabrał swoją butelkę, potrząsnął głową i skierował się do najbardziej oddalonego od baru stolika w kącie. Spojrzał, jak zawsze agresywnie i groźnie, a ton harmonizował z jego wyglądem.

–Wal – powiedział – i nie chrzań głupot.

Hiller nie obraził się.

–To mi odpowiada. Tak się powinno załatwiać interesy. Powiem więc od razu, o co chodzi. Jestem przekonany, że odnalazłeś Zaginione Miasto. Znam faceta, który zapłaci ci sześciocyfrową sumę, jeśli zaprowadzisz go tam. Czy to jest dość jasne dla ciebie?

–Jeśli wylejesz jak najdalej te ohydne siki, które masz w szklance, to dam ci trochę przyzwoitej szkockiej.

Hiller zrobił, jak mu radzono, a Hamilton napełnił po brzegi obydwie szklanki. Hiller zdawał sobie jasno sprawę, że Hamilton nie tyle był zainteresowany w okazaniu gościnności, co chciał mieć czas do namysłu, a sądząc po jego leciutko bełkotliwym tonie można było oczekiwać, że zastanawiać się on będzie znacznie dłużej niż zwykle.

–W porządku – oznajmił Hamilton. – Nie chrzań głupot, ale kto powiedział, że odnalazłem Zaginione Miasto?

–Nikt! Czy oni mogą coś wiedzieć? Nikt nie wie, gdzie się podziewasz, kiedy opuszczasz Romono, z wyjątkiem może tych twoich dwóch przybocznych – Hiller uśmiechnął się porozumiewawczo. – Oni nie wyglądają na takich, którzy chcieliby za dużo mówić.

–Przybocznych?

–Och! Daj spokój. Chodzi mi o tych bliźniaków. Każdy w Romono ich zna. Ale domyślam się, że wolisz być jedyną osobą, która dokładnie zna położenie Zaginionego Miasta. Opieram się głównie na przecuciach i na dwóch złotych monetach, które liczą sobie tysiąc lub dwa tysiące lat. To tylko przecucie.

–Co przeczuwasz?

–Że odnalazłeś je, oczywiście.

Cruzeiros?

Hiller zwykle miał kamienną twarz, ale jego wyczyn wywołał falę podniecenia i to uczucie przenikało go na wskroś. Kiedy człowiek mówi o pieniądzach, to jest gotowy targować się i dobić targu. Hamilton właśnie zaczął się targować, a to mogło znaczyć tylko jedno: on wiedział, gdzie leży Zaginione Miasto. Złapał rybę na haczyk – Hiller nie posiadał się z radości – teraz należało tylko ładnie podciąć ją i wyciągnąć na ląd. To wymagało czasu. Wiedział o tym, ale równocześnie wierzył w siebie, a – ściślej mówiąc – w swoje umiejętności wędkarskie.

–Dolarów amerykańskich – odparł.

Przez chwilę w milczeniu Hamilton rozważał tę propozycję.

–To atrakcyjna propozycja – stwierdził. – Bardzo atrakcyjna. Ale nie przyjmuję takich ofert od nieznanomych. Bo widzisz, Hiller, nie znam ciebie. Nie wiem, kim jesteś, co robisz. I kto upoważnił cię do rozmowy ze mną?

–Naciągacz?

–Możliwe.

–Och, przestań! Wypiliśmy już kilka drinków w ciągu tych kilku miesięcy. Trudno więc mówić o nieznajomości. Wszyscy wiedzą, dlaczego od czterech miesięcy przeczesujesz tę przeklętą dżunglę i dlaczego wędrowałeś po całym obszarze dorzecza Amazonki i Parany przez ostatnie cztery lata. Chodzi ci o to Zaginione Miasto w Mato Grosso – jeżeli rzeczywiście ono tam jest – ze złotymi ludźmi, którzy tam żyli i podobno jeszcze żyją. Ale najbardziej zależy ci na legendarnym facecie, który je odnalazł. Szukasz doktora Hannibala Hustona, sławnego badacza, który zaginął w tych okolicach wiele lat temu i nigdy już się nie pojawił.

–Opowiadasz komunały – stwierdził Hamilton.

–Jak dziennikarz, czyż nie? – Hiller uśmiechnął się.

–Dziennikarz?

–Tak.

–Dziwne. Myślałem, że jesteś kimś innym.

–Naciągaczem? Zbiegiem? – Hiller roześmiał się. – Nic bardziej romantycznego. Przykro mi, pochylił się nagle do przodu i zaczął mówić serio: – Słuchaj. Jak mówiłem, wszyscy wiemy, dlaczego się tu kręcisz. Bez obrazy, Hamilton, ale Bóg wie, że sam mówiłeś o tym wystarczająco często. Dlaczego? Nie wiem. Osobiście sądzę, że powinieneś zatrzymać tę tajemnicę dla siebie.

–Są trzy ważne powody, przyjacielu. Po pierwsze – musi być jakiś powód mojej obecności tutaj. Po drugie – każdy ci powie, że znam Mato Grosso jak żaden biały i nikomu nie przyjdzie do głowy mnie śledzić. I wreszcie po trzecie – im więcej ludzi wie, czego szukam, tym większe są szanse na usłyszenie jakiejś plotki, która może okazać się bezcenną wskazówką.

–Miałem wrażenie, że nie interesują cię już żadne wskazówki.

–Być może tak jest. Nie krępuj się i wyrabiaj sobie dowolne poglądy.

–No dobrze. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi śmieje się z twoich szalonych mrzonek, jak to nazywają. Ale Bóg świadkiem, że nie ma w Romono faceta, który odważyłby się powiedzieć ci to prosto w twarz. Ja zaliczam się do tego jednego procenta. Wierzę ci. I co więcej – wierzę, że twoje poszukiwania są zakończone, a mrzonka stała się rzeczywistością. Chciałbym uczestniczyć w realizacji twoich marzeń i chciałbym również pomóc pewnemu człowiekowi – mojemu pracodawcy – zrealizować jego pragnienia.

–Jestem głęboko wzruszony – Hamilton uśmiechnął się sardonicznie. – Przykro mi, ale coś mi tu nie gra. A poza tym stanowisz nieznaną wielkość.

–Czy nazwa McCormick-Mackenzie International mówi ci coś?

–Niby co?

–Też stanowi dla ciebie nieznaną wielkość?

–Oczywiście, że nie. To jedna z największych międzynarodowych korporacji w obu Amerykach. Prawdopodobnie jak zwykle składa się z gromady kanciarzy, używających typowej zasłony: podobnych im międzynarodowych naciągaczy-prawników naginających prawo tak, jak im akurat pasuje.

Hiller głęboko westchnął, powstrzymując się od wybuchu.

–Ponieważ to ja mam do ciebie interes, więc nie będę się kłócił – stwierdził wreszcie. – Jeżeli o to chodzi, to przeszłość McCormick-Mackenzie International jest bez zarzutu. Nigdy nie było prowadzone przeciw nim żadne śledztwo i w najmniejszym stopniu nie kwestionowano ich działalności.

–Cwani prawnicy, jak mówiłem.

–Powinieneś się cieszyć, że Joshua Smith cię nie słyszy.

–On jest właścicielem? – Hamilton był niewzruszony.

–Tak. Prezesem i naczelnym dyrektorem.

–Ten multimilioner – przemysłowiec? Jeśli mówimy o tym samym człowieku.

–O tym samym.

–I właściciel największej gazety oraz sieci sklepów w obu Amerykach? No, no... – Hamilton przerwał i wpatrywał się w Hillera. – A więc to dlatego ty...

–Właśnie.

–Więc twoim bossem jest magnat prasowy. A ty jesteś jednym z jego ważniejszych dziennikarzy, bo jestem pewny, że nie wysyłałby jakiegoś debiutanta do takiej historii. Bardzo dobrze. Twoje kontakty i rekomendacje są ustalone. Ale wciąż jeszcze nie wiem...

–Czego nie wiesz?

–Taki facet. Joshua Smith. Multimilioner, a właściwie miliarder. W każdym razie

Krezus. Czy jest coś na ziemi, czego on jeszcze nie ma? Co jeszcze taki facet może chcieć? – Hamilton pociągnął spory łyk whisky. – Krótko mówiąc, co on z tego będzie miał?

–Jesteś podejrzliwy jak diabli. Pieniądze? Oczywiście, że nie! Czy ty to robisz dla pieniędzy? Jasne, że nie. Taki facet jak ty – i, jeżeli mogę powiedzieć, trochę jak ja – jest marzycielem. Jego marzenie stało się obsesją. Nie wiem, czym on fascynuje się bardziej: przypadkiem Hustona czy Zaginionym Miastem. Chociaż zakładam, że nie da się rozdzielić tych dwóch spraw – zamilkł i uśmiechnął się marzycielsko. – No i co za temat dla jego wydawniczego imperium.

–I to jest ta twoja część jego marzeń, tak?

–A cóż by innego?

Hamilton zastanawiał się, popijając wolno szkocką, by przedłużyć chwilę do namysłu.

–Nie mogę pochopnie podjąć decyzji. Nie mogę. Człowiek potrzebuje trochę czasu w takich sprawach.

–Oczywiście. Ile czasu ci potrzeba?

–Dwie godziny?

–W porządku. Będę czekał w Negresco.

Hiller spojrzał dokoła i aż wzdrygnął się. Mógł być to odruch prawdziwy.

–Tam jest prawie tak samo dobrze, jak tutaj.

Hamilton wypił whisky do dna, podniósł się, zabrał butelkę, na znak aprobaty kiwnął głową i wyszedł. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że jest wstawiony, ale jego chód nie był tak równy, jak być powinien.

Hiller rozglądał się, dopóki nie odnalazł Serrana, który uparcie wpatrywał się w niego. Spojrzał za odchodzącym Hamiltonem, ponownie na Serrano i nieznacznie kiwnął głową. Serrano odwzajemnił mu tym samym gestem i wyszedł w ślad za znikającym Hamiltonem.

Romono nie dorobiło się jeszcze – i nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek miało się dorobić – oświetlenia ulicznego. W rezultacie uliczki, z wyjątkiem sporadycznych świateł z burdeli i spelunek, były mroczne. Hamilton odzyskał pewność ruchów i szedł żwawo, nie zważając na panujące ciemności. Skręcił, po paru krokach zatrzymał się nagle i wszedł w wąską, zupełnie ciemną uliczkę. Nie uszedł dalej niż

dwa kroki. Nagle wychylił się z ukrycia i bacznie przyglądał się drodze, którą przed chwilą przyszedł.

Nie zobaczył nic więcej ponad to, co spodziewał się zobaczyć. Właśnie nadchodził Serrano. I nie wyglądał na faceta, który udał się na wieczorny spacer. Szedł tak szybko, że niemal biegł. Hamilton ukrył się w załomie muru. Nie musiał wyęczać słuchu, gdyż Serrano nosił podkute żelazem buty, które niewątpliwie uważał za niezbędne narzędzie wyrafinowanej techniki walki. W ciszy nocnej można go było usłyszeć z odległości dobrych stu metrów.

Hamilton, niewidoczny jak i jego ciemna kryjówka, nadśluchiwał szybko zbliżających się kroków. Serrano biegł. Nie rozglądał się na boki, ale zaniepokojony wypatrywał swego celu. Przebiegł obok uliczki, w której schował się Hamilton, nawet jej nie zauważając. Nie dostrzegł również postaci, która nagle wynurzyła się z mroku. Hamilton zaszedł go od tyłu i uderzył w kark złączonymi dłońmi, złapał osuwające się bezwładnie ciało i wciągnął do swojej kryjówki. Następnie wyjął mu z kieszeni portfel – znalazł w nim zachęcający zwitek banknotów. Schował go do kieszeni. Portfel rzucił na bezwładne ciało i ruszył dalej, nie oglądając się już za siebie. Nie miał żadnych złudzeń, że Serrano działał na własną rękę.

Wrócił do swojej walącej się chaty. Zapalił lampę naftową, usiadł na łóżku i zaczął się zastanawiać, dlaczego go śledzono. Ani przez moment nie wątpił, że Serrano działa z polecenia Hillera, ale nie sądził, by miał go zaatakować. Hiller przecież desperacko pragnął jego – Hamiltona – współpracy i ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, byłoby pobity Hamilton. Wątpił też w motywy rabunkowe. Mimo że obaj wiedzieli o dwóch wypchanych sakiewkach, Hiller nie był typem, który porwałby się na niewielką kradzież. Tym bardziej, że wiedział przecież o ich pochodzeniu. Tylko Hamilton wiedział, jak dotrzeć do legendarnego sezamu i jak go otworzyć.

Hamilton również nie wątpił ani przez chwilę, że Hiller i jego szef marzyli. Wątpił natomiast, i to głęboko w przedstawioną przez Hillera treść tych marzeń.

Hiller pewnie chciał się dowiedzieć, czy Hamilton skontaktuje się ze swoimi asystentami lub z jakimiś, jeszcze nieznanymi współnikami. A może spodziewał się, że Hamilton zaprowadzi go do skrytki, zawierającej część skarbu. A może sądził, że poszedł gdzieś zadzwonić? A może nic z tych rzeczy? Hamilton doszedł wreszcie do wniosku, że Hiller był po prostu z natury szalenie podejrzliwy i chciał wiedzieć, co on robi, na wypadek gdyby miał się jeszcze z kimś spotkać. Nie było innego wytłumaczenia dziwnego zachowania Serrana i dalsze zastanawianie się nad tym wydawało się zwykłą stratą czasu.

Hamilton nalał sobie małego drinka – jego butelka bez nalepki w rzeczywistości zawierała najprzedniejszą szkocką, dostarczoną mu przez jego przyjaciela Kędzierzawego – rozcieńczył ją wodą mineralną. Zasoby wodne Romono stanowiły

doskonały środek dla wszystkich pragnących złapać dezynterię, cholerę, i masę innych równie nieprzyjemnych chorób tropikalnych.

Hamilton uśmiechnął się do swych myśli. Kiedy Serrano doniesie szefowi o ostatnich przejściach, żaden z nich nie będzie miał wątpliwości co do tożsamości napastnika odpowiedzialnego za obolały kark Serrana. Ale przynajmniej obaj będą mieli nauczkę, żeby w przyszłości byli bardziej ostrożni i rozsądni we wszelkich działaniach przeciwko niemu.

Hamilton bowiem nie miał najmniejszych wątpliwości, że w przyszłości będzie widywał się – i to często – również z Serranem.

Hamilton pociągnął łyk ze swojej szklanki, uklęknął i zaczął czegoś szukać pod stołem. Kiedy nic tam nie znalazł, uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem. Następnie podszedł do półki z filmami. Obejrzał leżące tam kasety i jego twarz wyrażała jeszcze większy triumf. Wypił whisky, zgasił lampę i ruszył w drogę powrotną – do miasta.

W pokoju w Hotelu Negresco – słynny hotel w Nicei skrzyłby się ze wstydu na myśl, że “coś takiego” nosi tę samą nazwę – Hiller próbował zamówić rozmowę międzynarodową. Jego twarz naznaczona była cierpieniem charakterystycznym dla każdego, kto w swoim szaleństwie gdziekolwiek próbuje dodzwonić się z Romono. Ale w końcu jego cierpliwość została nagrodzona, co ujawniło się nagłym błyskiem radości na umęczonej twarzy.

–Aha! – mruknął i, jak można było przewidzieć, ton jego głosu przepojony był triumfem. – Nareszcie! Nareszcie! Poproście pana Smitha...

Rozdział drugi

Salon Villi Haydn w mieście Brasilia, należącej do Joshua Smitha, był przykładem olbrzymiej przepaści dzielącej miliardów od ludzi zaledwie bogatych. Meble – w większości w stylu Ludwika XIV nie pozostawiały cienia wątpliwości co do swojej autentyczności. Ściany ozdobiono draperiami z Belgii i Malty, dywany aż po najmniejszy sprowadzono z Persji. Obrazy wiszące na ścianach stanowiły kolekcję zawierającą prawie wszystko – od starych mistrzów holenderskich na impresjonistach kończąc. Wszystko to świadczyło nie tylko o oszałamiającym bogactwie, ale również o hedonistycznym pragnieniu wykorzystania do maksimum tego bogactwa. Cały przepych – wszędzie widać było znakomity gust – w najmniejszym stopniu nie był wystawiony tylko na pokaz. Każda rzecz harmonizowała z innymi, tworząc obraz prawie perfekcyjny. Było oczywiste, że współczesnych dekoratorów wnętrz nie dopuszczono do tego miejsca bliżej niż na kilometr. Tym wszystkim wspaniałościom dorównywał właściciel. Był wysokim, doskonale zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Ubrany w strój wieczorowy,

czuł się swobodnie w olbrzymim fotelu, tuż obok kominka, w którym paliły się sosnowe kłody.

Joshua Smith miał ciemne włosy i równo przystrzyżone wąsy. Robił wrażenie łagodnego i wytwornego, choć bez nadmiernej przesady. Zawsze uśmiechnięty, uprzejmy i grzeczny dla ludzi stojących niżej w hierarchii społecznej. W jego przypadku odnosiło się to prawie do wszystkich. Tej ogłady i wytworności nabywał ostrożnie i pracowicie w miarę upływu lat, aż wreszcie cechy te stały się jego drugą naturą. Pozostało w nim jednak trochę bezwzględności – jak u większości milionerów – dając świadectwo jego bogactwom. Tylko specjalista chirurg mógłby dostrzec na twarzy ślady zabiegu, który zmienił jego prawdziwy wygląd.

W salonie siedziała jeszcze dwójka młodych: mężczyzna i kobieta. Jack Tracy był blondynem o twarzy naznaczonej licznymi śladami ospy. Wyglądał na twardego i zdolnego faceta. Te cechy posiadał na pewno. Ludzie pracujący na stanowiskach generalnych dyrektorów rozległej sieci gazet i sklepów Smitha musieli wykazywać się podobnymi zaletami.

Maria Schneider ze swoją śniadą cerą, kruczoczarnymi włosami i brązowymi oczami mogła pochodzić z Ameryki Południowej, z krajów śródziemnomorskich, lub ze Środkowego Wschodu. Bez względu na swoje pochodzenie, była niezaprzeczalnie piękna, mimo kamiennej twarzy i niezmiernie czujnych, przenikliwych oczu. Była dobra i czuła, choć na taką nie wyglądała. Wyglądała natomiast na osobę inteligentną, którą w rzeczywistości była. Plotka głosiła, że pełniła podwójną rolę: kochanki i prywatnej sekretarki Smitha. Powszechnie w tej ostatniej roli uważano ją za bardzo dobrą.

Zadzwoił telefon. Maria podniosła słuchawkę, kazała rozmówcy poczekać i po chwili, ciągnąc sznur przez cały salon, przyniosła telefon do fotela, w którym siedział Smith.

–Ach! Hiller! – Smith wyjątkowo, jak na niego, pochylił się do przodu z wrażenia. Całą postacią wyrażał niecierpliwość i wyczekiwanie na coś nadzwyczajnego. – Mam nadzieję, że masz dobre wiadomości. Tak? Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Zaczynaj!

Smith w milczeniu słuchał tego, co miał mu do powiedzenia rozmówca, a wyraz jego twarzy zmieniał się stopniowo z zadowolenia na prawie całkowite uszczęśliwienie. Miarą jego samokontroli mógł być jednak fakt, że mimo osiągnięcia stanu pełnego podniecenia, powstrzymał się od przerywania, jakichkolwiek okrzyków, czy pytań i wysłuchał Hillera w milczeniu do samego końca.

–Wspaniale! – Smith był uosobieniem triumfu. – Naprawdę wspaniale Fryderyku! Właśnie uczyniłeś ze mnie najszcześniejszego człowieka Brazylii. – Mimo że oficjalnie Hiller kazał nazywać się Edwardem, to widocznie jego prawdziwe imię brzmiało

inaczej. – I zapewniam cię, że nie będziesz żałował tego dnia. Mój samochód na ciebie i twoich przyjaciół będzie czekał na lotnisku punktualnie o jedenastej. Smith odłożył słuchawkę. – Mówiłem, że mogę czekać nawet wieczność. A więc wieczność zaczyna się dzisiaj – oznajmił.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w płomienie. Tracy i Maria porozumiewawczo spojrzeli na siebie, ale ich twarze nie wyrażały niczego. Smith westchnął i powoli wracał do rzeczywistości. Przechylił się w fotelu, by sięgnąć do kieszeni i wyjąć z niej złotą monetę, której przypatrywał się z uwagą.

–To jest mój talizman – powiedział. – Wciąż był w innym świecie. – Przez długie trzydzieści lat nosiłem go wszędzie ze sobą i przez wszystkie te lata każdego dnia go oglądałem. Hiller widział takie same monety. Twierdzi, że te, które posiada Hamilton, są identyczne. Hiller nie należy do ludzi, którzy się mylą, więc może to oznaczać tylko jedno. Hamilton odnalazł coś, co jest zaledwie czubkiem lodowej góry.

–A pod spodem tej góry jest pewnie kopalnia złota – stwierdził Tracy.

–Kto by się tam przejmował złotem?! – Smith spojrział na niego jakby był powietrzem.

Zapadła długa cisza. Bardzo niezręczna dla Tracy'ego i Marii. Smith znów westchnął i schował monetę głęboko do kieszeni.

–I jeszcze jedno – powiedział. – Hamilton odkrył przy okazji coś w rodzaju Eldorado.

–Jest mało prawdopodobne, żeby Hamilton natknął się przypadkiem na cokolwiek – powiedziała Maria. – To typ myśliwego, poszukiwacza, ale nie przypadkowy odkrywca. Posiada źródła informacji niedostępne dla ludzi, którzy zwą się cywilizowanymi. Zwłaszcza wśród plemion sklasyfikowanych jeszcze jako nie spacyfikowane. Zaczyna od jakiegoś śladu, który ma go naprowadzić na właściwy trop, a potem metodycznie bada teren, piędź po piędzi, aż trafi na to, czego szukał. Przypadek nie odgrywa żadnej roli w jego kalkulacji.

–Być może masz rację, moja droga – odparł Smith. – Szczerze mówiąc, prawie na pewno masz rację. Ale to, co się naprawdę liczy to fakt, że Hiller twierdzi, iż Hamilton zlokalizował jakiś skład diamentów.

–Część łupu wojennego? – spytała Maria.

–Część zamorskiego kapitału, moja droga. To się zawsze nazywa zamorskim kapitałem, nigdy się tego nie nazywa łupem wojennym. Chociaż w tym przypadku to jest akurat prawda. Są to czyste, nieoszlifowane diamenty, właściwie tylko z grubsza oszlifowane, ale pochodzące z Brazylii. A Hiller jest ekspertem w tej dziedzinie. Bóg jeden wie, ile on ich już nakradł w swoim życiu. Jakby jednak nie było, to wydaje się,

że Hamilton chwycił przynętę założoną przez Hillera wraz z haczykiem, żyłką i spławikiem – cytując niezbyt wyszukane określenie Hillera. Upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Odnalazł za jednym zamachem brazylijskie diamenty i europejskie złoto. Wygląda na to, że wszystko pójdzie o wiele prościej, niż sądziliśmy.

–On nie ma opinii łatwego faceta – zauważył Tracy z niezbyt wyraźną miną.

–Wśród plemion zamieszkujących Mato Grosso – odparł Smith i uśmiechnął się, jakby w oczekiwaniu na – mającą go spotkać w niedalekiej przyszłości – przyjemność. – Ale tutaj znajdzie się zupełnie w innej dżungli.

–A może przeoczyłeś jeden szczegół – wtrąciła się rozsądnie Maria. – Czy nie zapomniałeś czasem o tym, że będziesz musiał wrócić do tej prawdziwej dżungli i to razem z nim?

* * *

Hiller siedział w swoim pokoju w Hotelu Negresco i przyglądał się uważnie złotej monecie. Ukrył ją szybko w dłoni, kiedy nagle ktoś zakłócił mu tę czynność, pukając nerwowo do drzwi. Wydobyl pistolet i, trzymając go za plecami, podszedł, by wpuścić niespodziewanego gościa.

Ta ostrożność okazała się jednak zbyteczna i Hiller odłożył broń. W drzwiach stał Serrano, kurczowo ściskając rękami kark. W progu zachwiał się i prawie wpadł do środka.

–Brandy! – zażądał dziwnie skrzekliwym głosem.

–Co ci się, do diabła, stało?

–Brandy!

–Już ci daję – powiedział Hiller zrezygnowany. Nalał mu podwójną porcję, którą tamten wychylił jednym haustem. Właśnie kończył trzecią szklankę, wypluwając z siebie opowieść o swoim nieszczęściu, kiedy do drzwi znów ktoś zapukał. Tym razem nie tak nerwowo. Raz jeszcze Hiller podjął znane już środki bezpieczeństwa i po raz kolejny uczynił to na darmo. Hamilton, stojący w progu, z trudem przypominał człowieka sprzed dwóch godzin. Dwie godziny spędzone w jedynym apartamencie Hotelu de Paris, szumnie nazywanym “prezydenckim” – choć żaden prezydent nigdy tam nie mieszkał i nigdy nie zamieszka, ale były to pokoje posiadające jedyną, do końca nie zżartą przez rdzę łazienkę – zmieniły go zupełnie. Wykąpał się i ogolił. Ubrany był w świeżutki drelich koloru khaki, czystą koszulę bez widocznych łat w tym samym kolorze oraz parę lśniących nowością gutów.

–Dokładnie dwie godziny – Hiller spojrzął na zegarek. – Jesteś bardzo punktualny.

–To grzeczność królów.

Hamilton wszedł do środka i dostrzegł Serrana, który serwował sobie kolejną dużą porcję drinka. Teraz trudno już oceniać, co było główną przyczyną jego cierpienia: brandy czy napad. W drżącej dłoni niepewnie trzymał szklankę, a drugą masował sobie kark. Był tak zajęty tymi czynnościami odnowy fizycznej, że zdawał się nie zauważać Hamiltona.

–Co to za typ? – spytał Hamilton.

–Serrano – odparł Hiller. – To mój stary przyjaciel.

Trudno było zorientować się z jego pewnego i nonszalanckiego tonu, że zobaczył Serrana pierwszy raz na oczy dopiero tego samego wieczoru.

–Nie denerwuj się. Można mu zaufać.

–Rozkosznie jest to usłyszeć – nie mógł sobie przypomnieć, ile lat temu zaufał komuś po raz ostatni. – Wreszcie jakaś odmiana w tych strasznych czasach. – Spojrzął na Serrana z miną przejętego i życzliwego uzdrowiciela. – Wygląda, jakby go ktoś skrzywdził.

–Skrzywdzili go – odparł Hiller. – Dokładniej mówiąc, obrobili – obserwował Hamiltona uważnie, ale równie dobrze mógł sobie oszczędzić wysiłku.

–Obrobili? – Hamilton wyglądał na lekko zdziwionego. – Czyżby o tej porze włączył się po ulicach?

–Właśnie.

–I na dodatek samotnie?

–Tak – i dodał coś, co prawdopodobnie uważał za sprytną pułapkę. – Ty też chodzisz sam nocą.

–Ja znam Romono – odparł Hamilton. – A, co najważniejsze, Romono zna mnie – ze współczuciem spojrzął na Serrana. – Założę się, że nie szedłeś nawet środkiem ulicy. I mogę się też założyć, że ważysz teraz mniej; dokładnie o zawartość portfela.

Serrano w milczeniu skinął głową spoglądając spode łba i powrócił do swoich smutnych medytacji.

–Taak... Życie jest najlepszym nauczycielem – rzucił Hamilton obojętnie. – Choć nie mogę pojąć, jakim cudem mieszkaniec Romono mógł okazać się tak cholernym

głupcem. No, już dobrze. Kiedy wyruszamy?

–Szkockiej? – spytał Hiller od barku. – Żaden tam bimber. Gwarantowana whisky – pokazał Hamiltonowi doskonałą nalepkę, z nienaruszoną nakrętką.

–Z przyjemnością.

Oferta Hillera nie wynikała z czystego odruchu gościnności. Odwrócił się tyłem do Hamiltona, żeby ukryć błysk triumfu na swojej twarzy. Taką chwilę koniecznie należało uczcić. Kiedy siedział w barze Hotelu de Paris, był pewien, że jego rybka złapała się na haczyk. Teraz już podciął ją i wyciągnął na brzeg.

–Zdrówko! – powiedział do Hamiltona. – Ruszymy jutro, skoro świt.

–Czym?

–Awionetką do Cuiaba – zamilkł na chwilę, po chwili dodał przepaszająco. – To stara trumna, łałana tekturą i drutem, ale nigdy jeszcze nie spadła. Potem polecimy prywatnym odrzutowcem Smitha, który będzie tam na nas czekał. To już zupełnie coś innego.

–Skąd ta pewność?

–Od tego gołębia pocztowego – Hiller wskazał głową na telefon.

–Byliście cholernie pewni siebie, prawda?

–Nie do końca. Po prostu lubimy być przygotowani na każdą ewentualność. Podejmuję decyzje według największego prawdopodobieństwa. – Hiller wzruszył ramionami. – Wystarczy przecież jeden telefon, żeby wydać polecenie i jeden telefon, by je odwołać. Po wystartowaniu z Cuiaba wylądujemy na prywatnym lotnisku Smitha w Brasillii – kiwnął głową w stronę Serrana i dodał: – On też z nami leci.

–Dlaczego?

–A dlaczego nie? – Hiller udał zaskoczenie. – To mój przyjaciel, pracownik Smitha i facet dobrze znający dżunglę.

–Zawsze chciałem poznać jednego z nich – Hamilton taksował wzrokiem Serrana. – Można mieć tylko nadzieję, że w gąszczach Mato Grosso jest bardziej czujny, niż na uliczkach Romono.

Serrano nie miał nic do powiedzenia, ale było widać, że wiele sobie myślał. Z dużym poczuciem ostrożności powstrzymywał się jednak przed wypowiedzeniem myśli na głos.

Okazało się, że Smith był nie tylko rozważnym, ale i przewidującym człowiekiem. Swoją samolot wyposażył nie tylko we wspaniałą baterię najróżniejszych likierów, brandy, win czy piw, ale zapewnił jeszcze wyjątkowo atrakcyjną stewardesę do ich podawania. Trzej mężczyźni – Hamilton, Hiller i Serrano – trzymali w rękach chłodne drinki. Hamilton szczęśliwy, przyglądał się niekończącej się zieleni dżungli tropikalnej dorzecza Amazonki, przesuwającej się pod nimi.

–To jest o niebo lepsze niż wyrąbywanie sobie drogi tam, na dole – powiedział, rozglądając się po kabinie luksusowo wyposażonego odrzutowca. – Ale to jest przeznaczone do transportu gości. A co Smith proponuje na wyprawę do Mato Grosso?

–Nie mam pojęcia – odpowiedział Hiller. – Takich spraw nie konsultuje ze mną. Ma do tego własnych doradców. Zobaczysz go za parę godzin. Myślę, że sam ci powie.

–Widzę, że nie całkiem mnie zrozumiałeś – powiedział Hamilton belfrowskim tonem. – Ja tylko pytałem, czym – według niego – można się tam dostać? Wszystko, co uzgodnił ze swoimi ekspertami, nie jest warte złamanego centa.

–Chcesz mu powiedzieć, czym mamy tam lecieć?! Hiller spoglądał na niego z wolno rodzącym się niedowierzaniem.

Hamilton skinął na stewardesę, uśmiechnął się i wyciągnął rękę ze szklanką prosząc o jeszcze. – Nie ma nic lepszego niż delektowanie się uciechami życia. Dopóki można – odwrócił się do Hillera. – Taki mam właśnie zamiar.

–Rozumiem. Wygląda na to – stwierdził ponuro Hiller – że ty i Smith świetnie się porozumiecie.

–Mam nadzieję! Mówiłeś, że spotkamy go za dwie godziny. Czy możesz załatwić, żebyśmy spotkali się za trzy? – Spojrzał lekceważąco na swój wygnieciony struj. – To ubranie dobrze prezentuje się w Romono, ale nim pojedę do miliardera, muszę wpaść do krawca. Twierdzisz, że ktoś po nas wyjedzie. Czy mógłbyś wyrzucić mnie więc przed Grandem?

–Jezus! – jęknął Hiller wyraźnie zszokowany. – Hotel Grand i krawiec. To przecież kosztuje. Ostatniej nocy przy barze mówiłeś, że nie masz grosza przy duszy!

–Później trochę mi wpadło do kieszeni.

Hiller i Serrano wymownie wymienili spojrzenia. Hamilton zaś, rozmarzony, wyglądał przez okno.

* * *

Jak obiecano, samochód czekał na nich na prywatnym lotnisku w Brasili. Choć słowo "samochód" było doprawdy zbyt skromnym określeniem. Był to olbrzymi, brązowy rolls-royce wystarczająco duży, żeby pomieścić, tak na oko – drużynę piłkarską. Tylnie siedzenie wyposażone było w telewizor, barek, a nawet zamrażarkę do lodu. Z przodu, bardzo daleko z przodu – siedziało dwóch facetów w ciemnozielonych liberjach.

Jeden z nich prowadził samochód. Najważniejszą funkcją drugiego zdawało się być otwieranie tylnych drzwi, kiedy pasażerowie wsiadali lub wysiadali. Silnik, jak łatwo było przewidzieć, pracował cichutko. Jeżeli zamiarem Smitha było oszołomienie gości, to udało mu się to najbardziej w stosunku do Serrana. Hamilton wydawał się niewzruszony, co mogło wynikać z faktu, że był zbyt zajęty sprawdzaniem zawartości barku. Smith tym razem jakoś zapewne przeoczył stewardesę do obsługi tylnego siedzenia rollsa. Jechali szerokimi alejami tego futurystycznego miasta i zatrzymali się przed Grand Hotelem. Hamilton wysiadł – drzwi oczywiście otworzyły się przed nim magicznie – i wszedł szybko do hotelu. Od razu obejrzał się za siebie. Przez oszklony przedsiónek widział, jak rolls-royce odjechał już około stu metrów. Hamilton odczekał, aż zniknął mu z oczu, wyszedł tymi samymi obrotowymi drzwiami, i zaczął iść w stronę, skąd przyjechali. Sprawiał wrażenie, że znał miasto. Bo rzeczywiście bardzo dobrze znał Brasilię.

* * *

Pięć minut po wyjściu Hamiltona rolls-royce zatrzymał się przed zakładem fotograficznym. Hiller wszedł do środka. Podeszedł do uśmiechniętego i grzecznego pracownika i wręczył mu film, który zabrał Hamiltonowi.

–Wywołajcie to i prześlijcie panu Joshua Smithowi do Villi Haydn. – Nie było potrzeby, aby Hiller dodawał: natychmiast. Nazwisko Smitha gwarantowało tempo. – Z tego filmu nie może być zrobiona kopia. Żadna z osób wywołujących ten film, ani z pracowników nie może o nim mówić. Mam nadzieję, że jest to oczywiste.

–Tak, proszę pana. Oczywiście, proszę pana – uśmiech i grzeczność zniknęły, ustępując miejsca całkowitej służalczości. – Szybkość i dyskrecja są gwarantowane.

–I doskonale odbitki?

–Jeżeli negatyw jest doskonały, odbitki też będą.

Hiller nie mógł wymyślić już żadnej innej groźby w stosunku do wystraszonego pracownika. Pokiwał tylko głową i wyszedł.

W jakieś dziesięć minut później obaj z Serranem znajdowali się w salonie Villi

Haydn. Serrano siedział, podobnie jak Tracy, Maria i czwarty – nie przedstawiony jeszcze – mężczyzna. Smith rozmawiał z Hillerem nieco na uboczu. Określenie “nieco na uboczu” w przypadku tego olbrzymiego salonu oznaczało w rzeczywistości sporą odległość. Od czasu do czasu Smith zerkał na Serrana.

–Oczywiście, że nie mogę ręczyć za niego – tłumaczył Smithowi Hiller. – Ale on wie mnóstwo rzeczy, o których my nie mamy pojęcia. No i zawsze mogę przypilnować, żeby nie sprawiał kłopotów. Tak samo jak Hamilton, który bezwzględnie, muszę zaznaczyć, postępuje z ludźmi wchodzącymi mu w drogę. – Hiller zaczął opowiadać Smithowi historię napadu na Serrana.

–Skoro tak mówisz – rzekł z powątpiewaniem Smith. Jeżeli istniało coś, czego Smith naprawdę nie lubił, to była to niepewność. – Jak dotąd mnie nie zawiodłeś – zamilkł na chwilę. – Ale twój przyjaciel Serrano zdaje się nie mieć żadnej przyszłości.

–Jak większość ludzi z Mato Grosso. Zwykle dlatego, że mają bogatą przeszłość. Ale on zna dżunglę i włada większością indiańskich narzeczy lepiej niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem Hamiltona. Zna ich więcej, niż jakiś pracownik z Biura Ochrony Indian.

–W porządku – Smith wydaawał się być tym uspokojony.

–No i był w pobliżu Zaginionego Miasta. Może być użytecznym pomocnikiem.

Hiller skinął głową w kierunku nie znanej mu jeszcze osoby. Wysokiego, mocno zbudowanego, śniadego i przystojnego mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat.

–Kto to jest, panie Smith?

–Heffner. Mój szef fotografów.

–Ależ, panie Smith! – powiedział Hiller.

–Hamiltonowi wydawałoby się to podejrzane, gdybym nie wziął zawodowego fotografa na tak historyczną wyprawę – odparł wymijająco Smith. – Choć muszę przyznać – tu uśmiechnął się lekko – że oprócz kamery umie się on posługiwać jeszcze kilkoma innymi narzędziami.

–Trzymam zakład, że potrafi. – Hiller przyjrzał się Heffnerowi z większym zainteresowaniem. – Jeszcze jeden bez przyszłości?

Smith uśmiechnął się znowu, ale nie udzielił odpowiedzi. Zadzwoił telefon. Tracy, który siedział najbliżej, podniósł słuchawkę. Wysłuchał krótkiej informacji.

–No tak! Niespodzianka za niespodzianką. W rejestrach Grand Hotelu nie figuruje nazwisko Hamilton. Co więcej, żaden pracownik hotelu nie może przypomnieć sobie, by widział mężczyznę odpowiadającego jego rysopisowi.

*** * ***

Hamilton był już w tym czasie w bogato umeblowanym apartamencie Hotelu Imperial.

Ramon i Navarro siedzieli na kanapie i, pełni zachwytu, patrzyli na Hamiltona, który też siebie podziwiał.

–Zawsze marzyłem o takim płowym materiale w prążki – powiedział Hamilton z zadowoleniem. – To powinno zrobić wrażenie nawet na panu Smith, prawda?

–Nie znam co prawda Smitha – powiedział Ramon – ale w tym przebraniu wystraszyłbyś każdego Muscia. Czy nie miałeś kłopotów z uzyskaniem zaproszenia?

–Żadnych. Kiedy zobaczył, jak rzucam tymi złotymi monetami publicznie, musiał chyba wystraszyć się, że ktoś inny jeszcze może wejść w ten układ. Z przyjemnością mogę stwierdzić: jest pewny, że złapał mnie na haczyk.

–Dalej uważasz, że ten złoty skarb istnieje? – spytał Nawarro.

–Jestem przekonany, że on naprawdę istniał. Nie, że istnieje.

–Więc po co były ci te monety?

–Kiedy będzie po wszystkim, pieniądze zostaną zwrócone. Wszystkie z wyjątkiem tych dwóch monet, które są w posiadaniu Kędzierzawego – barmana Hotelu de Paris. Ale poświęcenie tych dwóch monet było, jak wiemy, niezbędne po to, by rekin połknął przynętę.

–Więc nie ma żadnego skarbu? – spytał Ramon. – Jestem rozczarowany.

–Jest skarb i to olbrzymi. Ale to nie są monety. Być może przetopiono go, chociaż jest to mało prawdopodobne. Jest też możliwe, że został podzielony pomiędzy prywatnych kolekcjonerów. Jeśli chcesz upłynnić dzieło sztuki, bez względu na to, czy jest to kradziony Tintoretto czy zwykły rupieć, to Brazylia jest najlepszym do tego miejscem na świecie. Liczba brazylijskich milionerów, którzy spędzają godziny w swoich klimatyzowanych, sztucznie nawilżanych, zabezpieczonych przed włamaniem podziemnych piwnicach, rozkoszując się kradzionymi dziełami starych mistrzów, przechodzi najśmielsze oczekiwania. Ramon! Za tobą jest barek pełen whisky, a mnie już zaschło w gardle od tłumaczenia takim żółtodziobom, jak wy, rzeczywistości świata przestępczego.

Ramon uśmiechnął się szeroko, wstał i podał Hamiltonowi dużą whisky z wodą i wodę sodową dla siebie i brata. Żaden z bliźniaków nie pił nigdy nic mocniejszego.

–Czego dowiedzieliście się na temat Smitha? – spytał Hamilton, po skosztowaniu mocnego trunku.

–Nic ponad to, czego się spodziewałeś – odparł Ramon. – Kontroluje niezliczoną liczbę przedsiębiorstw. Jest finansowym geniuszem, uroczym i grzecznym, ale całkowicie bezwzględny w interesach i musi być, według wszelkich obliczeń, najbogatszym człowiekiem na południowej półkuli. Coś w rodzaju Howarda Hughesa, tylko na odwrót. Wczesną młodość Hughesa znali wszyscy, ale reszta jego życia okryta jest tajemnicą. Do tego stopnia, że wielu ludzi, którzy powinni być dobrze poinformowani, nie mogło uwierzyć, iż umarł podczas słynnego lotu z Meksyku do Stanów. Wszyscy byli przekonani, że zmarł wiele lat wcześniej. A Smith? Jego przeszłość jest zamkniętą książką, o której sam nigdy nie mówi. Tak samo jak żaden z jego znajomych, przyjaciół lub osób uważanych za bliskich – chociaż nikt tak naprawdę nie wie, czy kogokolwiek można uznać za osobę bliską Smithowi – nie umie powiedzieć nic na jego temat. Z tej prostej przyczyny, że żaden z nich nie znał Smitha w młodości. Obecnie jego życie jest powszechnie znane. Niczego nie ukrywa, jego działania są publicznie dyskutowane. Każdy z akcjonariuszy jego czterdziestu kilku przedsiębiorstw może przeglądać księgi handlowe firmy, kiedy tylko zapragnie. Wydaje się, że nie ma absolutnie nic do ukrycia. I zakładam, że jeśli jest się tak wybitnym jak on, to po prostu nie ma sensu nie być uczciwym. Bo jaki to miałyby sens, jeśli więcej pieniędzy może zarobić uczciwą drogą? Dzisiaj on wie wszystko o konkurencji i pozwala, aby każdy, kto tego pragnie, znał jego interesy.

–Musi mieć jakąś tajemnicę – stwierdził Hamilton. – Wiem, że coś ukrywa.

–Co takiego? – spytał Nawarro.

–Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

–Wolałbym, żebyś nie trzymał wszystkich kart w rękawie – stwierdził Nawarro.

–Jakich kart?

–Z niecierpliwością oczekujemy na pokaz pańskich metod pracy, panie Hamilton – odparł Ramon tak obojętnym, że prawie dwuznacznym tonem. – To powinno być warte naszego czasu. Z naszych raportów wynika, że ten facet jest ponad wszelkimi podejrzeniami. Wszędzie chodzi, ze wszystkimi się spotyka i wszystkich zna. I każdy wie, że on i prezydent są braćmi krwi.

* * *

Brat prezydenta pochylał się do przodu siedząc na krześle w swoim wspaniałym

salonie i zafascynowany – nie zwracając uwagi na towarzystwo – wpatrywał się w srebrny ekran.

Pokój zasłonięty był ciężkimi draperiami. Zaciemnienie było tak doskonałe, że nawet w biały dzień miałyby trudności z dostrzeżeniem czegokolwiek. Zresztą i tak zaabsorbowany był oglądaniem. Zdjęcia były dobrej jakości, zrobione świetnym aparatem przez zawodowego fotografa, który dokładnie wiedział, jak się do tego zabrać. Obraz był kolorowy, wyraźny, a jego ostrość idealna. Epidiaskop był również wysokiej klasy, najlepszy, jaki można było kupić za pieniądze Smitha.

Pierwsze zdjęcia przedstawiały ruiny starożytnego miasta w jakiś nieprawdopodobny sposób podwieszono do szczytu wąskiego płaskowyżu. W dalekim tle widać było, zapierający w piersiach dech, doskonale zachowany ziggurat, równie wspaniały jak najlepsze przetrwałe do dziś dzieła Azteków lub Mayów.

Drugie ujęcie ukazywało – widok z boku – miasto ulokowane na skraju urwiska, opadającego pionowo do rzeki, za którą znajdowała się nieprzebyta dżungla.

Trzecia grupa zdjęć pokazywała miasto górujące nad podobną przepaścią, przez którą przetaczała się szybko rzeka, opadając wodospadem w głębiny.

Czwarte ujęcie, wyraźnie zrobione ze szczytu wzgórza, zapoznawało widza z antycznym miastem z drugiej strony. Widać było również obszar ziemi, tworzącej dawniej tarasową uprawę i dwie skalne ściany złączone pośrodku.

Piąty zestaw zrobiono najwyraźniej z tego samego miejsca, tylko z drugiej strony i widoczny był płaskowyż porośnięty trawą. Jego boki wyginały się w łuki, które łącząc się tworzyły coś w rodzaju dziobu statku.

Jeżeli zdjęcia te były nieprawdopodobne, to następnych kilka ujęć wręcz szokowało. Były one zrobione z powietrza i po ich obejrzeniu stawało się jasne, że poprzednie również były wykonane z helikoptera. Pierwsze z nich ukazywało całkowicie zrujnowane miasto z lotu ptaka. Drugie, zrobione jakieś sto metrów wyżej – miasto ulokowane na szczycie pionowego stoku, którego oba zbocza opasywała rzeka. W obu jej odnogach roło się od głazów, o które rozbijały się fale. Stawało się jasne, że rzeka nie nadawała się do żeglugi. Trzecie i czwarte ujęcie wykonano z jeszcze większej wysokości i było naprawdę zaskakujące: gęsta, nieprzebyta dżungla wydawała się wchodzić w obiektyw i rozciągała nieprzerwanie aż po horyzont. Piąty zestaw wykonany był pionowo z góry. Olbrzymie, zewnętrzne ściany urwiska liczyły co najmniej kilkaset metrów i tkwiły poniżej szczytu tworzącego skalną wyspę, na której zbudowano Zaginione Miasto. Szósta grupa zdjęć, z jeszcze większej wysokości, przedstawiała wąską szczelinę pomiędzy dwoma obszarami dżungli, które stykały się ze sobą. Zaginione Miasto było ledwie widoczne w tej wąskiej szczelinie. Siódmy, ostatni komplet, zrobiony z wysokości około czterystu metrów,

przedstawiał tylko majestatyczne lasy Amazonii, ciągnące się malowniczo z jednego krańca horyzontu po drugi.

I tak granoczyło z cudem, że piloci brazylijskiego zespołu kartografii, którzy nie bez racji twierdzili, że przelecieli nad każdym skrawkiem ziemi Mato Grosso, nigdy nie odkryli Zaginionego miasta. Było ono jednak praktycznie niewidoczne z powietrza. Choć starożytni natknęli się na ten najbardziej niedostępny kawałek ziemi, tworzący naturalną, czy wymyśloną przez człowieka twierdzę nie do zdobycia.

Widzowie w salonie Villi Haydn siedzieli przez cały czas w milczeniu. Wiedzieli, że zobaczyli coś, czego nie widział dotąd żaden biały człowiek, z wyjątkiem Hamiltona i pilota helikoptera. Coś, czego nikt nie znał od pokoleń, a może i od stuleci.

Byli to twardzi, uparci i cyniczni ludzie, dla których wartość liczyła się dopiero wtedy, gdy dużo zainwestowali. Ludzie, którzy prawie automatycznie nie wierzyli w fakty, nawet jeśli widzieli je na własne oczy. Ale się jeszcze nie narodził taki człowiek, mężczyzna czy kobieta, którego atawistyczne głębie duszy nie mogły zostać poruszone przez pragnienie przeżycia przygody, przez to prymitywne, dziedziczne pragnienie uchylecia rąbka zasłony pokrywającej nie znaną dotąd historię.

Z wolna wszyscy budzili się z oszołomienia. Po chwili cichutko westchnął Smith.

–Sukinsyn! – wyszeptał. – Ten skurwiel je znalazł.

–Jeżeli miałeś zamiar zrobić na nas wrażenie – powiedziała Maria – to udało ci się. Co to było? I gdzie to jest?

–To jest Zaginione Miasto – powiedział wciąż jeszcze nieobecny głosem Smith. – W Brazylii. W Mato Grosso.

–W Brazylii budowano piramidy?

–Nic o tym nie wiem. Może to był jakiś inny lud. W każdym razie to nie są piramidy. To są... Tracy! To już twoja działka.

–To nie jest tak dokładnie moja działka. Jeden z naszych magazynów opublikował artykuł o tych tak zwanych piramidach. Straciłem parę dni z fotografem i autorem artykułu, żeby to rozgryźć. Tak, z ciekawości, ale i tak niewiele się dowiedziałem. Mają kształt piramid, to prawda, ale ich boczne ściany zwężają się schodkowo, a szczyt jest spłaszczony. Taką budowlę nazywa się ziguratem. Nikt nie wie, skąd wzięły swój początek, chociaż znano je także w Asyrii i Babilonie. Jest rzeczą zastanawiającą, że ten styl budowania nie przyjął się w krajach sąsiadujących z Egiptem, gdzie dotarł w wersji gładkich ścian i stożkowatych szczytów, ale za to pojawił się w starożytnym Meksyku, gdzie niektóre budowle zachowały się jeszcze do dzisiaj. Archeolodzy uważają to za ważki argument w głoszeniu tezy o kontaktach

w prehistorii między wschodem a zachodem. Ale tak naprawdę faktem jest, że o ich pochodzeniu nic więcej nie wiemy. Moim zdaniem, panie Smith, to, co zobaczyliśmy, przyprawi tych biednych archeologów o ból głowy. Zigurat w Mato Grosso...

* * *

–Ricardo? – zapytał Hamilton. – Będę wyjeżdżał od naszych przyjaciół za jakieś dwie godziny. Będę jechał... chwileczkę – przerwał i odwrócił się do Ramona rozwalonego na kanapie królewskiego apartamentu. – Ramon! co ja będę prowadził?

–Czarnego cadillacka.

–Czarnego cadillacka – powtórzył Hamilton do słuchawki. – I życzę sobie, żeby ktoś jechał za mną. Dziękuję!

Rozdział trzeci

Salon villi Smitha zgromadził w to słoneczne popołudnie sześć osób: samego Smitha, Tracy'ego, Marię, Hillera, Serrana i Hamiltona. Każda z nich trzymała w ręku szklaneczkę z drinkiem.

–Jeszcze po jednym? – zapytał Smith. Sięgnął w stronę przycisku przyzywającego butlera.

–Wolałbym pomówić – stwierdził Hamilton.

Brew Smitha uniosła się lekko w nie udawanym zdziwieniu. Słyszał od Hillera, że Hamilton lubi dużo wypić. To po pierwsze. Po drugie, jego najdrobniejsza sugestia zwykle była traktowana jak królewski rozkaz. Jednak szybko cofnął dłoń znad przycisku.

–Jak sobie życzysz. Umówiliśmy się co do celu twojej wizyty. I jeszcze raz powtórzę ci, Hamilton. Robiłem w przeszłości wiele rzeczy, które dawały mi mnóstwo satysfakcji, ale nigdy nie byłem tak przejęty...

–Przejdźmy do szczegółów – przerwał Hamilton, znów czyniąc coś, czego nikt nigdy nie robił w obecności Smitha.

–Boże! Ależ ci się spieszy! Myślałem, że po czterech latach...

–To trwało dłużej. Ale nawet po czterech latach człowiek zaczyna się trochę niecierpliwić. – Hamilton zrobił kolejną rzecz, jakiej nigdy nie robiło się w salonach Smitha: wskazał palcem na Marię i Tracy'ego. – Kim oni są? – spytał.

–Wszyscy znamy twoją reputację nieoszlifowanego diamentu – kiedy Smith mówił

łodowatym tonem, to naprawdę potrafił zmrażać ludzi – ale nie masz potrzeby zachowywać się niegrzecznie.

–Nie jestem niegrzeczny – Hamilton pokręcił głową dla podkreślenia swoich słów. – Jestem, jak to zauważyłeś, po prostu człowiekiem, któremu się spieszy. Chciałbym tylko upewnić się co do ludzi, z którymi się zadaję. Tak jak ty.

–Jak ja? – Brew znów powędrowała do góry. – Drogi chłopcze, gdybyś był uprzejmy wyjaśnić...

–I jeszcze jedno – wtrącił Hamilton, przerywając Smithowi po raz drugi, co było już rekordem. – Nie lubię, kiedy ktoś do mnie mówi protekcjonalnie. Nie jestem twoim drogim chłopcem. Nie jestem w ogóle, jak już zapewne wiesz, niczym drogim chłopcem. Powiedziałem: tak jak ty. Sam sprawdź. Chyba, że nie masz pojęcia, kto dzwonił do Grand Hotelu, żeby sprawdzić, czy naprawdę tam się zatrzymałem.

To był domysł, ale zważywszy na okoliczności mocno prawdopodobny, a szybka wymiana spojrzeń między Tracym i Smithem stanowiła dla Hamiltona najlepszy dowód. Kiwnął głową w stronę Tracy'ego.

–Wiesz, o czym mówię – powiedział. – To on był tym ciekawskim sukinsynem. Kto to taki?

–Czyżbyś zamierzał obrażać moich gości? – ton głosu Smitha był teraz bardzo nieprzyjemny.

–Niezbyt przejmuję się tym, czy kogoś obrażę. Chociaż może powinienem wiedzieć, kogo obrażam? On jest dla mnie dalej ciekawskim sukinsynem. I jeszcze jedno. Kiedy zadaję pytania na temat ludzi, to robię to szczerze i otwarcie, a nie za ich plecami. Kto to taki?

–Tracy – odparł Smith tłumiąc złość. – Jest dyrektorem McCormick-mackenzie International Publications Division – na Hamiltonie informacja ta nie zrobiła najmniejszego wrażenia. – A Maria jest moją zaprzysiężoną sekretarką i mogę dodać, że jest również moją bliską przyjaciółką.

Hamilton odwrócił wzrok od Tracy'ego i Marii, jakby już zapomniał o ich istnieniu.

–Nie interesują mnie twoje osobiste powiązania. Co z moją zapłatą?

Smith wyraźnie został trafiony. Gentlemani nie prowadzili negocjacji handlowych tak brutalnie i nagle. Przez moment zdawał się wybierać między zdziwieniem i gniewem. Od wielu lat nikt nie odważył się rozmawiać z nim w ten sposób. Musiał wykazać sporo silnej woli, by stłumić narastający w nim gniew.

–Hiller wspomniał mi o tym – powiedział wreszcie. – Miała to być sześciocyfrowa liczba. Pięćset tysięcy dolarów USA, przyjacielu.

–Nie jestem twoim przyjacielem. Ćwierć miliona.

–To niedorzeczne.

–Mógłbym w tym momencie powiedzieć: dziękuję za drinka i wyjść. Nie jestem jednak taki dziecinny. I mam nadzieję, że ty również.

Smith został tym, kim był, również dlatego, że potrafił błyskawicznie podejmować decyzje. Natychmiast skapitulował udając, że nie kapituluje ani na moment.

–Za takie pieniądze można żądać mnóstwa usług – powiedział.

–Wyjaśnijmy sobie warunki. Zyskujesz współpracę, a nie usługi. Do tego punktu wrócę później. Swoją zapłatę uważam za mocno umiarkowaną, zważywszy na fakt, że jestem cholernie pewien, że nie wdałeś się w tę historię tylko po to, żeby zdobyć trochę pięknych zdjęć i przejść do historii. Kto kiedykolwiek słyszał, żeby Joshua Smith wdawał się w jakiegokolwiek przedsięwzięcie, jeżeli nie widział w nim źródła zysku?

–Co się tyczy moich dotychczasowych przedsięwzięć, to w pełni się z tobą zgadzam – głos Smitha był znowu spokojny. – Ale w tym konkretnym przypadku pieniądze nie są moim głównym celem.

–Może i tak – Hamilton potakująco pokiwał głową. – W tym szczególnym przypadku mógłbym ci chyba uwierzyć.

Smith wyglądał tym razem na zaskoczonego tak nagłym ustępstwem Hamiltona, ale zaraz na jego twarzy odmalował się głęboki namysł.

–Myślisz pewnie, co też ja przyjąłem za twój motyw działania? – Hamilton uśmiechnął się. – Ale nie musisz się tym przejmować, bo to mnie zupełnie nie obchodzi. A teraz pogadajmy o transporcie.

–Co? O co ci chodzi? – Smith wydawał się zupełnie zaskoczony tą nagłą zmianą tematu. Chociaż nie powinien, jako że była to również jego ulubiona taktyka. – Aha! transport.

–Właśnie. Czym dysponują twoje przedsiębiorstwa w tym zakresie? Chodzi mi o transport wodny i powietrzny. O lądzie możemy zapomnieć.

–Sporą flotą, jak się zapewne domyślasz. Czego nie mamy, to możemy wynająć, chociaż nie sądzę, żeby mogła zajść taka sytuacja. Tracy zna wszystkie szczegóły.

Zresztą jest on licencjonowanym pilotem samolotowym i śmigłowcowym.

–To może być użyteczne. A co do tych szczegółów?

–Szczegóły zna Tracy – Smith powiedział to takim tonem, by nie było najmniejszych wątpliwości, że nie należy do ludzi zajmujących się szczegółami. Dla niego było to zresztą zupełnie oczywiste, bo wszyscy znali go jako człowieka posiadającego dar dobierania sobie najlepszych z najlepszych i zlecania im najgorszej pracy. Tracy, który uważnie przysłuchiwał się rozmowie, wstał, podszedł do Hamiltona i wręczył mu teczkę. Jego twarz wskazywała wyraźny brak uznania dla Hamiltona, co było w końcu zrozumiałe. Przecież żaden dyrektor nie mógł przejść do porządku nad nazwaniem go ciekawskim sukinsynem. Hamilton zdawał się nie zauważyć niczego niezwykłego w wyrazie jego twarzy.

Odebrał teczkę i szybko przekartkował znajdujące się w niej dokumenty, nad niektórymi zatrzymując się dłużej. Wreszcie skończył i zamknął teczkę. Każdy, kto by pomyślał, że Hamilton zdążył zapoznać się z zawartością tej teczki w tak krótkim czasie, byłby jak najbardziej bliski prawdy. On najprawdopodobniej naprawdę dowiedział się wszystkiego, co było mu potrzebne. Niemniej jednak, tym razem naprawdę wydawał się być pod wrażeniem przeczytanych treści.

–Masz tu rzeczywiście całkiem sporą flotę powietrzno-morską. Wszystko począwszy od Boeinga 727 do małego Piper Comancha. Nawet dwórotorowy helikopter. To chyba Sikorsky Sky-Crane? Tak?

–Tak.

–I poduszkowiec. Czy ten helikopter może unieść poduszkowiec?

–Oczywiście. Po to go kupiono.

–Gdzie stacjonuje ten poduszkowiec? W Corrientes?

–Skąd to, do diabła, wiesz? – wtrącił się Smith.

–Logika. Tu, w Rio, do niczego by ci się nie przydał, prawda? Wezmę tę teczkę ze sobą. Do zobaczenia wieczorem.

–Wieczorem? – Smith był wyraźnie niezadowolony. – Do licha, człowieku! Musimy opracować jakiś plan i...

–Ja opracuję plan. I omówię szczegóły dziś wieczorem, kiedy wrócę tu ze swoimi asystentami.

–Do cholery, Hamilton! To ja opłacam to wszystko za swoje pieniądze. Facet, który

wynajmuje orkiestrę, ustala jej repertuar!

–Tylko, że tym razem ty grasz drugie skrzypce.

Hamilton wyszedł, zostawiając zgromadzonych pogrążonych w krótkiej, ale za to głębokiej ciszy.

–No, ładnie! – odezwał się Tracy. – Ze wszystkich aroganckich, nieprzejednanych i zatwardziałych skurwysynów...

–Zgoda. Zgoda – odparł Smith. – Ale to on trzyma wszystkie atuty – Smith przez chwilę o czymś myślał. – Ten człowiek jest wielką zagadką. Niegrzeczny. Twardy. Ale ubiera się dobrze, mówi jak człowiek wykształcony, czuje się swobodnie w każdej sytuacji. I potrafi grać na półtonach; sprytnych półtonach. W moim salonie czuje się swobodnie. Niewielu obcych może się tym pochwalić. Prawdę mówiąc pierwszy raz widzę kogoś takiego.

–I doszedł do wniosku, że to Zaginione Miasto jest tak niedostępne, że nie może się tam dostać tą samą drogą, co poprzednio – odezwał się Tracy. – Od razu wypatrzył helikopter i poduszkowiec.

–Zastanawiam się – mówił dalej Smith – dlaczego taki facet jak on postanowił przyłączyć się do nas?

–Bo jest przekonany, że może nas pożreć po kolei – odezwała się Maria. – I chyba naprawdę może? – dodała po chwili.

Smith spojrział na nią wnikliwie i podszedł do okna. Hamilton właśnie wyjeżdżał swoim czarnym cadillackiem. Jakiś szofer przestał czyścić nie rzucającego się w oczy fordą i spojrział w okna salonu, następnie potakująco kiwnął głową, wsiadł do swojego samochodu i pojechał w ślad za cadillackiem.

Hamilton jechał jednym z szerokich bulwarów Brasillii, gdy spojrział we wsteczne lusterko. Ford jechał jakieś sto metrów za nim. Przyśpieszył. Ford zrobił to samo. Oba samochody jechały teraz grubo powyżej dopuszczalnej w mieście szybkości. Radiowóz policyjny pojawił się za fordem, włączył syrenę, wyprzedził i kazał kierowcy zjechać na bok.

*** * ***

Budynek Ministerstwa Sprawiedliwości był dość okazałą budowlą. Przestronny gabinet, w którym Hamilton siedział naprzeciwko obitego skórą biurka pułkownika Ricarda Diaza, urządzony był z prawdziwym przepychem. Sam Diaz w swoim nieskazitelnie skrojonym mundurze, wysoki i opalony, wyglądał na osobę kompetentną. I był nią rzeczywiście. Westchnął ciężko, pokrzepiając się łykiem

jakiegoś nieokreślonego płynu i powiedział:

–Panie Hamilton. Co do Smitha, to wie pan o nim tyle samo, co i my. Jego przeszłość jest tajemnicą. Dzień dzisiejszy stanowi zaś otwartą księgę, w której można wszystko przeczytać. Bardzo trudno jest precyzyjnie określić dokładną datę między przeszłością a dniem dzisiejszym jego życia. Wiadomo jedynie, że pojawił się, a raczej wypłynął w Santa Catharina – prowincji o tradycyjnie silnym osadnictwie niemieckim – pod koniec lat czterdziestych. Nie wiadomo, czy jego pochodzenie jest typowe dla tego regionu. Mówi po angielsku równie nieskazitelnie, jak po portugalsku. I nikt nigdy nie słyszał go mówiącego po niemiecku.

Jego pierwszy interes polegał na stworzeniu gazety dla miejscowej ludności niemieckiej, ale drukowanej w języku portugalskim. Pismo to było konserwatywne i silnie popierało establishment, ale stało się początkiem długiej i bliskiej zażyłości z ówczesnym rządem. Zażyłość ta, mimo zmian w rządzie, trwa do dnia dzisiejszego.

Potem przerzucił się na plastyki i długopisy, które były dopiero w początkowej fazie popularności. Smith nigdy nie był nowatorem. Zawsze był i wciąż jest specjalistą od wykorzystywania okazji i genialnym graczem na akcjach. Zarówno dział wydawniczy, jak i przemysłowy przedsiębiorstwa rozwijały się nadzwyczaj szybko i w ciągu dziesięciu lat stał się on, jakby na to nie patrzeć, bogatym człowiekiem.

–Musiał jednak zaczynać z jakimś niepewnym kapitałem – zauważył Hamilton.

–Zgadza się. Rozwój na taką skalę musiał wymagać dużych pieniędzy.

–A jego źródło jest oczywiście nie znane?

–Całkowicie. Ale nie jest to zarzut, jaki można komukolwiek postawić. W naszym kraju – jak i w wielu innych – nie staramy się zbytnio wnikać w tego typu sprawy.

Teraz kilka słów o Tracym. Rzeczywiście, jest on generalnym dyrektorem działu wydawniczego u Smitha. Ma opinię bardzo twardego, bardzo zdolnego człowieka i nic nam nie wiadomo o jego działalności niezgodnej z prawem. Może to oznaczać, że jest uczciwy albo bardzo sprytny. Najlepsze, co można o nim powiedzieć, to fakt, że uznawany jest – w pewnym sensie – za najemnego żołnierza. Policja jest przekonana, że sporo jego przedsięwzięć jest nielegalnych, diamenty na przykład mają dziwny zwyczaj znikania, kiedy on pojawia się w ich pobliżu. Ale nigdy nie został aresztowany, Nie mówiąc już o skazaniu.

Serrano jest małym oszustem. Niezbyt bystrym i ogromnie tchórzliwym.

–Nie może być aż takim tchórzem, skoro zapuszcza się samotnie w tropikalną dżunglę Mato Grosso. Niewielu białych na to się decyduje.

–Przyznaję, że mnie to również przyszło do głowy. Przekazuję zanotowane na ich temat opinie i nie gwarantuję, że są wiarygodne.

A teraz, co do Heffnera. To błazen. Nie umiałby rozpoznać aparatu fotograficznego, nawet gdyby się o niego potknął. Jest za to dobrze znany policji nowojorskiej. Zamieszany jest w rozboje i morderstwa na tle porachunków między gangami, ale zawsze udawało mu się z tego jakoś wywinąć, bo policja nie jest zbyt dociekliwa, kiedy jeden oprych załatwia drugiego. Jest to dziwny facet. Wysławia się elegancko i tak samo się ubiera, ale ten blichtr znika, kiedy tylko podejdziesz zbyt blisko do butelki z bourbonem. Ma słabość do bourbonu.

–A Smith niby się tym wszystkim nie przejmuje?

–Nic mu nie można udowodnić, jak już wspomniałem. Nie można oczywiście zadawać się z takimi typami jak Hiller, Heffner czy Tracy, żeby samemu się trochę nie pobrudzić. Równie dobrze może być jednak odwrotnie.

Pułkownik Diaz przerwał swoje wywody i spojrzał na drzwi, do których ktoś energicznie pukał.

–Wejść! – powiedział.

Do pokoju radośnie weszli Nawarro i Ramon. Bliźniacy ubrani byli w mundury khaki i uśmiechali się szeroko. Diaz spojrzał na nich i lekko się skrzywił.

–Sławny detektyw sierżant Herera – powiedział – i sławny detektyw sierżant Herera. A może powinienem powiedzieć: niesławni? Spóźniliście się, gentlemani.

–To przez seniora Hamiltona, sir! – Ramon rozłożył ręce przeproszająco. – On nas zawsze sprowadza na manowce.

–Niewinne owieczki. Ach! Wejdźcie, majorze.

Do pokoju wszedł młody oficer i rozłożył na biurku mapę południowej Brazylii, która upstrzona była różnymi znakami. Kolorowe flagi w kółkach i prostokątach oznaczały plemiona, rasy i narzecza. Inne symbole określały stopień agresywności poszczególnych plemion.

–To jest najnowsza mapa, jaką mógł nam dać Wydział Biura Ochrony Indian – powiedział. – Pewnych miejsc, jak się panowie domyślacie, nawet nie chcą dokładnie badać. Większość plemion jest przyjazna albo, jeżeli wolicie, została spacyfikowana. Niektóre są nadal wrogie i to prawie zawsze z powodu błędów białych. Bardzo niewiele jest plemion kanibali. Te są na szczęście dokładnie zbadane.

–I tych należy unikać, oczywiście. Są to Chapate, Horena, a zwłaszcza Muscia.

–Chodzi mi o Corrientes – powiedział Hamilton, wskazując punkt na mapie. – Smith ma tam poduszkowiec. Z oczywistych powodów. Miasto to leży u styku rzek Parana i Paragwaj. Smith jest głęboko przekonany, że Zaginione Miasto leży w dorzeczu którejś z tych rzek. Będę płynął w górę rzeki Paragwaj. Nie znam jej dobrze. Mogą tam być katarakty lub wodospady, ale jeżeli tak jest, to zajmie się tym helikopter.

–Twój przyjaciel ma helikopter? – Diaz był zaskoczony.

–Mój przyjaciel, jak go nazywasz, ma wszystko. Ten helikopter to olbrzym – Sikorsky Sky-Crane. Zupełnie trafna nazwa, bo może on unieść właściwie wszystko. Śmigłowiec umieścimy w Asuncion. Poduszkowiec może płynąć w trzech etapach. Do Puerto Casado albo do Puerto Sastre w Paragwaju, potem wrócić do Brazylii do Corumba i stamtąd do Cuiaba, skąd helikopter może przetransportować go powietrzem do Rio de Morte.

–I pewnie chciałbyś, żeby kilka oddziałów Armii Federalnej odbywało manewry w pobliżu Cuiaba, prawda?

–Gdyby udało się to zaaranżować?

–To już dało się zaaranżować.

–Mam dług u ciebie, pułkowniku.

–Trafniej byłoby powiedzieć, że to my mamy dług u ciebie. To znaczy, jeżeli...

–Jeżeli wrócę?

–Właśnie.

Hamilton wskazał ręką bliźniaków.

–Jeżeli tych dwóch niebiańskich braci będzie osłaniało moje plecy, to cóż złego może mi się przytrafić?

Diaz przyglądał mu się przez chwilę z powątpiewaniem, po czym nacisnął przycisk znajdujący się na biurku. Do gabinetu wszedł adiutant niosąc brązowy, skórzany futerał, z którego wyjął dużą kamerę filmową i podał ją Hamiltonowi. Ten pobieżnie ją obejrzał i przycisnął wyzwalacz. Z wnętrza dobiegł go cichy warkot, charakterystyczny dla kamer napędzanych silnikiem elektrycznym.

–Nie uwierzysz mi zapewne – odezwał się Diaz – ale tym można nawet nakręcić film, gdyby zaszła taka potrzeba.

–Nie sądzę, żebym musiał się tym razem poświęcać fotografowaniu – Hamilton

uśmiechnął się smutno. – Jaki jest zasięg tego nadajnika?

–Pięćset kilometrów.

–Wystarczy. Wodoszczelny?

–Naturalnie. Ruszacie jutro?

–Nie. Musimy kupić prowiant i wyposażenie tropikalne, i przesłać je drogą powietrzną do Cuiaba. A, co ważniejsze, muszę polecieć tam sam i sprawdzić, czy nie spotkam gdzieś naszego przyjaciela Jonesa.

–Z powrotem do Kolonii?

–Z powrotem do Kolonii.

–Jesteś wyjątkowo upartym człowiekiem, panie Hamilton – stwierdził Diaz. – Ale Bóg mi świadkiem, że masz do tego wszelkie prawo – pokiwał smutno głową. – Mam duże obawy o zdrowie twoich towarzyszy podróży w czasie tej wyprawy.

*** * ***

Hamilton ponownie spotkał się ze swoimi przyszłymi towarzyszami wyprawy. Na zewnątrz nie zasłoniętych okien salonu Villi Haydn panował mrok. Salon natomiast był silnie, choć nie oślepiająco, oświetlony przez trzy kryształowe żyrandole. W pomieszczeniu znajdowało się dziewięć osób. Większość gości stała, trzymając w dłoniach szklanki z aperitifem. Byli tam: Hamilton, bliźniacy – sierżanci Herera, a także Smith ze swoimi współpracownikami. Heffner, którego właśnie przedstawiono Hamiltonowi, miał trochę zaczerwienioną twarz, mówił lekko podniesionym głosem i siedział na oparciu fotela zajmowanego przez Marię. Tracy natomiast spoglądał na niego z wyraźną antypatią.

–Muszę przyznać, że twoi niebiańscy bliźniacy, jak ich nazywasz – odezwał się Smith do Hamiltona – sprawiają wrażenie bardzo kompetentnych.

–Tu, w salonie, nie czują się zbyt pewnie, ale w dżungli tak. Są dobrzy. Mają sokole oczy.

–To znaczy...?

–Że każdy z nich potrafi strzelając z karabinu trafić do karty z odległości stu metrów. Większość ludzi z tej odległości nie zauważy nawet takiej karty.

–To miało zabrzmieć jak groźba, czy próba zastraszenia?

–Bynajmniej. To miało brzmieć uspokajająco. Ich zdolności stają się nadzwyczaj

cenne, wówczas gdy zbliża się dziki niedźwiedź, aligator, łowca głów, czy kanibal. Spróbujmy nie traktować nadchodzącej wyprawy jak niedzielnej wycieczki szkolnej.

–Jestem tego świadomy – Smith starał się zachować cierpliwość. – Co znaczy, że uważam, iż twój plan jest do przyjęcia. Czyli, że wyruszamy za parę dni?

–Raczej za tydzień. Powtarzam. To nie jest piknik. Nie wyrusza się na wyprawę w dżunglę tropikalną w godzinę po wpadnięciu na taki pomysł. Zwłaszcza że zamierzamy podróżować przez niebezpieczne okolice – a zaręczam, że tamtędy właśnie przebiega nasza trasa. Musimy poczekać kilka dni, aż poduszkowiec dotrze do Cuiaba. Nie wiemy, jakie trudności będzie musiał pokonać. Potem mamy zebrać całe wyposażenie i wysłać drogą powietrzną do cuiaba. Tym przynajmniej wy się zajmiecie. Ja, zanim wyruszymy, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

–Jakich spraw? – Smith znowu uniósł brew. Był bardzo dobry w unoszeniu brwi.

–Przykro mi – Hamiltonowi, sądząc po tonie jego głosu, zupełnie nie było przykro. – Gdzie można w tym mieście wynająć helikopter?

Smith głęboko westchnął, ale po chwili postanowił zignorować to wyraźne niepowodzenie.

–No cóż, wiesz, że mam Sikorsky'ego.

–Tego niezdarnego olbrzyma? Dziękuję.

–Mam też mniejszy helikopter z pilotem.

–Jeszcze raz dziękuję. Tracy nie jest jedynym facetem, który umie latać helikopterem.

Smith przyglądał mu się w milczeniu. Jego twarz nic nie wyrażała, ale nietrudno było wyobrazić sobie, co naprawdę myślał. To wszystko dokładnie pasowało do aury tajemniczości, tak charakterystycznej dla Hamiltona, do jego znanej polityki, że nie wie prawica, co czyni lewica. Hamilton oczywiście sam chciał polecieć do Zaginionego Miasta, żeby nikt inny nie mógł poznać jego tajemnicy.

–Na Boga! – odezwał się w końcu. – Nie sądzisz, że już na początku naszych poszukiwań zaczynają się pewne tarcia towarzyskie?

–To nie są poszukiwania – Hamilton wzruszył obojętnie ramionami. – Ja wiem, gdzie chcę dotrzeć. A jeżeli sądzisz, że mogą pojawić się jakieś tarcia, to dlaczego nie zostawisz w domu tych, którzy mogą je ewentualnie wywołać? Mnie jest zupełnie obojętne, kto będzie brał udział w tej wyprawie.

–Sam o tym zadecyduję.

–Naprawdę? Teraz? – Hamilton znowu wzruszył ramionami w ten sam denerwujący sposób. – Chyba wciąż jeszcze nie wiesz wszyst- kiego.

Smith podszedł do barku i sam sobie nalał następnego drinka, co było oznaką zdenerwowania. W normalnych warunkach, to znaczy zawsze, zawołałby butlera, żeby wyręczył go w tak trywialnej czynności.

–Ustalamy jeszcze jedno – powiedział odwracając się do Hamiltona. – Przyznaliśmy ci rację przy ustalaniu planu tej wyprawy. Ale nie ustaliliśmy jeszcze, kto będzie kierował tym przedsięwzięciem.

–Ja już ustaliłem. Sam się tym zajmę.

Smith zrzucił wreszcie swoją maskę.

–Przypominam ci, Hamilton, że to ja za wszystko płacę.

–Armator opłaca swoich kapitanów, ale kto dowodzi na morzu? A, co ważniejsze, kto ma dowodzić w dżungli? Beze mnie nie przeżyjecie ani jednego dnia.

W salonie zapanowała nagle cisza. Napięcie między obydwoma mężczyznami stawało się prawie widoczne. Heffner podniósł się z oparcia fotela, na którym siedział, i chwiejąc się lekko podszedł do obu mężczyzn. W jego przekrwionych i agresywnych oczach pojawił się ogień walki.

–Ależ szefie! Nie rozumiesz wielu rzeczy – Heffner nie mówił normalnie, tylko syczał. – Toż to dzielny odkrywca we własnej osobie. Słynny i jedyny Hamilton. Nie słyszał pan? Hamilton zawsze rządzi.

Hamilton zerknął na Heffnera, a potem na Smitha.

–O tym właśnie mówiłem – powiedział. – Oto człowiek od urodzenia sprawiający kłopoty, idealna przyczyna wszystkich tarć. Jaką spełnia rolę?

–Jest szefem moich fotografów.

–Rzeczywiście sprawia wrażenie artysty. Jedzie z nami?

–Oczywiście – ton głosu Smitha był lodowaty. – Niby dlaczego ja i Tracy go tu sprowadziliśmy?

–Myślałem, że może musiał wynosić się skądś pośpiesznie.

–Co to ma znaczyć, Hamilton? – Heffner podszedł krok bliżej.

–Nic szczególnego. Po prostu myślałem, że twoi kumple z policji nowojorskiej zaczynali ci się zbytnio przyglądać.

Heffner przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili znowu podszedł bliżej i przybrał butną minę.

–Co ty, do cholery, chcesz przez to powiedzieć, człowieku? – zasyczał. Chyba nie przyszło ci do głowy wykluczyć mnie z tej wyprawy?

–Żeby nie zabrać cię ze sobą? Wielki Boże! Skądże!

Ramon i Navarro puścili do siebie oko.

–Zadziwiające – powiedział Heffner normalnym już głosem. – Wystarczy ważyć dziesięć kilo więcej i już można przekonać człowieka o swoich racjach.

–O ile oczywiście jest się w tym czasie odrobinę trzeźwym.

Heffner spojrzał na Hamiltona z pijackim niedowierzaniem i wypuścił prawego sierpowego w kierunku głowy swojego rozmówcy. Hamilton skrócił cios i odsunął lekko na bok, uderzając złościwie swoim prawym w splot słoneczny Heffnera. Zszarzały z bólu i zgięty wpół Heffner osunął się na kolana, ściskając brzuch rękoma.

–Sądzę, senior Hamilton – odezwał się zamyślony Ramon – że ten tutaj jest już odrobinę trzeźwy.

–Nie patyczkujesz się z buntownikami – Smith nie sprawiał wrażenia przejętego upadkiem swojego zaufanego człowieka. Jego irytacja ustąpiła miejsca zaciekawieniu. – Chyba coś wiesz o Heffnerze.

–Czytam czasami gazety nowojorskie – odparł Hamilton. – Choć dostaję je z pewnym opóźnieniem, nie ma to najmniejszego znaczenia, ponieważ działalność Heffnera obejmuje długie lata. Amerykanie mówią o takich jak on, że nabijają się z prawa. Jest podejrzany o różne przestępstwa związane z przemocą, a nawet o to, że brał udział w wojnach gangów. Jest bardziej cwany niż wygląda, w co osobiście nie wierzę, albo ma sprytnego prawnika. Jakby nie było, zawsze do tej pory udawało mu się wykręcić sianem. Niemożliwe, żebyś o tym nie wiedział.

–Przyznaję, że docierały do mnie różne pogłoski i plotki. Nie zwracam na nie uwagi. Z dwóch powodów. Po pierwsze, zna swój fach. Poza tym człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy – Smith zamilkł na chwilę i potem zapytał. – Czy wiesz o czymś, co świadczyłoby przeciwko mnie?

–Nic. Wszyscy wiedzą, że twoje życie jest otwartą księgą. Człowiek z twoją pozycją nie może sobie pozwolić na nic innego.

–A o mnie? – zapytał Tracy.

–Nie chciałbym urazić twoich uczuć, ale do dziś nawet nie wiedziałem, że istniejesz.

Smith zerknął przelotnie na klęczącego wciąż Heffnera, jakby zobaczył go tam po raz pierwszy i nacisnął przycisk. Wszedł butler. Pozostał niewzruszony na widok człowieka klęczącego na podłodze. Łatwo można było sobie wyobrazić, że wcześniej był już świadkiem podobnych scen.

–Pan Heffner źle się czuje – oznajmił Smith. – Proszę odprowadzić go do pokoju. Czy kolacja już gotowa?

–Tak, sir.

Kiedy wychodzili z salonu, Maria ujęła Hamiltona pod rękę.

–Szkoda, że to zrobiłeś – powiedziała spokojnie.

–Nie mów mi, proszę, że niechcący uszkodziłem twojego narzeczonego.

–Narzeczonego?! Nie cierpię go! Ale on ma długą pamięć i bardzo złą reputację.

–Następnym razem – Hamilton poklepał ją po dłoni – nadstawię mu drugi policzek.

Wyrwała mu swoją rękę i szybko ruszyła przodem.

*** * ***

Po kolacji Hamilton z bliźniakami odjechali cadillackiem.

–Więc teraz biedny Heffner uchodzi w ich oczach za twojego największego wroga – powiedział Nawarro z podziwem w głosie – a Smith, Tracy, Hiller i nawet ten biedny Serrano uważają się za świętoszków. Senior Hamilton! Jesteś naprawdę okropnym kłamcą!

–Do takich pochlebstw trzeba podchodzić ze skromnością – odparł Hamilton. – Niemniej jednak przyznaję, że to wymaga pewnej praktyki.

Rozdział czwarty

W zapadającym zmierzchu helikopter, wyposażony zarówno w pływaki jak i płozy, usiadł na piaszczystej wysepce leżącej przy lewym brzegu rzeki Parana. Jak daleko można sięgnąć wzrokiem, brzeg rzeki porośnięty był gęstą i pozornie nie do przebycia dżunglą tropikalną. Przeciwnie, zachodni brzeg był prawie niewidoczny w gęstniejącym mroku. W tym miejscu, blisko ujścia rzeki Iquelmi wpadającej do Parany, główne koryto liczyło ponad siedem kilometrów szerokości.

Kabina śmigłowca była ledwo oświetlona; w ostrożności posunięto się tak daleko, że wszystkie szyby zasłonięte były grubymi zasłonami. Wewnątrz Nawarro, Hamilton i Ramon jedli zimną kolację: mięso, chleb, piwo i woda sodowa – piwo było dla Hamiltona, a woda sodowa dla bliźniaków.

–Nie powiedziałbym, że jest to najprzyjemniejsze miejsce – Ramon zadrzał teatralnie.

–Większość ludzi też tak sądzi – odparł Hamilton. – Ale odpowiada ono Brownowi Alias panu Jones i jego przyjaciółom. Z punktu widzenia obrony jest to najbardziej niedostępne miejsce w Ameryce Południowej. Wiele lat temu wytropiłem Browna i pozostałych uciekinierów w miejscowości nazywanej San Carlos de Bariloche, niedaleko jeziora Ranco, na granicy chilijsko-argentyńskiej. Bóg świadkiem, że była tam olbrzymia twierdza, ale on nie czuł się w niej bezpieczny i przeniósł się do kryjówki w Andach Chilijskich, a potem tutaj.

–Wiedział, że pan go ściga? – spytał Nawarro.

–Tak. Przez całe cztery lata. Nasz bogaty przyjaciel z Brasilii szuka go o wiele dłużej. Być może inni robią to samo.

–I nie czuje się bezpieczny nawet tutaj?

–Jestem prawie pewien, że nie. Wiem, że był w Zaginionym Mieście w tym roku i dosyć często wcześniej. Ale on lubi komfort, a w tych ruinach go nie znajdzie. Mógł zaryzykować i wrócić tutaj. To nieprawdopodobne, ale muszę to jednak sprawdzić. Inaczej nie ma sensu iść do Zaginionego Miasta.

–Musi pan doprowadzić do konfrontacji Browna z jego przyjaciółmi?

–Tak, bo nie mam dowodów. Ale to spotkanie da mi wszystkie dowody, jakich potrzebuję.

–Proszę mi przypomnieć, żebym uważał na siebie. Chciałbym dożyć tej chwili. – Nawarro odwrócił głowę w stronę zasłoniętej szyby, za którą widoczna była rzeka. – Niełatwo będzie tam się dostać?

–Tak. To nie będzie łatwe. Tutejsza posiadłość Browna, bardziej znana jako Kolonia Waldnera 555, jest lepiej strzeżona niż pałac prezydencki. Cały teren naszpikowany jest wyćwiczonymi mordercami, zatrudnionymi w charakterze strażników. I należy to rozumieć dosłownie. Oni są sprawnymi, doświadczonymi mordercami.

Od północy i południa rezydencję otacza gęsta dżungla. Na południu leży Paragwaj, ale Brown jest bliskim przyjacielem tamtejszego prezydenta. Na wschodzie drogę blokuje rzeka. Mnóstwo niemieckich osad, zasiedlonych prawie w całości przez

byłych członków SS, położonych jest po obu stronach dróg do Asuncion i Bellavista. Nie znajdziecie tu nawet jednego pilota rzeczno-rodem z Brazylii. Wszyscy urodzili się nad rzeką Elbą w Niemczech.

–W związku z tym, co nam właśnie powiedziałeś – odezwał się Ramon – zaczyna mnie nurtować, jak my się tam dostaniemy?

–Przyznaję, że sam się nad tym zastanawiałem. Rzeczywiście, nie mamy dużego wyboru. Jest jeszcze droga, którą dowozi się żywność, ale jest za długa, niebezpieczna i w pobliżu znajduje się uzbrojona strażnica, otoczona drutem kolczastym pod napięciem.

Jest też lotnisko polowe. Jakieś piętnaście kilometrów w dół rzeki i zaledwie dwadzieścia kilometrów na północ od granicy z Paragwajem. Wewnętrzna droga do najbliższych zabudowań liczy dwa kilometry długości i jest zwykle dobrze strzeżona. Niestety, jest to jedyna droga. No i wzdłuż rzeki nie ma przynajmniej zasieków pod napięciem. W każdym razie nie było ich jeszcze, kiedy ostatnio tu bawiłem. Poczekamy jeszcze dwie godziny i ruszamy.

–Czy nie będziesz się czuł dotknięty – spytał Nawarro – jeżeli od czasu do czasu spojrzymy na ciebie z szacunkiem?

–Nie krępujcie się – przyzwolił łaskawie Hamilton. Otworzył plecak i wyjął z niego trzy lugery z tłumikami, zapasowe magazynki oraz trzy myśliwskie noże w pochwach.

–Zdrzemnijcie się, jeżeli możecie. Ja popilnuję.

Z wyłączonym silnikiem helikopter dryfował w dół rzeki Parana. Z uwagi na błyszczącą poświatę stojącego wysoko na bezchmurnym niebie księżycu, starali się płynąć jak najbliżej prawego brzegu. W kadłubie śmigłowca otworzyły się drzwi ukazując postać, która zeszła na jeden z pływaków i opuściła kotwicę. Druga wynurzyła się z nieporęcznym pakunkiem pod pachą. Dał się słyszeć stłumiony syk i po trzydziestu sekundach ponton był już gotowy. Trzeci mężczyzna, wychodzący z helikoptera, niósł mały, przyczepny silnik oraz niewielki akumulator. Dwaj pierwsi bezszelestnie wsunęli się do pontonu i odebrali ładunek. Sprawnie przyczepili silnik do rufowej deski, a akumulator wsunęli w skrzynkę podłogową i podłączyli.

Silnik, raz uruchomiony, pracował cichutko. Południowo-wschodni wiatr, najczęściej spotykany w tym rejonie, unosił jego szmer w górę rzeki. Cuma została odczepiona od helikoptera i ponton popłynął w dół rzeki.

Trzej mężczyźni skuleni w pontonie bacznie nasłuchiwali i wpatrywali się uważnie, choć nie bez pewnego niepokoju, w ciemności poniżej gałęzi drzew rosnących wzdłuż brzegu. Sto metrów przed nimi rzeka skręcała w prawo. Hamilton wyłączył silnik, a bracia bardzo ostrożnie wiosłowali, od czasu do czasu objając się o brzeg.

W ten sposób pokonali zakręt.

Przystań leżała teraz już tylko dwieście metrów przed nimi. Pomost biegnący od niej miał około sześciu metrów długości. Tuż za przystanią widać było wartownię. Przenikało z niej światło, które dobrze oświetlało popękane i połatane belki na kei. Dwaj mężczyźni, z przewieszonymi przez ramię karabinami, wygodnie i beztrudnie rozparci w wiklinowych krzesłach trzymali straż. Palili papierosy oraz tęgo pociągali z jednej butelki. Wstali, gdy podeszli do nich wartownicy. Rozmawiali ze sobą krótko. Zmiennicy odziedziczyli krzesła oraz butelkę po poprzednikach.

Ponton bezszelestnie przybił do mulistego brzegu i został przycumowany do zwisającej gałęzi. Płynący nim mężczyźni skryli się w leśnym gąszczu.

Po przejściu zaledwie stu metrów Hamilton powiedział ledwie słyszalnym szeptem do Nawarro:

–A co, nie mówiłem? Nie ma zasieków pod napięciem.

–To strzeż się pułapek na niedźwiedzie.

*** * ***

W wartowni znajdowało się czterech mężczyzn, ubranych w wypłowiałe, szare mundury używane przez Wehrmacht podczas drugiej wojny światowej. Trzech z nich leżało na polowych łóżkach; spali lub tylko udawali, że śpią. Czwarty czytał jakieś czasopismo. Instynkt – bo z pewnością nikt nie wydał z siebie żadnego dźwięku – kazał mu podnieść wzrok i spojrzeć na drzwi.

Ramon i Nawarro uśmiechali się do niego życzliwie. Ale nie było nic życzliwego w nieruchomych lugerach z tłumikami, znajdujących się w ich dłoniach.

Strażnicy na pomoście przyglądali się leniwie płynącym wodom Parany, kiedy nagle za ich plecami ktoś chrząknął niemal przepaszająco. Odwrócili się gwałtownie. Hamilton nie zadał nawet sobie trudu, żeby się uśmiechnąć.

Sześciu wartowników związano w wartowni i zakneblowano im usta, by utracili wszelką nadzieję na wezwanie pomocy. Ramon najpierw spojrzał na dwa telefony, potem na Hamiltona, który ostrzegł:

–Nie ryzykujemy.

Przeciął więc druty telefoniczne, a Nawarro zebrał broń.

–Dalej nie ryzykujemy?

Hamilton kiwnięciem głowy potaknął. Wszyscy wyszli i cisnęli broń do Parany. Dopiero wtedy ruszyli drogą łączącą przystań z Kolonią Waldnera 555. Bliźniacy przeciskali się w gęstym lesie, trzymając się lewej strony drogi, po prawej szedł Hamilton. Poruszali się wolno, skradając w milczeniu, jak Indianie. Wiedzieli, jak to się robi, bo już wiele mil przebyli przez tereny źle usposobionych plemion Mato Grosso.

Kiedy byli zaledwie kilka metrów od osady, Hamilton machnięciem dłoni nakazał, by się zatrzymali. Zabudowania Kolonii były dobrze oświetlone światłem księżyca. Osadę zbudowano z baraków ustawionych w kwadrat o boku długości około pięćdziesięciu metrów. Było ich osiem, wejścia do nich znajdowały się z drugiej strony centralnego placu. Tylko jeden budynek, na samym końcu placu po lewej stronie, był solidnie zbudowanym bungalowem, obok którego widoczny był wygięty dach metalowego hangaru, a tuż za nim krótki pas startowy. Naprzeciw, po przekątnej, stała budowla, która mogła uchodzić za strażnicę: było to prawdopodobnie, gdyż stał tam człowiek i opierał się o frontową ścianę. Podobnie jak jego koledzy z wartowni przybrzeżnej, ubrany był w paramilitarny mundur i miał przewieszony przez ramię karabin.

Hamilton dał znak Ramonowi, który odpowiedział mu tym samym gestem. Trzej mężczyźni ukryli się w leśnym gąszczu.

Wartownik, ciągle jeszcze oparty o ścianę, przechylił głowę do tyłu i solidnie pociągnął z butelki. Dał się jednak słyszeć przytłumiony odgłos uderzenia. Oczy wartownika wywróciły się do góry, podczas gdy nad jego ciałem pojawiły się – jakby za sprawą czarów – trzy dłonie, najwyraźniej nie należące do nikogo. Jedna z nich zajęła się butelką, dwie pozostałe chwyciły pod pachy osuwające się ciało.

* * *

W budynku, który rzeczywiście okazał się drugą wartownią, leżało związanych i zakneblowanych sześciu nowych jeńców. Na środku pokoju stał Hamilton zajęty niszczeniem zdobytych pistoletów i karabinów. Spojrzał na bliźniaków, którzy z latarkami w rękach weszli do pokoju i przecząco potrząsali głowami. Po chwili razem z Hamiltonem wyszli i zaczęli obchodzić pozostałe baraki. Do każdego z nich podchodzili ostrożnie; Hamilton i Ramon ubezpieczali Navarrę, gdy ten wchodził do środka. Za każdym razem Nawarro wychodził sam. W końcu dotarli do ostatniego budynku – solidnie zbudowanego bungalowu. Tym razem weszli do środka wszyscy trzej, z Hamiltonem na przodzie, który odnalazł kontakt i zapalił światło.

Znajdowali się w pomieszczeniu wyposażonym w dość wyszukane meble, będącym zarówno biurem jak i salonem. Hamilton przetrząsnął wszystkie szuflady i rząd szafek, ale nie znalazł nic, co by go zainteresowało. Przeszli do kolejnych pomieszczeń i sypialni, która również była komfortowo wyposażonym miejscem

wypoczynku. Na honorowym miejscu na ścianie wisiały oprawione i podpisane fotografie: Hillera, Goebbelsa, Stroessnera – poprzedniego prezydenta Paragwaju. Zawartość szaf była skąpa i sugerowała, że właściciel zabrał już większą część rzeczy. W jednej szafce znaleźli parę brązowych, wysokich butów oficerskich do konnej jazdy. Naziści nosili zawsze czarne buty, gardząc brązowymi, jako oznaką dekadentyzmu. Stroessner jednak zdecydowanie faworyzował brąz.

Po chwili przeszli do centrum łączności Browna. W skład wyposażenia centrum wchodziły dwa olbrzymie, wielozakresowe radioaparaty nadawczo-odbiorcze najnowszej generacji. Odnaleźli skrzynkę z narzędziami i Hamilton z Ramonem, za pomocą obcęgow i śrubokrętów, zdjęli pokrywy zabezpieczające i zabrali się do niszczenia aparatów. Nawarro odnalazł nawet wszystkie zapasowe części – teraz została z nich tylko kupka złomu.

–On miał jeszcze u siebie w pokoju bardzo ładne radio z nadajnikiem – powiedział Nawarro.

–Wiesz, co masz zrobić, czy nie?

Nawarro wiedział.

Doszli wreszcie do hangaru. To szczególne miejsce było przedmiotem dumy i radości całej Kolonii, jako że przez całą jego długość ciągnął się tor autentycznej, automatycznej kręgielni, sprowadzonej prawdopodobnie prosto z Ameryki. Ani Hamilton, ani bliźniacy nie zwrócili jednak na to cudo najmniejszej uwagi. Zajęli się natomiast stojącym obok samolotem. Był to Piper Cub. Po niespełna dziesięciu minutach pracy mieli absolutną pewność, że ten egzemplarz nigdy już nie polecą w przestworza.

Nad Paranę wracali środkiem drogi.

–Twój przyjaciel odleciał – stwierdził Ramon.

–Używając niezbyt eleganckiego określenia powiedziałbym, że ptaszek rzeczywiście wyfrunął z klatki, zabierając ze sobą najważniejszych nacjonalistów polskich oraz ukraińskich renegatów. Nigdy nie spotkacie już tak dobranej paczki zbrodniarzy wojennych. Członkowie tej grupy należeli głównie do drugiego oddziału.

–Jak myślisz, gdzie oni się podzieli?

–Chyba spytamy o to kogoś.

Weszli do wartowni na przystani. Jednemu więźniowi bez słowa przecięli sznury, wyjęli knebel, postawili na nogi i wyprowadzili nad brzeg rzeki.

–Brown miał trzy Piper Cuby. Gdzie się podziały dwa? – spytał Hamilton.

Więzień splunął lekceważąco. Na znak Hamiltona Nawarro skaleczył dłoń strażnika. Krew połała się obficie. Następnie skrępowali go i powiesili za ręce na samym końcu przystani, tuż nad wodą.

–Piranie – powiedział Hamilton – potrafią wyczuć krew na ćwierć kilometra. W dziewięćdziesiąt sekund pozostaną z ciebie same kości. Jeżeli oczywiście krokodyle nie dobiorą się do ciebie wcześniej.

Strażnik z przerażeniem patrzył na swoją krwawiącą rękę i aż cały drżał.

–Północ – wykrztusił. – Na północ od Campo Grande.

–I co dalej?

–Przysięgam na Boga...

–Wrzućcie go jednak...

–Planalto de Mato Grosso. To wszystko, co wiem. Przysięgam panu...!

–Przestań, do cholery, przysięgać – powiedział Hamilton znużony. – Wierzę ci. Brown nigdy by nie powierzył swoich tajemnic robactwu.

–Co zrobimy z więźniami? – zainteresował się Ramon.

–Nic.

–Ale...

–Ale nic. Śmiem twierdzić, że ktoś się tu wreszcie zjawi i ich uwolni. Weź tego stwora do środka, zwiąż i zaknebluj.

–To głębokie cięcie – stwierdził Nawarro, oglądając ranę strażnika. – Może się wykrwawić.

–Chyba się jednak rozplaczę.

Rozdział piąty

Hamilton, ramon i Nawarro jechali taksówką ulicami Brasillii.

–Ta kobieta... Maria. Ona też jedzie z nami? – spytał Ramon.

–Jedzie – Hamilton uśmiechnął się do niego.

–To niebezpieczna wyprawa.

–Im bardziej niebezpieczna, tym lepiej. Przynajmniej łatwiej mi będzie kontrolować tych błaznów.

Nawarro trawił coś w milczeniu przez dłuższy czas.

–Mój brat i ja nienawidzimy wszystkiego, co oni sobą reprezentują – wydukał wreszcie. – Ale ty, senior Hamilton, nienawidzisz ich jeszcze bardziej.

–Mam swoje powody. Poza tym nie jest prawdą, że ich nienawidzę.

Ramon i Nawarro popatrzyli na siebie zdziwieni. Po chwili pokiwali głowami, jakby nagle spłynęło na nich olśnienie.

*** * ***

Zarówno rolls-royce jak i cadillac zostały usunięte z sześciomiejscowego garażu Smitha, by było miejsce na to, co Smith uważał – przynajmniej na razie – za ważniejsze od samochodów. Hamilton wraz z ośmioma członkami ekspedycji przyglądał się, prawie bezkrytycznie, kompletnemu zestawowi najnowocześniejszego i najdroższego ekwipunku, jaki wymyślono, żeby człowiek mógł żyć i przeżyć w tropikalnej dżungli Amazonii. Przyglądał się temu ekwipunkowi tak długo, aż część widzów poczuła się niepewnie lub przynajmniej nieswojo. Smith nie należał do tej grupy. Miał jedynie lekko zaciśnięte wargi, co prawdopodobnie wskazywało na narastające zniecierpliwienie. Było niemal powszechnie wiadomo, że potentaci giełdowi nie lubili czekać. Smith natychmiast udowodnił, że jego cierpliwość ma swoje granice.

–No i co, Hamilton? Co na to powiesz?

–Hmm... O tym, w jakich warunkach podróżują miliarderzy? No cóż, w świetnych. Naprawdę w świetnych.

Smith wyraźnie się rozluźnił.

–Chociaż z jednym wyjątkiem.

–Naprawdę? – Trzeba być naprawdę bardzo bogatym człowiekiem, żeby można pozwolić sobie podnosić brew w ten szczególny sposób. – A cóż to takiego?

–Niczego nie brakuje. Zapewniam cię. Chodzi o to, że jest tego odrobinę za dużo. Dla kogo, na przykład, są te karabiny i pistolety?

–Dla nas.

–W żadnym razie. Tylko Ramon, Nawarro i ja będziemy uzbrojeni. Wy nie. Żaden z was.

–My też.

–W takim razie nie było żadnej umowy.

–Dlaczego?

–Bo w dżungli jesteście jak dzieci. A dzieciom nie daje się prawdziwej broni do ręki.

–Ale Hiller i Serrano...

–Przyznaję, że ci dwaj wiedzą o dżungli więcej niż ty, ale to nie zmienia faktu. W Mato Grosso można ich uznać co najwyżej za wyrostków. I proszę, zapomnij o wszystkim, co ci na ten temat mówili.

Smith wzruszył ramionami, przyglądając się zgromadzonemu przed nim wspaniałemu arsenałowi. Potem znów spojrzał na Hamiltona.

–Ochrona...

–My się zajmiemy waszą ochroną – przerwał. – Nie bardzo mi się uśmiecha, żebyście chodzili i strzelali do bezbronnej zwierzyny lub niewinnych Indian. A, co najważniejsze, zupełnie mi się nie uśmiecha, by któryś z was strzelił mi w plecy, kiedy już pokażę wam drogę do Zaginionego Miasta.

Heffner podszedł do Hamiltona. Najwyraźniej nie miał żadnych wątpliwości, że ta ostatnia uwaga dotyczyła jego. Zaciskał i rozprostowywał palce u rąk, a jego twarz pociemniała z wściekłości.

–Słuchaj, Hamilton...

–Wolę nie słuchać...

–Przestańcie! – ton głosu Smitha brzmiał zimno i ostro, ale kiedy odezwał się ponownie, wyczuwało się gorycz. Nie pozostawiał cienia wątpliwości, że zwraca się tylko do Hamiltona. – Jeżeli wolno mi się wtrącić, to muszę stwierdzić, że masz wielkie zdolności w zdobywaniu sobie przyjaciół.

–Co najdziwniejsze, naprawdę mam taki talent. Nawet w tym mieście mam ich kilku. Ale nim uznam kogoś za przyjaciela, muszę się upewnić, że nie jest on moim wrogiem albo potencjalnym nieprzyjacielem. Jestem bardzo czuły na punkcie tych spraw. Tak jak moje plecy. Też są czułe. Zwłaszcza kiedy się w nie wbija nóż. Wiem coś o tym, bo już dwa razy wbijano mi nóż... Powinienem właściwie zrewidować was

wszystkich na wypadek, gdyby któryś z was miał nóż albo coś w tym rodzaju. Tylko, że mi się nie chce. Bezbronne zwierzęta i niewinni Indianie są zupełnie bezpieczni w waszej obecności. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie żadnego z was rzucającego się na uzbrojonego Indianina lub jaguara z jakimś nożykiem najprawdopodobniej nadającym się najwyżej do otwierania listów. – Następnie Hamilton wykonał charakterystyczny gest dłonią, określający i jednocześnie skreślający to zagrożenie z jego świadomości. Wargi Smitha zaczęły nagle robić się na przemian białe i czerwone, co kazało mu zastanowić się, nie po raz pierwszy zresztą – że Smith mógłby być najbardziej niebezpiecznym człowiekiem z nich wszystkich.

Hamilton raz jeszcze wskazał na piętrzącą się stertę ekwipunku w garażu.

–Jak to tu przyszło? – spytał. – Chodzi mi o to, jak to było zapakowane?

–W skrzyniach. Mamy je zbić ponownie

–Nie. Cholernie nieporęcznie by się je ładowało do helikoptera czy poduszkowca. Może...

–W nieprzemakalne worki brezentowe? – Smith uśmiechnął się, widząc lekkie zdziwienie na twarzy Hamiltona. – Spodziewaliśmy się, że może być ci to potrzebne. – Pokazał na dwa duże kartonowe pudła. – Kupiliśmy je razem z resztą wyposażenia. Nie jesteśmy tak do końca opóźnieni w rozwoju, jak ci się wydaje.

–Doskonale. A co z samolotem? To jest chyba DC 6, o ile dobrze pamiętam. Czy jest gotowy?

–Niepotrzebne pytanie.

–Tak sędzę. Gdzie stoją helikopter i poduszkowiec?

–Prawie w samym Cuiaba.

–To lećmy tam.

* * *

Samolot DC 6 stojący na końcu pasa startowego prywatnego lotniska Smitha nie był już pierwszej młodości. Jednak nawet wybredny obserwator widząc lśniące blachy kadłuba i skrzydeł musiałby w końcu uznać go za technicznie sprawny. Hamilton, Ramon i Nawarro – wspomagani przez nieoczekiwanie bardzo uczynnego Serrana – doglądali załadunku wyposażenia. Była to uważna, drobiazgowa i męcząca praca. Każdy worek był otwierany, jego zawartość wyjmowana, sprawdzana i ponownie pakowana. Dopiero wtedy paczki uszczelniano – stawały się naprawdę wodoszczelne. Był to z konieczności długotrwały i powolny proces, podczas którego cierpliwość Smitha szybko się wyczerpała.

–Nikommu nie ufasz, dopóki sam nie sprawdzisz – stwierdził ponuro.

–A jak ty doszedłeś do swoich milionów? – odparował Hamilton.

Smith odwrócił się i bez słowa wszedł na pokład samolotu.

*** * ***

Po półgodzinnym locie z Brasillii wszyscy pasażerowie, z wyjątkiem Hamiltona, spali. Wyglądało na to, że żaden z nich nie miał na tyle filozoficznego usposobienia lub po prostu nie był na tyle odprężony, żeby coś czytać. Stare silniki huczały tak głośno, że jakakolwiek rozmowa była właściwie niemożliwa. Hamilton, powodowany instynktem, zaczął rozglądać się po kabinie, aż wreszcie jego wzrok znalazł punkt zaczepienia.

Wydawało się, że Heffner, leżący bezwładnie w swoim fotelu, spał. Tak przynajmniej można było sądzić po jego szeroko otwartych ustach i powolnym, miarowym oddechu. Było to tym bardziej prawdopodobne, gdyż jego biała marynarka typu safari nie do końca była zapięta, dzięki czemu w okolicach lewej pachy widoczna była pochwa z białej skóry. Wymiary jej doskonale odpowiadały kształtom aluminiowych piersiówek. Ale nie to zaniepokoiło Hamiltona. Alkohol – to było w stylu tego człowieka. Problem polegał na tym, że z prawej strony wystawał pistolecik z kolbą wykładaną masą perłową.

Hamilton wstał i poszedł do tylnej ładowni, gdzie znajdowały się rzeczy osobiste członków wyprawy, wyposażenie i zapasy żywności. Wszystko to tworzyło pokaźny bagaż, ale Hamilton nie musiał się przez niego przekopywać, żeby znaleźć to, czego szukał – podczas ładowania dokładnie zapamiętał miejsce każdej paczki ładunku. Wydobył swój plecak, otworzył go, naturalnie rozejrzał się wokół sprawdzając, czy nie jest obserwowany, ze środka wydobył pistolet i schował go do kieszeni. Odłożył plecak na bok i wrócił na swoje miejsce.

*** * ***

Lot i lądowanie na lotnisku w Cuiaba przebiegły bez żadnych nadzwyczajnych

wydarzeń. Pasażerowie rozglądali się wokół ze zdziwieniem, co było zrozumiałe, jako że kontrast pomiędzy Brasilią a Cuiaba był bardzo wyraźny.

–A więc to jest dżungla – stwierdziła Maria, patrząc z wyraźnym niedowierzaniem. – Bardzo, bardzo fascynujące.

–To jest jeszcze cywilizacja – odparł Hamilton. – Dżungla leży tam – dodał, pokazując na wschód. – Tam właśnie znajdziemy się już wkrótce. A kiedy tam będziemy, to może się okazać, że zechcesz sprzedać swoją duszę, by wrócić tutaj. – Nagle odwrócił się i ostro powiedział do Heffnera: – A ty gdzie niby chcesz iść?

Heffner szedł w stronę zabudowań lotniska. Ale usłyszawszy te słowa, zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na Hamiltona ociężałym i beczelnym wzrokiem.

–Do mnie mówisz?

–Patrzę na ciebie i nie mam zęza. Dokąd idziesz?

–Nie sądzę, żeby to był twój interes, ale jeżeli chcesz wiedzieć, to idę do baru. Chce mi się pić. Masz jakieś zastrzeżenia?

–Jak najbardziej. Wszystkim nam chce się pić. Ale czeka nas ciężka praca. Chcę, żeby całe wyposażenie – żywność i bagaże – znalazły się w tamtym DC 3. I chcę to zrobić teraz. Za dwie godziny będzie za gorąco, żeby pracować.

Heffner spojrzał najpierw na niego, potem na Smitha, który wolno przecząco pokręcił głową. Heffner zawrócił i podszedł do Hamiltona z twarzą wykrzywioną wściekłością.

–Następnym razem nie dam się zaskoczyć, a więc nie daj się nabrać na to, co się stało ostatnio.

Hamilton spojrzał na Smitha i powiedział znużonym głosem:

–To twój pracownik. Jeszcze jeden jego wyskok lub próba wyskoku i wróci do Brasilii na pokładzie twojego DC 6. Jeżeli to ci nie odpowiada, to ja wrócę tym samolotem. To dość prosty wybór.

Hamilton minął pogardliwie Heffnera, który nie spuszczał z niego wzroku i stał z zaciśniętymi pięściami. Smith natomiast wziął go za ramię i odprowadził na bok, z trudem powstrzymując gniew.

–Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zgadzam się z Hamiltonem – wycedził. – Chcesz wszystko zepsuć? Twardzielem można być tylko wtedy, kiedy jest ku temu okazja, a w tym przypadku nie jest to ani miejsce, ani czas. Zapamiętaj sobie, że jesteśmy

całkowicie uzależnieni od Hamiltona. Rozumiesz?

–Przepraszam, szefie. Ten skurwysyn jest po prostu tak cholernie arogancki. Duma jest oznaką zbliżającego się upadku, jak mówią. Mój czas jeszcze nadejdzie, a jego upadek będzie cholernie głośny.

–Chyba mnie zupełnie nie zrozumiałeś – Smith mówił prawie pieszczotliwie. – Hamilton uważa cię za potencjalnego sprawcę kłopotów – w czym, muszę stwierdzić, ma rację – a należy do ludzi, którzy eliminują wszelkie takie źródła. Na Boga! Czy nie widzisz, człowieku, że próbuje cię sprowokować, by mieć powód albo chociaż pretekst do pozbycia się ciebie?

–A niby jak to ma uczynić?

–Odsyłając cię z powrotem do Brasillii.

–A jeżeli mu się to nie uda?

–Nawet nie myśl o takiej ewentualności.

–Umiem sobie radzić, panie Smith.

–Dawać sobie radę to jedno, ale dać sobie radę z Hamiltonem, to już zupełnie inna historia.

Wszyscy przyglądali się, choć część z wyraźną obawą, jak olbrzymi dwurotorowy helikopter podnosi powoli, za przyczepione do specjalnych uchwytów liny, maleńki poduszkowiec. Poduszkowiec unosił się bardzo wolno, ale po osiągnięciu stu metrów powietrzny konwój zaczął przesuwać się w kierunku wschodnim.

–Te wzgórza wydają mi się za wysokie – zauważył niepewnie Smith. – Jesteś pewien, że przelecą nad nimi?

–Na twoim miejscu modliłbym się o to. To w końcu twój sprzęt – Hamilton pokiwał głową. – Czy sądzisz, że pilot zdecydowałby się na lot, gdyby nie miał pewności? Te góry mają tylko tysiąc metrów wysokości. Przelecą nad nimi bez problemów.

–Jak daleko mają lecieć?

–Główny bieg Rio da Morte zaczyna się jakieś dwieście kilometrów stąd. Lądowisko znajduje się około trzydziestu kilometrów bliżej. Za pół godziny wystartujemy naszym DC 3 i na miejscu będziemy grubo przed nimi.

Hamilton odszedł na bok i usiadł nad brzegiem rzeki, leniwie rzucając kamieniami w jej ciemny nurt. Kilka minut później pojawiła się Maria i niepewnie za nim stanęła.

Podniósł głowę, uśmiechnął się i obojętnie patrzył na rzekę.

–Można tu bezpiecznie siedzieć? – spytała.

–Twój chłopak puścił cię kantem?

–On nie jest moim chłopakiem – powiedziała to z taką nienawiścią, że Hamilton przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

–Mogłabyś mnie wykiwać. Tak łatwo się nabrać na pozory. Przyszłaś tu bez wątpienia, albo też zostałaś przysłana, żeby zadać kilka starannie przemyślanych pytań?

–Czy ty musisz wszystkich obrażać? – spytała spokojnie. – Wszystkich ranić i zrażać do siebie? W Brasilii twierdziłeś, że masz przyjaciół. Trudno jest mi zrozumieć, jakim cudem jeszcze ich nie straciłeś?

Hamilton spojrział na nią z pewnym zmieszaniem.

–Kto teraz kogo obraża? – spytał.

–Jest wielka różnica między bezinteresownym obrażaniem a mówieniem prawdy w oczy. Przepraszam, że ci przeszkodziłam... – powiedziała i zbierała się do odejścia.

–No, dobra już. Siadaj! Jesteś jak dziecko! Może teraz ja będę mógł zadać ci kilka starannie przemyślanych pytań. Ty możesz w tym czasie cieszyć się z tego, że znalazłaś szczelinę w zbroi Hamiltona. Chociaż sądzę, że to też można uznać za obraźliwe stwierdzenie. Siądź więc po prostu!

–Pytałam, czy można tu bezpiecznie siedzieć? – Maria patrzyła na niego z powątpiewaniem.

–O wiele bezpieczniej, niż próbować przechodzić przez ulice Brasilii. Usiadła ostrożnie. Na wszelki wypadek jakiś metr od niego.

–Coś może się tu do człowieka przyczepić.

–Czytałaś złe książki albo rozmawiałaś z nieodpowiednimi osobami. Co lub kto ma się niby do ciebie przyczepić? W promieniu trzystu kilometrów nie ma wrogich Indian. Aligatory, jaguary i węże bardziej są przestraszone perspektywą spotkania z tobą, niż ty z nimi. W puszczy są tylko dwie naprawdę niebezpieczne rzeczy. Są to: quixada – dzik i carangageiros. Atakują wszystko, co się rusza.

–Caran... co?

–Olbrzymie pająki. Wielkie, owłosione stwory wielkości talerza do zupy. Zbliżają się

do ofiary po metrze. Skacząc. To znaczy skaczą po metrze do przodu.

–Okropność.

–Bez obawy. Tu ich nie ma. Poza tym nie musiałaś z nami jechać.

–Znowu zaczynasz. – Maria pokręciła głową. – Ty się zupełnie nie przejmujesz tym, co może się z nami stać.

–Człowiek musi czasem posiedzieć w samotności.

–Uniki, uniki – znowu potrząsnęła głową. – Zawsze jesteś sam. Masz żonę?

–Nie.

–Ale miałeś. – Nie było to pytanie, a raczej stwierdzenie.

–To widać? – Hamilton wpatrywał się w te jej wyjątkowo brązowe oczy, które przypominały mu boleśnie o jednej parze innych, równie pięknych.

–Widać.

–To prawda.

–Rozwiedziony?

–Nie.

–Nie? To znaczy, że...

–Tak.

–Och! Tak mi przykro. Jak ona umarła?

–Ruszajmy już, bo spóźnimy się na samolot.

–Proszę, powiedz mi, co się stało?

–Została zamordowana – Hamilton gapił się na rzekę, zastanawiając się, dlaczego zdecydował się na to wyznanie i to na dodatek komuś zupełnie obcemu. Tylko dwie osoby wiedziały o tym. Byli to Ramon i Nawarro. Minęła dobra minuta zanim zdał sobie sprawę z delikatnego dotyku palców na ramieniu. Odwrócił się i stwierdził, że ona go nie widzi. Jej wielkie, piwne oczy całe były we łzach. Jego pierwsza reakcja to całkowite niezrozumienie. Te łzy zupełnie nie pasowały do obrazu sprytnej współpracownicy Smitha. Do tego wrażenia, jakie na wszystkich robiła – mądrej, światowej, a jednocześnie znającej najgorsze strony życia...

Delikatnie dotknął jej dłoni, czego w pierwszej chwili nie poczuła. Dopiero po chwili wytarła łzy i uwolniła swoją dłoń z jego uścisku.

–Przepraszam – uśmiechnęła się niezręcznie. – Co sobie o mnie pomyślisz?

–Myślę, że chyba źle cię osądzałem. Myślę również, że kiedyś musiałaś wiele przecierpieć.

Nie miała już nic do powiedzenia. Wstała. Odchodząc jeszcze raz otarła oczy.

*** * ***

“Sponiewierany”. Takim przymiotnikiem określano zawsze pokrzywiony i przestarzały DC 3. Ten nie stanowił wyjątku, a nawet mógł być egzemplifikacją tego powiedzenia. Błyszczące stery i skrzydła przypominały o jego dawnej świetności. Podziurawiony i porysowany kadłub zdawał się trzymać tylko dzięki rdzy, pokrywającej prawie wszystkie jego elementy. Uruchomione silniki również stanowiły wspaniałe uzupełnienie samolotu kaszłąc, dymiąc i drgając tak, jakby miały zaraz odpaść. Samolot jednak wciąż udowadniał prawdziwość swojej reputacji – najwytrzymalszego i najtrwalszego, jaki kiedykolwiek skonstruowano.

Wydawało się, że z ogromnym wysiłkiem odrywa się od ziemi, co było oczywistą nieprawdą, jako że nie był przeładowany. Wreszcie wzbił się w powietrze i poszybował na wschód po ciemniejącym, południowym niebie.

W samolocie znajdowało się jedenaście osób. Grupa Hamiltona oraz pilot ze zmiennikiem. Heffner, zgodnie ze swoim zwyczajem, “rozmawiał” z butelką whisky. Jego rezerwa – aluminiowa piersiówka, używana była jako ostateczność. Siedział na poręczy fotela obok Hamiltona i rozmawiał z nim, przekrzykując ogłuszający huk staromodnych silników.

–Czy umarłbyś, gdybyś nam wreszcie przedstawił swój plan?

–Nie. Nie umarłbym. Ale czy to ma znaczenie?

–Zwykła ciekawość.

–To nie jest tajemnica. Wylądujemy na lotnisku w Romono mniej więcej w tym samym czasie, co helikopter i poduszkowiec. Helikopter nabierze paliwa, bo nawet te olbrzymy mają ograniczony zasięg, i przetransportuje poduszkowiec w dół rzeki. Tam go zostawi. Potem wróci po nas. Na miejscu będziemy jutro rano.

Smith, siedzący obok Hamiltona, przysłuchiwał się rozmowie. Przystawił zwiniętą w trąbkę dłoń do ucha Hamiltona i zapytał:

–Jak daleko w dół rzeki i dlaczego?

–Jakieś sto dwadzieścia kilometrów. Bo około stu kilometrów w dół od Romono znajdują się wodospady. Nawet poduszkowiec nie da sobie z nimi rady, a więc jest to jedyny sposób, by je ominąć.

–Masz mapę? – spytał Heffner.

–Tak się składa, że mam, chociaż jej nie potrzebuję. A czemu pytasz?

–Bo gdyby ci się coś przytrafiło, to dobrze jest wiedzieć, gdzie jesteście.

–Módlcie się lepiej, żeby nic mi się Nie przytrafiło. Beze mnie jesteście skończeni.

–Czy musisz go tak prowokować? – spytał Smith Hamiltona. – Musisz być taki arogancki i denerwować go?

–Nie muszę – Hamilton spojrział na niego z kamiennym uśmiechem. – Ale to jest takie przyjemne.

*** * ***

Lotnisko w Romono, jak samo miasto, wyglądało tak jak zwykle. To znaczy, jak bagieny horror. Helikopter z poduszkowcem przybył tu kilka minut po DC 3. Wirniki helikoptera jeszcze się obracały, kiedy już wyjechała do niego mała cysterna.

Pasażerowie opuszczający DC 3 rozglądali się z minami niedowierzania bądź przerażenia.

Smith zadowolili się krótkim: O Boże!

–Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Heffner. – To śmierdzący, odrażający ściek. O Boże! Czy to jest najlepsze miejsce, jakie mogłeś dla nas znaleźć?

–Co wam się w tym wszystkim nie podoba? – Hamilton wskazał ręką na maleńki pawilonik stanowiący jednocześnie halę przylotów i odlotów. – Spójrzcie na ten napis: “Romono International Airport”. Cóż może być lepszego w tych okolicach? Jutro o tej samej porze możecie panowie jedynie wspominać to miejsce, myśląc o nim, jak o waszym ukochanym domu. Jak napisał poeta: “korzystajmy z rozkoszy tego, co jest nam dane.” Zabierzcie ze sobą przybory toaletowe. Mamy tu wspaniały hotel o nazwie Hotel de Paris. Ci, którym się to nie podoba... Cóż, jestem pewien, że Hiller może wam o wszystkim opowiedzieć. Chociaż sądzę, że mogę znaleźć dla niego lepsze zajęcie.

–Jakie mianowicie? – zainteresował się Smith.

–Jeżeli pozwolisz, oczywiście. Zdajesz sobie zapewne sprawę, że poduszkowiec jest bardzo łatwym łupem dla złodzieja?

–Nie jestem głupi.

–Dzisiejszej nocy poduszkowiec będzie kotwiczył na naprawdę niebezpiecznych wodach. Chcę przez to powiedzieć, że tubylcy żyjący po obu stronach Rio da Morte należą – w najlepszym wypadku – do niepewnych, a w najgorszym – do otwarcie wrogich plemion. Dlatego trzeba go pilnować. Sugeruję, że nie jest to zadanie dla jednego człowieka. Myślę też o kapitanie o nazwisku Kellner. Prawdę mówiąc nie jest to sugestia, a stwierdzenie faktu. Nawet gdyby ktokolwiek nie zasnął przez całą noc na warcie, to i tak jego zadanie byłoby niezmiernie trudne. Dlatego potrzebny jest jeszcze jeden wartownik. I do wykonania tego zadania proponuję Hillera.

–Czy umiesz obchodzić się z bronią?

–Chyba dam sobie radę.

–Świetnie – Hamilton znów zwrócił się do Smitha. – Przed budynkiem lotniska będzie czekał na was autobus.

Wszedł do samolotu i wyniósł z niego dwa pistolety maszynowe oraz kilka zapasowych magazynków. Oczekiwał na niego już tylko Hiller.

–Chodźmy do poduszkowca.

Kellner stał na kei. Był to trzydziestokilkuletni, opalony i podobno twardy mężczyzna.

–Kiedy będziesz kotwiczył dzisiejszej nocy – zwrócił się do niego Hamilton – pamiętaj, żeby zrobić to na środku rzeki.

–Pewnie jest ku temu jakiś powód? – Kellner, sądząc po akcencie, był Irlandczykiem.

–Jeżeli zakotwiczysz przy którymkolwiek brzegu, są duże szanse na to, że rano obudzisz się z poderżniętym gardłem. Chociaż wtedy właściwie już się nie obudzisz.

–Chyba bym tego nie chciał – Kellner nie wydawał się przerażony tą perspektywą. – Środek rzeki jak najbardziej mi odpowiada.

–Nawet tam możesz nie być bezpieczny. Dlatego będzie towarzyszył ci Hiller. Potrzeba dwóch ludzi, żeby strzec się przed atakiem z obu stron. I dlatego też mamy te wredne izraelskie pistolety maszynowe.

–Rozumiem. Chociaż nie jestem pewien, czy chciałbym zabijać bezbronnych Indian.

–Kiedy ci bezbronni Indianie zaczną szpikować cię odpowiednio zatrutymi strzałami lub lotkami, a może nawet śmiertelnie zatrutymi, to może zmienisz zdanie.

–Już je zmieniłem.

–Znasz się na broni?

–Służyłem w SAS, jeżeli coś ci to mówi.

–Mówi mi to wiele – SAS – skrót nazwy najbardziej elitarnej jednostki brytyjskich komandosów. – No i nie muszę wyjaśniać ci zasad działania tych zabawek.

–Znam je.

–To jest jeden z moich szczęśliwszych dni – stwierdził Hamilton. – W takim razie spotkamy się jutro rano.

*** * ***

Salon Hotelu de Paris był zamknięty, ale przebywało w nim jeszcze sześciu gości. Rozwalony na krześle Heffner ze szklanką w ręku tkwił nieruchomo, choć oczy miał otwarte. Hamilton, Ramon, Navarro, Serrano i Tracy spali, lub udawali, że śpią, leżąc na ławkach i podłodze. Wolne pokoje tej nocy były jedynie marzeniem. Ponieważ wszystkie były, jak opowiadał im Hamilton, równie okropne i zarobaczone, więc nie mieli czego zbytnio żałować.

Heffner poruszył się nagle, zdjął buty, potem wstał i po cichutku podszedł do baru. Odstawił szklankę i równie bezszelestnie znalazł się przy najbliższym plecaku. Jak można było się spodziewać, był to plecak Hamiltona. Heffner otworzył go, pogrzebał w środku i wyjął mapę. Przez kilka chwil uważnie ją studiował. Gdy już ją schował, wrócił do baru i nalał sobie szczodłą ręką hotelową whisky. Gdziekolwiek napój ten został wyprodukowany, to z pewnością nie były to góry Szkocji. Heffner powrócił na swoje miejsce, równo ustawił buty i rozsiadł się wygodnie na krześle. Nagle zakrztusił się, z wrażenia wylewając pół szklanki whisky na podłogę.

Hamilton, Ramon i Nawarro przyglądali mu się w zamyśleniu z dłońmi założonymi pod głowami.

–No i co? – odezwał się Hamilton. – Znalazłeś to, czego szukałeś?

Heffner nie udzielił mu odpowiedzi.

–Odtąd jeden z naszej trójki będzie miał cię na oku aż do świtu. Spróbujesz się

poruszyć, to z największą przyjemnością załatwimy cię. Niezbyt lubię facetów, którzy grzebią w moich rzeczach.

Hamilton i bliźniacy spali smacznie przez resztę nocy. Heffner natomiast ani razu nie ruszył się ze swego krzesła.

Rozdział szósty

Tuż po wschodzie słońca za sterami helikoptera zasiadł jego pilot John Silver, bardziej znany jako Długi John. Dziewięciu pasażerów weszło na pokład i dołożyło swój podręczny bagaż do wyposażenia przeniesionego z pokładu DC 3. Hamilton zajął miejsce drugiego pilota. Wnętrze ogromnego śmigłowca tak bardzo przypominało przestronną jaskinię, że nawet po załadowaniu bagaży wydawało się prawie puste. Maszyna wzniosła się w powietrze bez widocznego wysiłku i leciała na wschód, wzdłuż biegu rzeki Rio da Morte. Wszyscy siedzieli z pochylonymi głowami, wyglądając na zewnątrz przez nieliczne okna. Po raz pierwszy widzieli prawdziwą tropikalną dżunglę dorzecza Amazonki.

Hamilton odwrócił się na swoim fotelu i wskazał ręką do przodu.

–Tam jest bardzo ciekawy widok – ryknął.

Na rozległej płyciźnie, mającej może półtora kilometra długości, w błocie na lewym brzegu rzeki wygrzewały się tysiące aligatorów.

–Dobry Boże! – odezwał się Smith. – Dobry Boże! To na świecie jest aż tyle aligatorów?! – I krzyknął do Silvera: – Zejdź niżej, człowieku. Niżej! Twój aparat. Szybko! – zwrócił się do Heffnera. Potem zamilkł, jakby tknięty nagłą myślą i spytał Hamiltona: – Może powinienem zapytać o zgodę szefa wyprawy?

–Pięć minut niczego nie zmieni – odparł Hamilton, wzruszając ramionami.

Helikopter zniżał się w swobodnych, kontrolowanych kręgach. Długi John był naprawdę doskonałym pilotem. Widok w dole był, zależnie od punktu widzenia, fascynujący, okropny lub przerażający.

–Daję słowo – stwierdził Tracy prawie z zachwytem – nie chciałbym rozbić się w tym towarzystwie.

–Wierz mi – Hamilton spojrzał na niego uważnie – że w tych okolicach jest to najmniejsze niebezpieczeństwo.

–Najmniejsze?

–Jesteśmy w sercu terytorium Chapate.

–To ma mi niby coś mówić?

–Masz krótką pamięć. Mówiłem już o nich. Kiedy skończysz w ich garnku, to może wtedy sobie przypomnisz.

Smith przyglądał mu się z powątpiewaniem. Najwyraźniej wciąż nie wiedział, czy ma wierzyć, czy nie.

–Wystarczy tego spadania, Silver – polecił pilotowi. Wychylił się ze swojego fotela, jak tylko mógł najdalej i ryknął z całej siły: – Na miłość Boską! Pospiesz się!

–Chwileczkę! Chwileczkę! – wrzasnął Heffner z tyłu. – Tu jest taki bałagan w tych paczkach.

W rzeczywistości nie było tam żadnego bałaganu. Heffner odnalazł już swój aparat, który teraz leżał pod jego nogami. W plecaku Hamiltona znalazł natomiast coś, co przeoczył poprzednio. Na jego usprawiedliwienie przemawiał fakt, że nie tego szukał. Trzymał mocno w ręku skórzany futerał z kamerą, który podarował Hamiltonowi pułkownik Diaz. Wyjął kamerę, w zamyśleniu jej się przyjrzał i nacisnął z boku przycisk. Odchyliła się dobrze naoliwiona klapka. Jego twarz wyrażała ogromne zdumienie. Wnętrze kamery składało się z pięknie wbudowanego nadajnika na tranzystorach. I co ważniejsze, wygrawerowano tam napis w języku portugalskim. Heffner znał portugalski. Przeczytał i wreszcie zrozumiał... Radio stanowiło własność brazylijskiego Ministerstwa Obrony. Było to dowodem, że Hamilton jest agentem rządowym. Po chwili zamknął szybko klapkę.

–Heffner! – Smith znów wychylił się ze swojego fotela. – Heffner, jeżeli... Heffner!

Heffner zbliżał się, trzymając w jednym ręku futerał z kamerą, a w drugiej wykładany masą perłową pistolet. Na jego twarzy malował się uśmiech triumfu.

–Hamilton! – wrzasnął.

Hamilton obejrzał się za siebie, dostrzegł złośliwie wykrzywioną twarz, wysoko trzymaną kamerę i perłową wykładzinę pistoletu. Natychmiast rzucił się na podłogę między fotelami, wyciągając z kieszeni kurtki pistolet. Mimo zwinności ruchów Hamiltona, Heffner nie powinien mieć kłopotów z jego trafieniem. Miał nad nim przewagę pozycji i znajdował się zaledwie metr lub dwa od celu, który – na razie – był zupełnie bezbronny. Ale poprzedniego dnia Heffner spędził długą i ciężką noc w Hotelu de Paris. W konsekwencji jego ręce były niezbyt stabilne, gesty niepewne, a ogólna koordynacja ruchów przedstawiała się o wiele gorzej niż zwykle.

Heffner z wciąż wykrzywioną twarzą strzelił dwukrotnie. Po pierwszym strzale usłyszeli krzyk pilota. Po drugim – helikopterem nagle rzuciło. Wtedy strzelił Hamilton. Tylko raz. Na środku czoła Heffnera wykwitła czerwona plamka.

Hamilton poderwał się na nogi i w trzech susach znalazł się przy Heffnerze, zanim ktokolwiek zdążył go ubiec. Ostrożnie przeszedł nad ciałem, podniósł kamerę i sprawdził, czy futerał jest zamknięty. Dopiero wtedy odetchnął. Tuż za nim zjawił się Smith. Był wstrząśnięty. Z przerażeniem przyglądał się zwłokom Heffnera.

–Między oczy! Dokładnie między oczy! – Smith kręcił z niedowierzaniem głową. – Chryste! Człowieku! Czy musiałeś to zrobić?

–Miałem trzy powody – odparł Hamilton. Jeżeli zmartwił się zajściem, to musiał starannie się kontrolować. – Staralem się trafić w rękę, a strzelam dobrze. Zwłaszcza z takiej odległości. Ale Helikopterem rzuciło. Zanim nacisnąłem spust, on dwukrotnie starał się mnie zabić I po trzeciej, rozkazałem, żeby nikt nie nosił broni. Jeżeli o mnie chodzi, to on sam się zabił. I, na miłość boską, dlaczego do mnie strzelał? Zwariował czy co?

Smith, raczej szczęśliwie dla Hamiltona, nie miał czasu rozważać żadnego z tych problemów, nawet gdyby stan jego umysłu na to mu pozwalał. Helikopterem rzuciło ponownie. Tym razem bardzo mocno i chociaż wciąż jeszcze leciał do przodu, to jednak wydawał się już chwiać i spadał w dół jak ranny ptak. Było to szczególnie nieprzyjemne wrażenie.

Hamilton pobiegł do przodu, chwytając się po drodze sprzętów dla utrzymania równowagi. Silver, zalany krwią z rany na policzku, starał się odzyskać panowanie nad śmigłowcem.

–Szybko! Czy mogę pomóc? – spytał Hamilton.

–Pomóc? Nie. Nawet sam sobie nie mogę pomóc.

–Co się stało?

–Pierwszy strzał zranił mnie w twarz. Nic poważnego. Powierzchniowa rana. Drugi pocisk musiał trafić w jeden lub kilka systemów hydraulicznych. Nie widzę nic z tego miejsca, ale to nie może być nic innego. Co się tam działo z tyłu?

–Heffner. Musiałem go zabić. Próbował mnie zastrzelić, ale zamiast we mnie trafił w ciebie i urządzenia kontrolne.

–Mała strata – zważywszy na okoliczności Silver wykazywał wyjątkową flegmatyczność. – Myślę oczywiście o Heffnerze. Z helikopterem jest zupełnie odwrotnie.

Hamilton szybko obejrzał się do tyłu. Scena, którą ujrzał, zawierała elementy zmieszania i konsternacji, co było zrozumiałe, chociaż nie dało się dostrzec oznak paniki. Maria, Serrano i Tracy z komicznymi minami na twarzach siedzieli lub leżeli w

głównym przejściu między fotelami. Pozostali tkwili, uczeplieni desperacko w swoich fotelach, podczas gdy helikopter kręcił się w kółko. Bagaże, żywność i wyposażenie śmigłowca były porzrucane.

Hamilton znów spojrzął przed siebie i przybliżył twarz do przedniej szyby. Helikopter poruszał się teraz ruchem wahadłowym, ląd pod nim widać było raz z jednej, raz z drugiej strony w wariacki prawie sposób. Rzeka rozpościerała się dokładnie pod nimi. Jedynym pocieszającym faktem było to, że przelecieli już nad błotami, na których pozornie bez życia wylegiwało się tysiące aligatorów. Nagle Hamilton dostrzegł daleko w przodzie wysepkę porośniętą, na szczęście niezbyt gęsto – drzewami. Miała około stu metrów długości i pięćdziesięciu szerokości. Położona była dokładnie pośrodku rzeki. Żeby się do niej dostać musieli przelecieć jeszcze tylko kilometr... Hamilton zerknął na Silvera.

–Czy ta rzecz pływa?

–Jak kamień.

–Widzisz w dole tę wysepkę?

Do wody brakowało im jeszcze z górą osiemdziesięciu, a do wyspy – czterystu metrów.

–Widzę – odparł Silver. – Widzę także te wszystkie drzewa. Hamilton, prawie zupełnie nie mam kontroli nad tą maszyną. W życiu nie wylądujemy tam, w jednym kawałku.

–Nie przejmuj się tym cholernym helikopterem – Hamilton chłodno przyglądał się Silverowi. – Czy potrafisz nas tam posadzić w całości?

Silver spojrzął na moment prosto w oczy Hamiltona, wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział.

Do wyspy pozostało teraz już tylko około dwustu metrów. Na lądowisko, nawet dla śmigłowca, teren nie wyglądał szczególnie zachęcająco. Między rozrzuconymi drzewami znajdowała się tylko jedna mała polanka. Nawet dla doskonale sprawnego helikoptera polanka ta nie była dobrym lądowiskiem.

Jakiś instykt kazał Hamiltonowi spojrzeć w lewo. W odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów od wyspy widać było dużą wioskę Indian.

Z wyrazu twarzy Hamiltona, a raczej z braku jakiegokolwiek na niej wyrazu, można było domyślać się, że nie przejął się on zbytnio tym faktem.

Twarz Silvera, po której spływały strużki potu i krwi, wyrażała desperację i

determinację, z przewagą ostatej. Pasażerowie znieruchomieli, kurczowo zaciskając ręce na wszystkich dostępnych uchwytach. Pusto, nieruchomo wpatrywali się w jakiś nieokreślony punkt. Oni również wiedzieli, co się szykuje.

Helikopter, kręcąc się i kiwając na boki, leciał swoim trudnym do przewidzenia torem w kierunku wyspy. Silver nie był już w stanie utrzymać go w powietrzu. Za szybko zbliżali się do tej o wiele za małej polanki. Na wysokości zaledwie trzech metrów drzewa i poszycie zbliżały się w ich stronę z olbrzymią szybkością.

–Bez ognia? – spytał Silver.

–Bez.

–Wyłączam zapłon.

Sekundę potem helikopter ostro zanurkował, uderzył w ziemię, poślizgiem przejechał jeszcze kilka metrów i zatrzymał się gwałtownie na pniu wielkiego drzewa.

Przez kilka minut panowała kompletna cisza. Była to cisza spowodowana zamroczeniem, szokiem wywołanym gwałtownością lądowania i ulgą, że wszyscy jeszcze żyją. Wydawało się, że nikt nie odniósł większych obrażeń.

Hamilton poklepał Silvera po ramieniu.

–Trzymam zakład, że nie uda ci się powtórzyć tej sztuki – powiedział.

–Nie mam najmniejszego zamiaru próbować tego jeszcze raz – Silver dotknął rany na policzku. Jeżeli był dumny ze swojego wyczynu jako pilota, to nie okazał tego po sobie.

–Wychodzić! Wszyscy wychodzić! – Smith wrzeszczał tubalnym głosem. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z faktu, że znów można rozmawiać normalnie – w każdej chwili może nastąpić wybuch!

–Niech pan nie będzie taki głupi – w głosie Hamiltona wyczuwało się znużenie. – Zapłon został wyłączony. Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach.

–Jeżeli chcę wyjść na zewnątrz...

–To jest to pana sprawa. Nikt pana tu nie będzie zatrzymywał. Potem oczywiście pochowamy pana buty.

–Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć?

–Cywilizowany sposób grzebania szczątków doczesnych, choć może nie będziemy mieli nawet butów.

–Jeżeli pan...

–Proszę spojrzeć przez okno – uciął Hamilton.

Smith spojrział najpierw na Hamiltona, a dopiero potem wygięty stanął przy oknie, by zobaczyć ziemię. Zaraz potem jego oczy rozszerzyły się, usta rozwarły szeroko, a cera wyraźnie poszarzała. W odległości zaledwie kilku metrów od helikoptera leżały dwa bardzo duże aligatory. Ich groźne szczęki były szeroko otwarte, a wielkie ogony kołysały się złowieszczo z lewa na prawo. Smith bez słowa usiadł w fotelu.

–Ostrzegałem was przed wyruszeniem w drogę – oznajmił Hamilton. – Mato Grosso nie jest miejscem zabaw dla bezmyślnych dzieci. Dwaj nasi przyjaciele tam, na zewnątrz, czekają właśnie na takie dzieci. I nie tylko ci dwaj. Może ich być tu więcej; całe mnóstwo. A także węże, tarantule i inne... – przerwał i wskazał ręką w kierunku największego okna. – Wolałbym, żebyście nie musieli tego robić, ale jednak wyjrzyjcie na zewnątrz.

Wyjrżeli. Wśród drzew na lewym brzegu widoczne były chaty; razem może ze dwadzieścia, z jedną szczególnie okazałą pośrodku. W poranne niebo unosiło się kilka słupów dymów z ognisk. Przed wioską stały zacumowane canoe i coś w rodzaju pinasy. Na brzegu zaś liczna grupa tubylców rozmawiała ze sobą żywo gestykulując. W większości byli nadzy.

–No, to mamy szczęście – powiedział Smith.

–Powinien pan zostać w Brasili – zauważył Hamilton cierpkim tonem. – Jasne, że to żart. Najbardziej szatański żart, jaki słyszałem o farcie. Widzę nawet, że ich wodzowie już się dogadali.

Przez chwilę panowała przytłaczająca cisza, którą przerwała Maria, pytając prawie szeptem:

–To Chapate?

–Nikt inny. W wyjściowych strojach, jak sami widzicie, z gałązkami oliwnymi w dłoniach i kartkami z przemówieniem powitalnym.

Większość tubylców na brzegu było już uzbrojonych lub właśnie sięgało po broń. W rękach trzymali dzidy, łuki ze strzałami, dmuchawki i maczety. Zły wyraz ich twarzy szedł w parze z groźnymi gestami wskazującymi wyspę.

–Wkrótce do nas zapukają – oznajmił Hamilton. – I raczej nie zaproszą nas na herbatkę. Mario, mogłaby pani pomóc Silverowi w opatrzaniu ran na jego twarzy?

–Ale tutaj z pewnością jesteśmy bezpieczni? – spytał raczej niż stwierdził Tracy. –

Mamy mnóstwo broni. A tamci nie mają niczego, co mogłoby przebić kadłub helikoptera.

–To prawda. Ramon! Nawarro! Weźcie karabiny i chodźcie ze mną!

–Co pan ma zamiar zrobić? – spytał Smith.

–Zniechęcić ich do przepłynięcia rzeki. To naprawdę wstyd, że do tego doszło. Oni chyba nawet nie wiedzą, że wynaleziono karabiny.

–Tracy słusznie zauważył – zaproponował Smith. – Tutaj jesteśmy bezpieczni. Musi pan robić z siebie bohatera?

Hamilton wpatrywał się w Smitha tak długo, aż tamtemu zrobiło się nieswojo.

–Heroizm nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi tylko o przeżycie. I zastanawiam się, czy starczyłoby kiedyś panu odwagi, żeby choć o to się bić. Teraz sugeruję, by zostawił pan tę sprawę w rękach kogoś, kto zna sposób prowadzenia wojny przez Chapate. Czy też woli przygotować się pan do natychmiastowej konsumpcji, kiedy oni tu się zjawią?

–Co niby pan chce przez to powiedzieć? – Smith starał się nadać swemu głosowi groźny, zawadiacki ton, ale nie potrafił włożyć w to serca. Jego “ego” zostało w ostatnich minutach zbyt poważnie nadwątlone.

–Tyle tylko, że jeżeli Indianom uda się postawić na tej wyspie choć kawałek stopy, to natychmiast podpalą poszycie i żywcem usmażą was wszystkich w tej metalowej trumnie.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza, która trwała aż do chwili, kiedy Hamilton, Ramon i Navarro opuścili helikopter.

Ramon pierwszy dotknął stopą ziemi i zaraz wymierzył swój karabin w stronę najbliższej leżącego aligatora. Ostrożność ta okazała się zbyteczna, ponieważ aligatory odwróciły się i powoli odpełzły w inną stronę.

–Ramon – odezwał się Hamilton – na wszelki wypadek ubezpieczaj nas od tyłu.

Ramon skinął potakująco głową, a Hamilton z Navarrem ukryli się za płożą ogonową śmigłowca i uważnie obserwowali przeciwległy brzeg.

Przysadzisty, potężnie zbudowany Indianin przystrojony w różowy pióropusz na głowie, naszyjnik z zębów dzikich zwierząt i kilka bransolet na ramionach – zdecydowanie ich wódz – rozkazał wojownikom zająć miejsce w sześciu canoe. Sam został na brzegu.

Nawarro spojrział na Hamiltona, nie kryjąc niechęci.

–Nie ma wyboru? – upewniał się.

Hamilton zaprzeczył ruchem głowy z taką samą niechęcią. Nawarro podniósł karabin do ramienia, złożył się do strzału i wypalił... jednym płynnym ruchem. Huk wystrzału na moment sparaliżował poruszenie na brzegu. Biegł tylko wódz, krzycząc i łapiąc się co chwila za prawe ramię. W sekundę potem kolejny huk poniósł się po rzece i jeden z wciąż nieruchomych wojowników też trzymał ramię dokładnie w tym samym miejscu, co wódz. Najwyraźniej Nawarro był strzelcem wyjątkowym.

–To nie jest przyjemne, senior Hamilton – oznajmił.

–Owszem. Jak to ktoś dawno temu trafnie określił: to ludzie tacy jak my zrobili z nich takich, jakimi są. Ale to nie jest raczej dobry moment ani miejsce, żeby im o tym opowiadać.

Wojownicy na brzegu błyskawicznie wyskoczyli z canoe i biegiem szukali schronienia w lesie i swoich chatach. Zabrali jednak ze sobą obu rannych. Prawie natychmiast, gdy poczuli się bezpieczni, widać było, jak organizują atak: łapią za łuki i podnoszą do ust dmuchawki. Hamilton z Navarrem ostrożnie pochylali głowy za najbliższą osłoną, podczas gdy strzały z łuków i dmuchawek odbijały się od helikoptera. Ze smutkiem i zdziwieniem Nawarro pokręcił głową.

–Założę się, senior Hamilton, że oni dotąd nigdy nie słyszeli nawet huku karabinu. To nie jest uczciwe.

Hamilton skinął głową. Nic nie odpowiedział. Jakikolwiek komentarz byłby zbyteczny.

–Na razie wystarczy – powiedział. – Nie sądzę, żeby próbowali atakować przed zapadnięciem zmroku. Ale będę ich pilnował lub powiem, żeby inni się tym zajęli. Na razie spróbuj razem z Ramonem oczyścić to miejsce z naszych czworonożnych przyjaciół. Jeżeli będziesz musiał strzelać, to na Boga nie rób tego w wodzie ani w jej pobliżu. Wieczorem chcę sobie popływać i nie mam zamiaru ściągnąć tu wszystkich okolicznych piranii.

Hamilton wdrapał się do helikoptera.

–Wyglądało to na prawdziwą burzę gradową – powitał go Tracy. – Domyślam się, że były to strzały?

–Nie widziałeś?

–Nie zależało mi, by to oglądać. Jestem pewien, że te okna wykonane są z bardzo

grubego szkła, ale jakoś nie miałem ochoty sprawdzić tego na własnej skórze.
Zatrute?

–Z pewnością. Ale prawie na pewno nie kurarą. W każdym razie niczym śmiertelnym. Posiadają mniej zabójczą, ale równie skuteczną substancję, która tylko oszałamia. Kurara w dużych ilościach psuje smak potrawy.

–Widzę, że załatwia pan przeciwników w trybie przyspieszonym – stwierdził gorzko Smith.

–Miałem z nimi pertraktować? Dać im kolorowe paciorki? Czemu pan sam tego nie spróbuje? – Smith nie odpowiadał. – Jeżeli ma pan jeszcze inne równie głupie sugestie, to radzę albo samemu je wcielać w życie, albo się zamknąć. Człowiek może przełknąć określoną liczbę takich głupich uwag.

–Co teraz? – włączył się Silver, by rozładować sytuację.

–Cudownie długa sješta aż do zmroku. To znaczy dla mnie. Was będę musiał prosić, żebyście na zmianę trzymali straż. I uważajcie nie tylko na wioskę, ale pilnujcie również rzeki, jak daleko tylko można sięgnąć wzrokiem. Chapate mogą rozpocząć atak trochę dalej od swojej wioski, choć uważam to za nieprawdopodobne. Jeżeli jednak coś się wydarzy – dajcie mi natychmiast znać. Ramon i Nawarro powinni wrócić za około dwadzieścia minut. Z tego powodu nie musicie mnie budzić.

–Ma pan ogromne zaufanie do swoich pomocników – stwierdził Tracy.

–Pełne zaufanie.

–A więc będziemy czuwać, żeby pan mógł spać – podsumował Smith.

–Dlaczego. – Muszę doładować swoje baterie przed dzisiejszą nocą.

–A wtedy?

Hamilton westchnął ciężko.

–Ten helikopter najwyraźniej nigdy już nie uniesie się w powietrze – stwierdził – a więc musimy znaleźć jakiś inny środek transportu, by dostać się do poduszkowca, który – jak miemam – znajduje się w odległości pięćdziesięciu kilometrów w dół rzeki. Nie możemy dostać się tam łądem. Wiele dni musielibyśmy wyrąbywać sobie drogę w tej gęstwinie, a i tak Chapate dostali by nas. Potrzebujemy łodzi. Wypożyczymy więc jedną od Chapate. W pobliżu przycumowana jest do brzegu bardzo ładna, stara motorówka. I bardzo duża. Jestem pewny, że nie jest to ich własność, a jej prawdziwi właściciele musieli zostać skonsumowani dawno temu. Tak samo chyba od dawna zżarty jest rdzą jej silnik. Ale przecież, by popłynąć w dół

rzeki, nie potrzebujemy silnika.

–Jednak zamierza pan ich przekonać, żeby nam dali tę łódź? – zainteresował się Tracy.

–Sam ją wezmę. Po zachodzie słońca. – Hamilton uśmiechnął się nieznacznie. – Właśnie dlatego zamierzam sobie podładować baterie.

–Hamilton – wtrącił się znowu Smith. – Pan naprawdę musi robić z siebie bohatera?

–A pan nigdy niczego się nie nauczy? Nie. Nie muszę robić z siebie bohatera. Nie chcę być bohaterem. Pan może iść zamiast mnie. Pan zostanie bohaterem. Śmiało. Proszę się zgłosić na ochotnika. Zrobi pan wrażenie na swojej dziewczynie.

Smith powoli otworzył zaciśnięte dotąd pięści i odwrócił się tyłem. Hamilton usiadł w fotelu i wydawał się układać do drzemki, nie zwracając uwagi na ciało Heffnera przewieszane na sąsiednim oparciu. Reszta spoglądała na siebie w milczeniu.

*** * ***

Kilka godzin później, po zmroku, Hamilton odezwał się pierwszy:

–Wszystko spakowane? – zapytał. – Broń, amunicja, bagaż podręczny, żywność, woda, lekarstwa? Aha! Silver! Oba kompasy z helikoptera też nam mogą się przydać.

–Już są tutaj – odparł Silver, wskazując pudełko leżące u jego stóp.

–Doskonale! – Hamilton rozejrzał się. – Wydaje się, że o niczym nie zapomnieliśmy.

–O niczym nie zapomnieliśmy? – wtrącił się Smith, wskazując ciało Heffnera. – A co z nim?

–Jak to, co z nim?

–Zostawi go pan tutaj?

–Jak pan chce – odparł Hamilton z prawie doskonałą obojętnością. Nie musiał głośno mówić, co przez to rozumie. Smith w milczeniu opuścił helikopter.

Cała grupa – oprócz Navarry – zebrała się na skraju wyspy. Mimo zapadającego już zmierzchu Hamilton po raz kolejny sprawdzał zawartość pakunków. Wydawał się zadowolony z wyników swojej pracy.

–Dzisiaj będzie pełnia księżycy – oznajmił – ale ukaże się za późno, żeby nam pomóc. Wезде dopiero za jakieś dwie i pół godziny. Oni zaatakują – nie ma co do tego żadnych wątpliwości – właśnie w tym czasie. Oznacza to, że atak może nastąpić

w każdej chwili, choć osobiście sędzę, że będą czekali na nastanie ciemności.

Ramon! Dołącz do Nawarry. Jeżeli zaatakują, nim dam wam sygnał, to postaraj się zatrzymać ich tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Jeżeli zobaczysz mój sygnał wcześniej, natychmiast dołączcie do nas. Tracy?

–Mogę ci powiedzieć tylko – rzekł Tracy – że nie było mi tu przyjemnie przez ostatnią godzinę. Nie. Nie było żadnych aligatorów. Nawet ich śladów nie znalazłem. Nawet jednej zmarszczki na wodzie. Dalej nie wolno używać broni?

–Broń jest głośna. I czasem zamaka.

–A to nigdy? – spytała Maria, wskazując na jego wielki nóż tkwiący w pochwie.

–Czasami pierwszy cios nie zabija. Wtedy może być trochę hałasu. Ale nie jestem bohaterem. Nie mam zamiaru tego używać. Jeżeli będę musiał, to będzie to oznaczać, że spartaczyłem robotę.

Hamilton spojrzał na rzekę. Ciemności pogłębiły się. Przeciwny brzeg był ledwo widoczny. Sprawdził, czy lina, wodoszczelna latarka i nóż są dobrze przymocowane. Potem cichutko wszedł do wody i powoli zaczął płynąć.

Woda była ciepła, prąd wolny, wokół widział tylko spokojną, ciemną toń. Nagle zatrzymał się i uważnie wpatrzył w wodę. Widział coś na kształt zmarszczki na gładkiej toni, ale nie mógł dostrzec, co ją spowodowało. Prawą dłoń zaciśniętą na rękojeści noża uniósł do góry. Cienka zmarszczka wciąż była dostrzegalna, ale kiedy uważniej zaczął się jej przyglądać, znikła. Schował nóż. Nie był pierwszym, któremu płynącą gałąź zdarzyło się pomylić z krokodylem, co było zresztą o wiele bardziej korzystne niż gdyby stało się odwrotnie. Ruszył więc dalej.

Minutę później dopłynął do przeciwnego brzegu i przytrzymał się jakiegoś korzenia. W napięciu i skupieniu wsłuchiwał się w dochodzące odgłosy i rozglądał się dookoła. Po chwili prawie bezszelestnie wynurzył się z wody i zniknął wśród drzew.

Po przejściu stu metrów dotarł do wioski. Stało tam kilkanaście prymitywnych, beładnie rozrzuconych chat. W centrum tego skupiska stała większa, okrągła chata; przez jej liczne szpary widoczne było światło. Jak duch okrążył wioskę i wkrótce dotarł do największej. Tam odczekał chwilę, aż się upewnił – a przynajmniej był jak najbardziej o tym przekonany, że jest sam. Dopiero wtedy przez jedną z mniejszych szczelin zajrzał do środka.

Chata oświetlona była kilkunastoma słabymi lampami łożowymi i brak w niej było jakiegokolwiek umeblowania. Kilkudziesięciu tubylców stało w rzędach wokół niewielkiego, pustego koła pośrodku, w którym jakiś starszy mężczyzna za pomocą patyka kreślił na piasku rysunki i wyjaśniał coś w zupełnie niezrozumiałym języku.

Rysunek – jak przypuszczał – przedstawiał zarys wyspy. Zaznaczony był lewy brzeg rzeki, nad którym znajdowała się wioska. Mówca ciągnął liczne kreski wychodzące z samej wioski i z obu jej końców do brzegu wyspy. Wkrótce na helikopter i jego załogę miał nastąpić atak. Dowodzący od czasu do czasu wskazywał swoim patykiem na poszczególnych pobratymców. Można się było domyśleć, że sternikom canoe właśnie przydziela odpowiednie załogi w celu przeprowadzenia ataku.

Hamilton ruszył w górę rzeki, ale cały czas trzymał się granicy wioski. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy minął ostatnią chatę. Przy brzegu stało przynajmniej dwadzieścia zakotwiczonych canoe. Niektóre z nich były całkiem spore. Na samym końcu stała obdrapana motorówka, licząca około dziesięciu metrów długości. Była głęboko zanurzona w wodę, ale wciąż jeszcze nie można jej było nazwać sprzętem pływającym.

Od strony wioski stało na straży dwóch zajętych rozmową Indian. Jeden z nich pomachał nagle ręką w stronę wioski i odszedł. Hamilton cofnął się pod najbliższą chatę i przykucnął. Indianin przeszedł z drugiej strony.

Wnet wynikł następny problem, bez którego Hamilton i tak miał mnóstwo kłopotów. Jeszcze piętnaście minut wcześniej mógł pozostać tam, gdzie był i wartownik minąłby chatę niezauważwszy go. Ale to było piętnaście minut temu. Słońce już zaszło a nie zdążył jeszcze wzejść księżyc. Problem polegał na tym, że chmury, które tak niedawno zasnuwały niebo i w ten sposób dostarczyły mu tak potrzebnych ciemności, teraz nagle rozstały się i niebo rozświetliły gwiazdy. Nie wiadomo dlaczego wydaje się, że gwiazdy w tropikach zawsze świecą jaśniej i że są większe niż w klimacie umiarkowanym. Jak by nie było, to był to fakt: widzialność stała się niepokojąco dobra.

Hamilton zdawał sobie sprawę, że ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić, było czekanie. Podniósł się i szybko ruszył do przodu, trzymając nóż za ostrze. Wartownik na brzegu wpatrywał się w doskonale widoczną teraz wyspę. Nagle za nim pojawił się cień i dało się słyszeć tępe, ale silne uderzenie. To nóż Hamiltona aż po rękojęść wbił się w jego kark. Hamilton złapał wartownika, zanim ten, bezwładny, wpadł do wody i niezbyt delikatnie położył go na brzegu.

Po chwili wzdłuż zakotwiczonych łódek pobiegł do motorówki. Wyjął latarkę i – zasłaniając jej światło dłonią – oświetlił wnętrze łodzi. Było w niej co najmniej dziesięć centymetrów wody i silnik, który, zgodnie z jego przewidywaniami, okazał się kupą złomu. Absurdu dopełniały trzy garnki pływające w pobliżu, służące najwyraźniej za czerpaki do wody. Musiały stanowić kiedyś własność jakichś pałających nadmiernym entuzjazmem misjonarzy. Wąski promień światła latarki omiótł wnętrze motorówki, ale Hamilton nie znalazł żadnego źródła napędu. Żadnego masztu, żagla, wiosel czy choćby pagajów.

Ruszył więc na obchód najbliższych canoe. W ciągu kilku chwil stał się posiadaczem kilkunastu pagajów, które ukrył w motorówce. Przyciągnął do niej również dwa duże canoe. Zdjął ostrożnie linę owiniętą wokół talii, obciął z niej dwa niewielkie kawałki i za ich pomocą połączył oba canoe z motorówką. Następnie odciął oryginalną cumę konopną i cały konwój zepchnął na głęboką wodę. Potem wdrapał się do motorówki, chwycił pagaj i jak najciszej zaczął oddalać się od brzegu.

Sterując motorówką starał się ciągnąć oba canoe prostopadle do biegu rzeki. Wkrótce przekonał się, że jest to prawie niewykonalne zadanie. Motorówka była ciężka, a znajdująca się wewnątrz woda jedynie pogarszała jej manewrowość. Hamilton mógł wiosłować tylko jednym pagajem. Żeby utrzymać kurs, musiał więc przechodzić raz na jedną, raz na drugą stronę. Na chwilę przerwał, wpatrując się w widoczny teraz przed nim górny kraniec wyspy i trzykrotnie zaświecił latarką. Następnie ustawił ją wzdłuż prądu rzeki i ponowił sygnał. Dopiero po chwili odłożył latarkę i znów zaczął płynąć.

W tym czasie jeden Indianin wyszedł z chaty, w której odbywała się narada i szedł w stronę zakotwiczonych canoe. Nagle przyśpieszył kroku – prawie dobiegł do leżącego twarzą do ziemi wartownika. Strumyk krwi powoli ściekał z karku bezwładnego ciała. Indianin wyprostował się i zaczął krzyczeć, wciąż powtarzając ten sam wyraz.

Hamilton na moment przestał wiosłować i – usłyszawszy krzyki – odruchowo obejrzał się. Jakby z większą energią pochylił się nad pagajem.

* * *

Ramon i Nawarro, jakby się umówili, poszli wzdłuż rzeki na drugi koniec wyspy. Nagle stanęli, gdy z przeciwległego brzegu usłyszeli głośny krzyk, wkrótce powtórzony przez wiele gardeł. Okrzyki wydawały im się bardzo groźne.

–Myślę, że senior Hamilton na coś trafił – stwierdził Ramon. – Powinniśmy trochę zaczekać.

Obaj mężczyźni przykucnęli na brzegu, trzymając w pogotowiu strzelby i uważnie wpatrywali się w rzekę. Baryłkowaty kształt motorówki i przyczepionych do niej canoe był coraz bardziej widoczny – zaledwie w odległości trzydziestu metrów. W oddali, niezbyt widoczne, ale przecież trudne do pomylenia z czymś innym, rysowały się sylwetki rozwścieczonych tubylców spuszcających na wodę canoe.

–Staraj się dopłynąć jak najbliżej wyspy! – krzyknął Ramon. – Będziemy cię ubezpieczać!

Hamilton zerknął przez ramię. Najbliższe z kilkunastu ścigających go canoe znajdowało się zaledwie trzydzieści metrów za nim. Dwóch mężczyzn stało na ich

dziobach: jeden podnosił do ust dmuchawkę, a drugi napinał łuk.

Hamilton skulił się i desperacko spojrział w prawo. Dostrzegł Ramona i Navarrę. Widział też, że obaj złożyli się już do strzału. Po chwili dwa strzały stopiły się w jeden. Wojownik z dmuchawką przy ustach wpadł do środka canoe, a ten z łukiem miał mniej szczęścia. Wpadł do wody, a jego strzała poleciała – bezpiecznie dla uciekiniera – gdzieś w ciemności.

–Szybko! – krzyknął Hamilton. – Dołączcie do reszty!

Ramon i Nawarro oddali jeszcze kilka strzałów, ale bardziej na postrach niż z zamiarem zranienia lub zabicia kogokolwiek. Zaczęli biec. Pół minuty później dołączyli już do grupy, która z niepokojem ich wypatrywała. Hamilton bez większego powodzenia walczył o doprowadzenie swojego konwoju do celu. Zdawało się, że minie się z brzegiem wyspy zaledwie o metr czy dwa.

Ramon i Nawarro odłożyli swoje strzelby; musieli wejść do wody, by chwycić motorówkę za burtę i przyciągnąć ją do brzegu. Nikt nie wydawał żadnych rozkazów, nikt nikogo nie ponaglał. Nie było potrzeby. W kilkanaście sekund bagaże i pasażerowie znaleźli się na pokładzie motorówki, którą zepchnięto na głęboką wodę. Rozdano pagaje. Co chwilę każdy z obecnych rzucał pełne lęku spojrzenie za siebie, ale ich obawy nie były już tak uzasadnione jak przed paroma chwilami. Canoe najwyraźniej pozostawały w tyle.

–Nawet ładnie to załatwiłeś, Hamilton – powiedział Smith bez zwykłej u niego wstrzeźliwości. – I co dalej?

–Najpierw wybieranie wody. Tu gdzieś powinny pływać trzy garnki. Potem ustawimy się na środku rzeki, na wypadek, gdyby Indianom przyszło do głowy wysłanie za nami kilku strzelców wyborowych. Zaraz wzejdzie księżyc, a dzisiaj jest pełnia i niebo bez chmur. Musimy się więc martwić tylko o to, żeby szybko płynąć. Kellner i Hiller chyba już cholernie się o nas niepokoją.

–A po co ciągniemy te dwa puste canoe? – zapytał Tracy.

–Mówiłem wam wczoraj, że jakieś osiemdziesiąt kilometrów w dół rzeki znajdują się wodospady, dlatego musieliśmy przenieść nad nimi poduszkowiec. Teraz mamy do nich około trzydziestu kilometrów. Na czas ich sforsowania będziemy musieli zamienić się w tragarzy, a przecież nie damy rady przenieść motorówki. Kiedy dopłyniemy tam i wyniesiemy bagaże, to po prostu spuścimy ją w dół. Może przetrzyma upadek – wodospad ten ma zaledwie pięć metrów wysokości.

Później opróżniona z wody motorówka powoli płynęła środkiem rzeki. Sześciu mężczyźn pomagało jej w tym, ale zbytnio się nie przemęczali, jako że prąd był dość silny. Księżyc, który oświetlał przytulne brązowe wody rzeki, tworzył bardzo

malowniczy i pokojowy obrazek.

* * *

Pięć godzin później, kiedy Hamilton doprowadził konwój do lewego brzegu, jego pasażerowie mogli wyraźnie usłyszeć huk wodospadu. Nie był to ogłuszający łoskot Niagary, ale i tak trudno byłoby pomylić ten dźwięk. Dobili do brzegu i zacumowali przy jakimś drzewie. Z bagażami przebyli zaledwie sto metrów. Najpierw zajęli się wyposażeniem, potem bagażem osobistym i żywnością. Na końcu przenieśli oba canoe. Na wypadek gdyby motorówka jednak “przeżyła” upadek, zabrali ze sobą również garnki do wybierania wody.

Hamilton i Nawarro dopłynęli w canoe do miejsca, w którym nie tworzyła się już piana; jakieś sto metrów od końca wodospadu. Delikatnie wiosłowali, by utrzymać pozycję na wodzie. Obydwaj patrzyli na rzekę ponad nimi, gdzie w pocie czoła zwijał się Ramon.

Przez trzydzieści sekund widać było jedynie gładkie wody Rio da Morte spadające nagle pionowo w dół. Potem pojawił się dziób motorówki, który wydawał się kołysać, jakby się wahał: czy ma spadać, czy nie. Wkrótce łódź runęła w dół. Potem niżej, kiedy motorówka całkowicie zniknęła, pojawiła się wielka fontanna wody i dał się słyszeć głośny plusk. Minęło dobrych dziesięć sekund, zanim ponownie wypłynęła na powierzchnię. Najważniejsze było to, że motorówka w ogóle się pojawiła. I co więcej, nie była odwrócona do góry dnem.

Pełna wody motorówka dryfowała kilkadziesiąt centymetrów od burty canoe, kołysząc się bezwładnie, dopóki Hamilton nie przywiązał do niej liny. Z wielkim trudem razem z Nawarro udało im się jednak dociągnąć ją do brzegu. Dopiero wtedy można było się nią zająć.

* * *

Rzęsiście oświetlony poduszkowiec stał zakotwiczony pośrodku rzeki. Światła nawigacyjne, pokładowe i kabinowe zostały, wszystkie bez wyjątku, włączone. Z powodu piętnastogodzinnego spóźnienia Kellner i Hiller byli bliscy rezygnacji. Trudno było uwierzyć, że helikopter jeszcze do nich nie dotarł. O siebie nie musieli się niepokoić. Żeby dostać się do cywilizowanych obszarów, wystarczyło cały czas płynąć z prądem rzeki – aż do jej ujścia do rzeki Araguaia. Obaj jednak uzbroili się w cierpliwość i swoje przekonanie o słuszności takiej decyzji czerpali z głębokiej wiary w instynkt przeżycia Hamiltona. Właśnie dlatego Kellner oświetlił poduszkowiec jak drzewo choinkowe. W najmniejszym stopniu nie chciał ryzykować, by helikopter po ciemku go nie zauważył.

Kellner z Hillerem, trzymając w pogotowiu pistolety maszynowe, stali na pokładzie

między wirnikami napędowymi wysłuchując najmniejszego szumu przypominającego dźwięk silników Sikorsky'ego. Ale to nie uszy pozwoliły Kellnerowi rozpoznać to, czego szukał, tylko jego sokole oczy. Przyglądał się rzece uważnie i nagle postanowił zapalić silny reflektor pokładowy.

Za widocznym w oddali zakrętem rzeki Rio da Morte pojawiły się sylwetki łodzi. Konwój płynął na pagajach, ale wyglądał na doskonale zorganizowany.

Rozdział siódmy

Mesa poduszkowca urządzona była równie luksusowo, jak reszta posiadłości Smitha, chociaż w tym przypadku wyposażenie odpowiednio uboższe. Barek zastawiono jednak wyśmienitymi, choć może trochę arbitralnie dobranymi trunkami. W tym akurat momencie i tak otoczony był staranną opieką, gdyż rozbitkowie z helikoptera sprawiali wrażenie, jakby uszli śmierci. Może dlatego w mesie panowała prawie biesiadna atmosfera rozluźnienia, a duch tragicznie odeszłego Heffnera nikogo nie nawiedzał.

–Mieście jakieś kłopoty w nocy? – spytał Kellnera Hamilton.

–Prawie żadnych. Kilka canoe załadowanych Indianami zbliżyło się do nas koło północy, ale kiedy oświetliliśmy ich naszymi reflektorami, zawróciły i popłynęły do brzegu.

–Obeszło się bez strzelaniny?

–Nie było potrzeby.

–To dobrze. Jutro będziemy musieli zastanowić się nad odpowiedzią na następne wielkie pytanie: jak ominąć katarakty, które Indianie nazywają Hoehna.

–Katarakty? – zdziwił się Kellner. – Na mapie nie było zaznaczonych żadnych katarakt.

–Śmiem twierdzić jednak, że są. Nigdy nie forsowałem ich osobiście, chociaż oglądałem je z powietrza. Z góry nie wyglądają groźnie, ale to może być tylko złudzenie. Masz jakieś doświadczenie z przepływaniem się przez katarakty?

–Małe. Nigdy nie spotkałem niczego, przez co mój statek nie mógłby się przebić.

–Mówiono mi, że statki są w stanie przejść przez Hoehna.

–A więc nie ma problemu. Poduszkowiec może sforsować katarakty, do których statek nie będzie mógł się nawet zbliżyć.

–Znając pana, senior Hamilton – odezwał się Serrano – sądziłem, że każe nam pan od razu wyruszyć w drogę. Bezchmurna noc, pełnia; słowem cudowna noc do pływania, czy też – powinienem powiedzieć – latania?

–Wszystkim należy się porządny odpoczynek. Jutro czeka nas ciężki dzień. Do katarakt Hoehna mamy niecałe dwieście kilometrów. Kellner! Ile czasu zajmie nam dotarcie do nich?

–Trzy godziny. Nawet mniej, jeżeli tylko sobie życzysz.

–Nie forsuje się katarakt po ciemku. I tylko szaleniec podróżuje przez ten obszar nocą. Chodzi o plemię Horena.

–Horena? – zdziwił się Tracy. – To jakiś szczep indiański?

–Tak.

–Jak Chapate?

–Zupełnie ich nie przypominają. Horena to rzymskie lwy. Chapate są tylko chrześcijanami. Horena przypowiadają Chapate o napady krańcowego strachu.

–Ale mówiłeś, że Muscia...

–Muscia są dla Horena tym, czym ci ostatni dla Chapate. Tak przynajmniej o nich mówią. Dobranoc.

*** * ***

Katarakty! zawołał Ramon. – Katarakty przed nami!

Od czasu ich wypłynięcia nad ranem, w ciągu tej dwu i półgodzinnej podróży nie napotkali nic niespodziewanego. Rio da Morte, której nurt na tym odcinku płynął z szybkością prawie piętnastu węzłów, była spokojna, mimo że widoczność pogorszyła się z powodu ulewnego deszczu. Teraz jednak warunki podróży zmieniły się. Przed niebezpieczeństwem ostrzegał najpierw tylko szósty zmysł sternika, potem można było – mimo rzęskiego deszczu – zobaczyć przerażające skały wyrastające z koryta rzeki. Jedne z nich miały ostre, inne łagodne zbocza i cała rzeka usłana była setkami tych przeszkód; pomiędzy nimi kłębiły się spienione wody. Poduszkowiec nagle znalazł się na granicy manewrowości; prawie bez ostrzeżenia wpadł w ten biały, kipiący kocioł.

Gdy poprzedniego dnia wieczorem Kellner oświadczył, że ma trochę doświadczenia w przepływaniu przez katarakty, wyraźnie zgrzeszył nadmiarem skromności. Każdy postronny obserwator mógł stwierdzić, że był mistrzem. Dźwignie kontrolne

“zmuszał” prawie do tańca. Na przemian zamykał do połowy lub otwierał do końca przepustnicę, idąc pół lub całą naprzód, co – biorąc pod uwagę szybkość – mogło wydawać się szaleństwem. Ale nie było. Nie zwracając uwagi na przewody powietrza, utrzymywał maksymalne ciśnienie w fartuchach nośnych, dzięki czemu nie musiał dokonywać gwałtownych zwrotów, podczas których burty poduszkowca mogłyby się rozpruć o skały i spowodować nieszczęście. Mógł jeszcze inaczej pokonać katarakty: wybierać mniejsze lub bardziej okrągłe skały i forsować je górą. Ale i tak musiałby bardzo uważać – za wszelką cenę omijać ostre kamienie, które przy tej szybkości rozerwałyby nawet bardzo wytrzymały fartuch i doprowadziły do zaniku poduszki powietrznej. Poduszkowiec stałby się wtedy zwykłym statkiem, który zatonałby w tych warunkach po kilku minutach. Nagle Kellner zmniejszył ciśnienie z lewej strony, dodając w ten sposób więcej mocy lewemu wirnikowi, a kiedy to nie skutkowało, żeby nie utracić stabilności pomagał sobie prawym sterem. Chwilę potem wszystkie czynności wykonywał w odwrotnej kolejności. Jego zadanie stało się tym trudniejsze, że nawet szybkoobrotowe wycieraczki w oknach sterówki nie nadążały całkowicie zbierać wody.

–Może opowiesz mi teraz o tych wszystkich statkach, które podobno mogłyby sforsować te katarakty? – zaproponował nagle siedzącemu za nim Hamiltonowi.

–Sądzę, że musiano wprowadzić mnie w błąd.

Żaden z pasażerów nie odezwał się ani słowem, wszyscy zajęci byli przytrzymywaniem się, by nie wypaść z foteli. Ich podróż można było porównać do przejażdżki na kole śmierci w wesołym miasteczku, z tą różnicą, że poduszkowiec, w przeciwieństwie do swojego lądowego odpowiednika, trząsł również na boki.

–Czy widzisz to samo co ja? – Ponownie odezwał się Kellner.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi rzeka nagle urywała się. Prawdopodobnie zbliżali się do wodospadu.

–Niestety. Co teraz zamierzasz zrobić?

–Jesteś szalenie dowcipny.

Woda popychała poduszkowiec do miejsca, gdzie rzeczywiście zaczynał się wodospad. Spadek wody wynosił w tym miejscu około trzech metrów. Kellner robił jedyną rzecz, jaką mógł jeszcze świadomie zrobić: utrzymywał poduszkowiec dziobem do przeszkody.

Nagle poduszkowiec przeleciał nad przeszkodą, zanurkował i runął w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Na moment zniknął pod wodą z wyjątkiem rufy. Trwało to kilka sekund; po chwili zaczął się wynurzać. Głębiej osiadł na wodzie, co było powodem utraty ciśnienia w poduszce powietrznej wywołanym częściowym

wynurzeniem się rufy ponad powierzchnię wody.

Wewnątrz panowało ogromne zamieszanie. Kąt upadku i wstrząs spowodowały, że wszyscy wypadli ze swoich foteli. Wyposażenie, które nie zostało przymocowane do podłogi, leżało wszędzie porozrzucone. Co gorsza, szyba w jednym okienku pękła i litry wody wdzierały się do środka. Pasażerowie powoli podnosili się z pokładu. Byli poobijani i w stanie szoku, ale wydawało się, że nie było groźnych stłuczeń.

W miarę jak fartuch ponownie zaczynał wypełniać się powietrzem i woda wypływała przez samoosuszające się przegrody, można było wyraźnie odczuć, że poduszkowiec powoli wraca do swojej poprzedniej pozycji.

Trzykrotnie jeszcze narażeni byli na podobne przygody, chociaż żaden z następnych wodospadów nie był tak wysoki jak pierwszy. Wreszcie wydostali się na spokojną i wolną od skał wodę. Tylko po to, żeby dostrzec następne niebezpieczeństwo: zadrzewione brzegi ustępowały miejsca niskim skałom, które stawały się coraz wyższe i wyższe, aż wreszcie tworzyły kanion o prawie pionowych ścianach. Koryto rzeki również znacznie się zwężyło. Było o dwie trzecie węższe niż dotychczas, a tym samym prąd zwiększył swoją prędkość; poduszkowiec poruszał się więc dwa razy szybciej.

Hamilton z Kellnerem przez dobrą chwilę przyglądali się temu wszystkiemu, nim spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Potem znów uważnie wpatrywali się przed siebie. Strome skalne ściany nagle zniknęły, ale nie oznaczało to wcale odpoczynku. Kilkaset metrów dalej zwały wielkich, czarnych skał blokowały całą rzekę w poprzek.

–Pieprzone mapy – stwierdził Kellner.

–To prawda.

–Wielka szkoda. Te maszyny są cholernie drogie.

–Staraj się podpłynąć do lewego brzegu.

–Dlaczego?

–Na prawym żyją Horena.

–A więc niech będzie lewy brzeg, jak mówisz.

Skały były teraz już tylko w odległości zaledwie trzystu metrów. Wydawały się tworzyć barierę nie do przebycia dla poduszkowca, gdyż szczeliny między nimi były zbyt wąskie.

Kellner i Hamilton ponownie spojrzeli na siebie i, jak na komendę wzruszyli

ramionami. Hamilton odwrócił się do "pasażerów".

–Trzymajcie się mocno! – krzyknął. – Będziemy mieli gwałtowne hamowanie.

Ledwo to powiedział, kiedy uświadomił sobie, że sami dostrzegli, co się święci, i jego ostrzeżenie nie było potrzebne. W trosce o swoje drogie życie zdążyli już uczepić się wszystkiego, co było w zasięgu ręki.

Do skał pozostało już tylko sto metrów. Kellner starał się doprowadzić poduszkowiec do najszerszego przesmyku między skałami, tuż obok lewego brzegu.

Przez krótką chwilę zdawało się, że poduszkowiec ma szansę sforsowania tej przeszkody, jako że Kellnerowi udało się trafić w sam środek przejścia. Dziób wszedł w szczelinę bez kłopotów, ale szybko okazało się, że przesmyk jest o dobre trzydzieści centymetrów za wąski w stosunku do kadłuba. Z oszłamiającym, piskliwym zgrzytem rozrywanego metalu poduszkowiec nagle zatrzymał się i na zawsze utknął w przesmyku.

Kellner dał całą wstecz, ale poduszkowiec ani drgnął. Wyłączył więc wirniki napędowe, utrzymując ciśnienie tylko w fartuchu. Nagle wstał od koła sterowego, mrużąc pod nosem:

–Od tej pory tylko po oceanach...

* * *

Dziesięć minut później na pokładzie leżała sterta plecaków, brezentowych worków i różnych zaimprovizowanych na prędcie pojemników na bagaże, a Hamilton zajęty był przywiązywaniem wokół pasa liny.

–Do brzegu jest tylko dwadzieścia metrów – powiedział do reszty – ale prąd jest tu wyjątkowo silny. Dlatego proszę, żebyście nie wypuścili drugiego końca tej liny...

Nie było to jedyne niebezpieczeństwo. Nie skończył jeszcze mówić, gdy usłyszeli świst i na pokład osunął się Kellner z bełtem strzały w karku. Hamilton gwałtownie odwrócił się.

–Daleko na prawym brzegu, dobre pięćset metrów od nich, stała niewielka grupa – dziesięciu lub dwunastu – Indian. Każdy z nich trzymał przy ustach dmuchawkę.

–To Horena! – wykrzyknął Hamilton. – Skryjcie się za kabinę. Do środka! Ramon! Nawarro!

Ramon i Nawarro na widok bezwładnego ciała Kellnera zapominając o wszelkich zasadach humanitaryzmu, prawie natychmiast znaleźli się na dachu sterówki ze

strzelbami w rękach. Następne strzały uderzały w pokład i ściany kabiny, ale żadna z nich nie trafiła człowieka. Przez trzy sekundy bliźniacy oddali sześć strzałów. Każdy z nich potrafił trafić w cel z pięciuset metrów; z pięćdziesięciu metrów każdy z nich zamieniał się w maszynkę do zabijania. Trzech Indian wpadło do wody, a trzech pozostałych osunęło się na ziemię. Reszta czym prędzej uciekła.

Hamilton spojrzął na martwe ciało Kellnera. Horena nie zwykli byli używać timbo: zatrutej kory leśnych pnączy, która jedynie oszałamiała. Strzała, która trafiła Kellnera, prawdopodobnie była zatruta kurarą.

–Gdyby nie Kellner – powiedział – wszyscy byśmy zginęli. A teraz on nie żyje.

Nie mówiąc nic więcej wskoczył do wody. Obecnie jedynym niebezpieczeństwem był wartki prąd, jako że ani aligatory, ani piranie nie zamieszkiwały katarakt.

Za pierwszym razem zniosło go z prądem i wyciągali go z wody. Dopiero za drugim podejściem udało mu się dosięgnąć brzegu. Odczekał chwilę, by odzyskać normalny oddech; dużo nurkował. Potem rozsypał okręconą wokół talii linę i przyczepił ją do pnia drzewa. Dopiero wtedy rzucono mu drugą linę, którą starannie owinął wokół pnia i odrzucił z powrotem na pokład poduszkowca. Tam przymocowano ją do korpusu wirnika napędowego i jeszcze raz rzucono na brzeg. W ten sposób skonstruowano coś w rodzaju kolejki linowej.

Pierwszy element wyposażenia, a był nim plecak Hamiltona, został bezpiecznie przetransportowany na brzeg. Reszta bagażu dotarła tam równie sprawnie i bez większych przeszkód. Niestety, pasażerowie musieli się jednak zamoczyć.

Rozdział ósmy

Dziewięcioosobowa ciężko obciążona grupa, ociekająca potem i ślaniająca się na nogach głównie z powodu wycieńczenia, posuwała się boleśnie wolno przez skąpaną w promieniach zachodzącego słońca dżunglę tropikalną. Nawet w samo południe w jej wnętrzu panował swoisty półmrok, gdyż do trzydziestu metrów nad ziemią korony drzew i zwisające z nich płatawisko lian tworzyły skuteczną zasłonę dla promieni słonecznych.

Posuwali się tak wolno wcale nie dlatego, że przez gęste poszycie musieli wyrąbywać sobie drogę maczetami, ale głównie dlatego, że wszędzie było tyle samo bagien co stałego gruntu i na każdym kroku czyhała na nich kurzawka. Każdy z nich mógł stanąć na kawałku czegoś, co wyglądało jak kępka prawdziwej trawy i w sekundę wpaść w bagno po ramiona. Żeby przejść bezpiecznie przez taką dżunglę należało mieć przede wszystkim długi, zakrzywiony kij. Każdy kilometr drogi widziany z powietrza nierzadko wymagał pokonania pięciu kilometrów na piechotę.

Wszystkie niedogodności najbardziej ciążyły Smithowi. Jego ubranie było tak

dokładnie przesiąknięte potem, że wyglądał, jakby go dopiero wyciągnięto z wody. Nogi miał jak z waty i, z trudem łapiąc oddech, wolno poruszał ustami.

–Hamilton! – odezwał się wreszcie. – Co ty, do cholery, chcesz przez to udowodnić? Chcesz pokazać, jakim jesteś twardzielem i jakimi my, mieszcuchy, jesteśmy mięczakami? Na litość Boską, człowieku! Daj nam chwilę przerwy. Godzinny odpoczynek nie zbawi nas przecież.

–Nie. Ale mogą nas zabić Horena.

–Przecież mówiłeś, że ich tereny są po drugiej stronie rzeki.

–Tak sędzę. Ale nie zapominaj, że zabiliśmy sześciu ich wojowników. Horena są fanatykami zemsty. Nie dam sobie głowy uciąć, czy nie przeprawili się przez rzekę i nie idą teraz naszym tropem. Cała setka wojowników może na nas czekać nawet sto metrów dalej, z dmuchawkami gotowymi do strzału. Nawet ich nie zauważymy, gdy będzie za późno.

Okazało się, że Smith posiadał ukryte rezerwy siły i wytrwałości, z których sam nie zdawał sobie sprawy. Nagle szybko zaczął iść do przodu...

* * *

Pod wieczór dotarli do rozległej, bagnistej polany. Większość ludzi snuło się już tylko, a nie szło.

–Wystarczy – zdecydował Hamilton. – Tu rozbijemy obóz.

Wraz z nadchodzącymi ciemnościami las zdawał się ożywać. Zewsząd dochodziły ich głosy, głównie papug zwykłych i długoogoniastych oraz papug ara. Małpy wrzeszczały, żaby rechotały i od czasu do czasu dawał się słyszeć zduszony gęstwiną leśną ryk jaguara.

Wszędzie natknąć się można było na pnącza, winorośla, parazytyczne orchidee, a na samej polanie na egzotyczne kwiaty mieniące się wszystkimi barwami. Powietrze było wilgotne i duszące, unoszącym się dookoła zapachem bagna, a upał wszechogarniający i denerwujący. Ziemia zaś przypominała nieprzerwane pasmo grubego, śliskiego i potwornie cuchnącego błota.

Wszyscy, nawet Hamilton, z ulgą zwalili się na jakikolwiek skrawek suchego gruntu, jaki tylko udało im się znaleźć. Nad rzeką, na wysokości drzew, kilka ptaków z olbrzymimi skrzydłami wisiało nieruchomo na niebie. Nie poruszały się. Wyglądały złowieszczo i ponuro.

–Co to za strasznie wyglądające stwory? – spytała Maria.

–To urubusy – odparł Hamilton. – Amazońskie sępy. Chyba czegoś szukają.

Maria zadrżała, a reszta patrzyła na ptaszyska z nieszczęśliwymi minami.

–Niezbyt wyszukane towarzystwo – stwierdził Hamilton. – Ludożercy, łowcy głów lub sępy. A skoro już mowa o ludożercach to sądzę, że odrobina świeżego mięsa bardzo by się nam przydała. Są tu dzikie indyki, zwane przez tubylców armadillo, i dziki. Bardzo smaczne. Nawarro, pójdiesz ze mną?

–Ja też się wybiorę – wtrącił Ramon. – Ty zostaniesz. Trzeba mieć odrobinę wyobraźni. Ktoś musi opiekować się tymi biednymi duszyczkami.

–I mieć nas na oku – dorzucił Tracy.

–Nie wyobrażam sobie, co moglibyście przeszkrobać w tym miejscu.

–A twój plecak?

–Nie rozumiem.

–Wydawało się – z naciskiem zaznaczył Tracy – że Heffner, zanim go zamordowałeś, znalazł w nim coś...

–Zanim pana Heffnera spotkał jego niefortunny koniec – sprostował Ramon. – To właśnie chciał powiedzieć pan Tracy.

Hamilton przeciągle spojrział w oczy Tracy'ego. Po długiej chwili razem z Nawarro wyruszył w dżunglę. Jakies dwieście metrów od miejsca obozowiska ostrzegawczo położył rękę na ramieniu kompana i wskazał przed siebie. W odległości czterdziestu metrów przed nimi stał quixada, najbardziej niebezpieczny ze wszystkich dzików na świecie. Zwierzęta te prawie całkowicie pozbawione są uczucia strachu; znane są liczne przypadki atakowania przez nie całymi stadami miasteczek, zmuszając ich mieszkańców do zamykania się w domach.

–Kolacja – oznajmił Hamilton.

Nawarro skinął potakująco głową i złożył się do strzału. Potrzebował, jak zwykle, tylko jednego strzału. Po chwili powoli ruszyli w stronę zabitego zwierzęcia, ale po kilku krokach stanęli jak wryci na widok wynurzającego się z lasu stada, liczącego ponad trzydzieści sztuk. Dzikie zatrzymały się chwilę, ryjąc ziemię, po czym ruszyły dalej. Nie można się było mylić, co do ich intencji.

W dorzeczu Amazonki tylko nadbrzeżne drzewa mają nisko rosnące konary, bo tylko tam docierają promienie słoneczne. Hamilton i Nawarro dopadli gałęzi najbliższego drzewa tuż przed goniącym ich stadem, które okrążyło już swoją

zdobycz. Nagle – jakby za sprawą jakiegoś niewidzialnego i niesłyszalnego sygnału – dziki zaczęły ryć szablami ziemię wokół drzewa. Korzenie drzew dorzecza Amazonki, podobnie jak korzenie olbrzymich sekwoi kalifornijskich, są nadzwyczaj długie i, niestety słabo i płytko osadzone.

–Rzekłbym, że one już kiedyś robiły coś podobnego – stwierdził Nawarro. – Jak myślisz? Ile czasu im to zajmie?

–Niewiele.

Hamilton wydobył pistolet i zastrzelił najbardziej aktywnego dzika – chyba przywódcę stada – jaki znalazł się w zasięgu strzału. Martwe zwierzę zważyło się wprost do rzeki. W kilka sekund gładka powierzchnia wody skłębiła się tysiącami zmarszczek, a w powietrzu dał się słyszeć wysoki, przenikający aż do kości, gwizdzący szum wywołany cienkimi jak igły zębami żarłocznych piranii, zajmujących się oddzielaniem mięsa od kości.

Nawarro kaszlnął, jakby mu stanęło coś w gardle.

–Może powinieneś zastrzelić któregoś z bardziej oddalonych od rzeki – podpowiedział.

–Quiexada z jednej strony, piranie z drugiej – Hamilton wyliczał. – Nie zauważyłeś przypadkiem na gałęziach jakiegoś boa dusiciela?

Nawarro odruchowo spojrział w górę, a dopiero potem ponownie w dół, na z entuzjazmem “pracujące” dziki. Obydwaj zaczęli strzelać, kładąc trupem z tuzin zwierząt.

–Następnym razem, kiedy wybiorę się polować na quiexada, jeżeli w ogóle będzie jakiś następny raz – stwierdził Nawarro – wezmę ze sobą pistolet maszynowy. Mój magazynek jest już pusty.

–Mój również.

Widok martwych współtowarzyszy wydawał się jedynie zwiększać żądzę krwi u reszty stada. Z dziką wściekłością szarpały korzenie i wiele z nich udało im się przeciąć.

–Senior Hamilton – ponownie odezwał się Nawarro. – Albo zaczynam się trząść ze strachu, albo to drzewo stało się... jak to się mówi?

–Chwiejne?

–Właśnie.

–Nie jestem tobą. Sam musisz osądzić.

Nagle dał się słyszeć strzał i zobaczyli, jak martwy dzik osunął się pod nimi na ziemię. Hamilton i Nawarro spojrzeli do tyłu. W odległości około czterdziestu metrów z dziwnym pakunkiem na plecach stał Ramon, który ukrył się pod zwisającymi gałęziami. Strzelał jednak nieprzerwanie i – jak zawsze – skutecznie. Nagle jednak dał się słyszeć suchy trzask iglicy uderzającej o pustą komorę. Hamilton i Nawarro spojrzeli na siebie w zamyśleniu, ale Ramon wydawał się niewzruszony. Z kieszeni wyjął nowy magazynek, założył go i... strzelał dalej. Kolejne trzy strzały prawdopodobnie uświadomiły dzikom, że zagraża im niebezpieczeństwo. Dziesiątkowane stado uciekło wreszcie w gęstwiny.

Trzech mężczyzn wracało wolno do obozu, wlokąc za sobą jednego martwego dzika.

–Usłyszałem strzały, więc przyszedłem – wyjaśnił Ramon. – Oczywiście zabrałem ze sobą mnóstwo zapasowej amunicji.

Z kamienną twarzą poklepał dłonią po wypchanej kieszeni i wzruszył ramionami z przeproszącą miną.

–To wszystko przeze mnie – oświadczył. – Nigdy nie powinienem pozwolić wam na tę samotną wyprawę. Trzeba czuć las...

–No dobra. Zamknij się już – przerwał Hamilton. – Dobrze, że pomyślałeś o zabraniu ze sobą mojego plecaka.

–Nie powinno się wodzić słabych na pokuszenie – odparł Ramon tonem kaznodziei.

–Uspokój się wreszcie – wtrącił Nawarro. – Bóg świadkiem, że już przedtem był nie do zniesienia – dodał, patrząc na Hamiltona – ale teraz...

*** * ***

Nad ogniskiem, płonącym w zupełnych ciemnościach, pełno było steków z dzika, skwierczących na lśniących kawałkach żarzącego się drewna.

–Rozumiem, że musieliście sobie postrzelać – odezwał się Smith. – Ale gdyby w pobliżu czaili się Horena... To przecież musiało zwrócić uwagę wszystkich w promieniu kilku kilometrów.

–Nie ma obawy – odparł Hamilton. – Żaden z plemienia Horena nie zaatakuję nocą. Jeżeli zginie w nocy, to jego dusza będzie się błąkać wiecznie po ziemi. Jego Bóg musi widzieć, jak on umiera... – końcem noża dźgnął najbliższy stek. – Rzekłbym, że są już prawie dobre.

Dobre czy nie, wszystkie steki zostały zjedzone z dużym apetytem.

**–Byłyby lepsze, gdyby z tydzień kruszały – oznajmił Hamilton, kiedy wszyscy skończyli już jeść. – Ale i tak były bardzo smaczne. A teraz chodźmy spać
Wyruszamy o świcie. Biorę pierwszą zmianę warty.**

Zaczęli przygotowywać się do snu. Jedni kładli się do nieprzemakalnych śpiworów, inni na lekkie hamaki rozwieszane między drzewami na skraju polany. Hamilton dorzucił trochę drewna do ogniska i nie przerywał tej czynności, dopóki płomień nie zaczęły strzelać na trzy metry w górę. Potem, z maczetą w rękę, poszedł po nowe drewno. Wrócił z naręczem gałęzi, których większość od razu wrzucił do ogniska.

–Trzeba ci przyznać – zauważył Smith – że wiesz, jak rozpalać duży płomień. Ale czemu ma to służyć?

–Bezpieczeństwu. Ogień trzyma wszelkie robactwo na odległość, dzikie zwierzęta też boją się ognia.

Późniejsze wydarzenia miały pokazać, że miał rację tylko częściowo.

Kończył właśnie trzecią wyprawą do lasu po drewno i wracał już do obozu, kiedy doszedł go przenikliwy krzyk. Rzucił gałęzie i biegiem wrócił do obozu. Domyślał się, że taki okrzyk mógł się dobywać jedynie z gardła Marii. Kiedy dobiegł do jej hamaka, ujrzał przyczynę jej przerażenia: olbrzymia, dziesięciometrowa anakonda, wciąż jeszcze zaczepiona ogonem o gałąź drzewa, na którym rozwieszony był hamak Marii, okręciła się już jednym zwojem wokół nóg kobiety. Olbrzymia paszcza anakondy była szeroko rozdziawiona. Maria nie była jeszcze unieruchomiona w śmiertelnym uścisku, tylko po prostu sparaliżowana ze strachu.

Nie było to pierwsze spotkanie Hamiltona z anakondą. Czuł duży respekt dla tych węży, ale nic ponadto. Wiedział też, że dorosły osobnik tego gatunku potrafi połknąć w całości siedemdziesięciokilogramową zdobycz. Węże te były nieskończenie cierpliwe w oczekiwaniu na nadejście posiłku, ale jednocześnie szalenie powolne w działaniu. Maria wciąż krzyczała, pogrążona w strachu, a on zbliżył się na kilka kroków do wzbudzonego przerażenia łba. Jak każda istota żyjąca na świecie, anakonda nie była w stanie wytrzymać trzech kul z lugera, które przeszły jej głowę. Ale nawet martwa dalej zaciskała kostki dziewczyny. Hamilton próbował odplątać oślizłe zwoje, gdy odepchnął go Ramon. Starannie celując, dwie kule wpakował w górną część kręgosłupa, w której znajdowały się główne sploty nerwowe. Anakonda natychmiast zwiótzała...

Hamilton przeniósł Marię na swoje legowisko obok ogniska. Dziewczyna była w stanie głębokiego szoku. Hamilton wielokrotnie słyszał, że pacjenta w szoku należy przede wszystkim ogrzać. Zanim jednak dokończył tę myśl, obok niego pojawił się

Ramon ze śpiworem. Wspólnymi siłami wsunęli dziewczynę do środka i zaciągnęli zamek błyskawiczny. Potem usiedli i czekali. Nawarro dołączył do nich i – wskazując kciukiem Smitha powiedział:

–Przypatrzcie się naszemu walecznemu bohaterowi. Śpi? Jest całkiem rozbudzony. W ogóle nie spał. Obserwowałem go przez cały czas.

–Mogłeś przyjść i obserwować nas! – skarżył się Ramon.

–Gdybyście nie mogli sobie poradzić z takim bezmyślnym gadem, to by oznaczało, że wszyscy powinniśmy już przejść na emeryturę. Obserwowałem jego twarz. Był tak przerażony, że wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Chociaż jestem pewien, że nie miał na to najmniejszej ochoty. Czy dziewczyna jest ranna?– Na szczęście nie – odparł Hamilton. – Obawiam się, że to wszystko stało się głównie z mojej winy. Rozpaliłem wielkie ognisko, żeby odstraszyć dzikie zwierzęta. A przecież anakondy tak samo jak inne zwierzęta boją się ognia. Ta tutaj chciała po prostu się oddalić. Tylko pech sprawił, że siedziała akurat na drzewie, do którego przywiązano hamak Marii. Jestem pewien, że nic jej nie groziło. Gad po prostu zsuwał się z drzewa. Ma rozdęty brzuch, co znaczy, że jest najedzony i dzisiejszej nocy nie potrzebował następnego posiłku. Sądzę, że właśnie strach przed ogniem zmusił go do wędrówki w dół. Wszystko to jest bardzo pechowe, ale na szczęście nikomu nie stała się żadna krzywda.

–Może – odparł Ramon. – Mam nadzieją, że żadna.

–Masz nadzieję? – zdziwił się Hamilton.

–Trauma. Jak głęboki szok może nastąpić po czymś takim? Bo to oczywiście traumatyczne przeżycie, ale sądzą, że tylko częściowo było przyczyną aż takiego szoku. Mam wrażenie, że całe jej życie jest jednym pasmem podobnych przeżyć...

–Zanurzasz się w głębokich wodach psychologii, psychiatrii czy czegoś tam jeszcze – Hamilton nie uśmiechał się, kiedy to mówił.

–Zgadza się z Ramonem – wtrącił Nawarro. – Jesteśmy bliźniakami – dodał przepraszająco. – Coś tu nie gra albo wygląda zupełnie inaczej, niż jest w rzeczywistości. Jej zachowanie, to, co robi, sposób, w jaki mówi i uśmiecha się. Trudno mi uwierzyć, żeby była taka zła albo że jest zwykłą dziwką. Wiemy, że to Smith jest zły. Ona na szczęście zupełnie się nim nie przejmuje. Każdy głupiec może to dostrzec. A więc, o co tu chodzi?

–No cóż – Hamilton przemówił tonem sędziego wydającego wyrok. – On ma wiele do zaoferowania...

–Nie zwracaj uwagi na seniora Hamiltona – powiedział Ramon. – On tylko próbuje

nas sprowokować.

Nawarro przytaknął bratu skinieniem głowy.

–Sądzę – powiedział – że ona jest jego więźniem.

–Możliwe. Bardzo możliwe. Ale czy któremuś z was przyszło do głowy, że to on może być jej więźniem? I wcale nie zdawać sobie z tego sprawy?

Nawarro spojrzał na brata, a potem odparł oskarżycielskim tonem:

–Znowu się zaczyna, senior Hamilton. Wiesz o czymś, o czym my nie wiemy, i nie mówisz nam tego.

–Nie wiem nic, o czym byście nie wiedzieli. I nie mam też zamiaru przekonywać was, że umiem patrzeć dokładniej, czy też, broń Boże, myśleć głębiej. Ale cóż! Jesteście tacy młodzi...

–Młodzi? – oburzył się Nawarro. – Żaden z nas nie przekroczy jeszcze raz trzydziestki.

–No, przecież mówię – Hamilton położył palec na ustach. Maria poruszyła się. Otworzyła oczy, pełne strachu i przerażenia, wciąż jeszcze powiększone wspomnieniem. Hamilton dotknął delikatnie jej ramienia.

–Już wszystko w porządku – powiedział. – Wszystko skończone.

–Ta okropna, przerażająca głowa – mówiła ledwo słyszalnym szeptem i cała się trzęsła. Ramon wstał i gdzieś odszedł. – Okropny wąż...

–Ten wąż nie żyje – odparł Hamilton. – A tobie nic się nie stało. Przyszekamy, że już nic ci się nie stanie.

Przez jakiś czas leżała z zamkniętymi oczyma, ciężko oddychając. Otworzyła je dopiero wtedy, kiedy wrócił Ramon i przyklęknął tuż przy niej. W jednej ręce trzymał aluminiowy kubek, w drugiej – butelkę.

–A co to jest? – zainteresował się Hamilton.

–Przedni koniak – odpowiedział Ramon – jak się tego można było spodziewać. Prosto z prywatnych zapasów Smitha.

–Nie lubię brandy – odparła.

–Ramon ma rację. Lepiej, żebyś polubiła. Potrzebujesz czegoś takiego.

Ramon nalał szczodłą ręką. Spróbowała odrobinę, zakrztusiła się, a potem zamknęła oczy i wypila resztę dwoma łykami.

–Dobra dziewczynka – stwierdził Hamilton.

–Okropne – powiedziała, patrząc na Ramona. – Ale dziękuję, już się czuję lepiej – rozejrzała się wokół i ponownie w jej oczach pojawił się strach. – Ten hamak...

–Nie będziesz już spała w hamaku – powiedział Hamilton. – Oczywiście teraz jest on zupełnie bezpieczny. To był czysty przypadek, że anakonda znalazła się akurat na tym samym drzewie, na którym rozpięto twój hamak. Ale rozumiemy, że nie chcesz tam wracać. Leżysz teraz w śpiworze Ramona na materacu. I zostaniesz tu. Przez całą noc będziemy utrzymywać wielkie ognisko, a jeden z nas bez przerwy będzie cię miał na oku aż do rana. Przrzekam ci, że do rana nawet jeden moskit nie zbliży się do ciebie.

Powoli odwracała głowę, patrząc na każdego z nich.

–Wszyscy jesteście bardzo mili dla mnie – powiedziała matowym głosem. Próbowała uśmiechnąć się, ale była to próba nieudana. – Po prostu ratujecie kobietę w potrzebie, prawda?

–Może nawet chodzi o coś więcej – odparł Hamilton. – Ale to nie pora na takie rozmowy. Postaraj się zasnąć. Jestem pewien, że Ramon zapewni ci jakieś przykrycie, żeby ci było cieplej... O cholera!

Smith, który najwyraźniej doszedł do wniosku, że wystarczająco długo zachowywał dystans wobec tego wydarzenia, zbliżył się właśnie, całą swoją postawą manifestując oburzenie wywołane spoufaleniem się Marii z trzema mężczyznami. Uklęknął przy niej. Hamilton natomiast wstał, spojrział na niego, odwrócił się do niego plecami i odszedł w towarzystwie bliźniaków.

–Senior Hamilton – zagaił Ramon. – Były już quixada, piranie, anakonda, chora dziewczyna, a teraz jeszcze trafił się nam czarny charakter. Wybranie tak boskiego miejsca na odpoczynek w tak wyszukany towarzystwie wymaga wyjątkowego daru, który nie każdemu jest dany.

Hamilton tylko popatrzył na niego w milczeniu, zanim wyruszył do lasu po następną wiązkę drewna.

* * *

Wczesnym rankiem Hamilton prowadził swoją grupę w szeregu przez dżunglę, ale już po coraz twardszym gruncie. Twardszym, ponieważ na tym odcinku teren wznosił się nieco i nadmiar wody spływał w dół. Po blisko dwóch godzinach marszu

zatrzymał się i poczekał, aż wszyscy do niego dojdą.

–Od tej pory – powiedział – żadnych rozmów. Nawet jednego słówka. I uważajcie, gdzie stawiacie stopy. Nie chcę słyszeć trzasku łamanej gałęzi. Zrozumiano? – Potem spojrział na Marię, która wyglądała na wyczerpaną i była blada jak papier. Nie tyle z powodu forsownego marszu, ile na skutek przeżyć ostatniej nocy. Jak to ładnie ujął Ramon: dla niej było to coś więcej niż zwykły szok.

–Już niedaleko – dodał – najwyżej pół godziny marszu. Potem odpoczniemy i całe popołudnie będziemy pod dobrą opieką.

–Czuję się dobrze – odparła Maria. – Po prostu zaczynam nienawidzić tej dżungli. Sądzę, że znowu mi powiesz, że nikt mi nie kazał iść z wami.

–Na każdym drzewie widzisz węża, prawda?

Maria w milczeniu skinęła potakująco głową.

–Już nigdy więcej nie będziesz musiała spędzać nocy w dżungli – odparł Hamilton. – To jeszcze jedna obietnica, którą dotrzymam.

–Domyślam się – wtrącił Tracy – że może to oznaczać tylko jedno. Jeżeli dobrze zrozumiałem, to wieczorem znajdziemy się już w Zaginionym Mieście.

–Jeżeli wszystko ułoży się pomyślnie.

–A więc wiesz, gdzie jesteśmy?

–Tak.

–Wiedziałaś od samego początku. Od chwili, kiedy rozbił się poduszkowiec.

–To prawda. Jak na to wpadłaś?

–Bo od tamtej pory nie używałeś kompasu.

Dokładnie pół godziny później, zgodnie z obietnicą, Hamilton zatrzymał się, ponownie kładąc palec na ustach. Raz jeszcze czekał, aż wszyscy do niego dojdą.

–Od tego zależy wasze życie – wyszeptał. – Żadnego dźwięku, aż wam powiem, że można mówić. A teraz wszyscy na czworaka i ani mru-mru.

Czołgali się w absolutnej ciszy. Hamilton wyprzedził wszystkich i czołgał się pomagając sobie łokciami i odpychając palcami stóp. Kolejny raz zatrzymał się. Wskazał na coś przed sobą, co leżało między drzewami. Przed nimi, pośród soczystej zieleni doliny rozpościerającej się niżej, leżała indiańska wioska. Składała

się z kilkunastu dużych chałup, a w jej środku widoczna była o wiele większa chata, która z łatwością mogła pomieścić około dwustu osób. Wioska wydawała się wymarła, dopóki niespodziewanie nie pojawił się w niej miedzianoskróy dzieciak taszczący siekierę i orzech kokosowy. Ułożył go sobie na płaskim kamieniu i zaczął rozłupywać. Był to obrazek, jakby żywcem przeniesiony z epoki kamiennej, z samego zarania historii. Nagle z sąsiedniej chaty wyszła uśmiechnięta kobieta, o budowie greckiej rzeźby i równie miedzianej skórze, i wciągnęła chłopca do środka.

–Ten kolor – odezwał się Tracy, nie mogąc wyjść ze zdumienia. – Ten wygląd... To nie są Indianie.

–Mów ciszej – upomniał go Hamilton. – To są Indianie, tylko nie pochodzą z dorzecza Amazonki. Przywędrowali tutaj znad Pacyfiku.

Tracy gapił się na niego w niemym zdumieniu i z niedowierzaniem kręcił głową.

Nagle z dużej chaty wysypały się tłumy. To, że nie pochodzili znad Amazonki było widoczne chociażby dlatego, że w tłumie znajdowały się zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Bowiem u ludów z dorzecza Amazonki wstęp do miejsc zebrzań starszyny i wojowników kobietom jest zakazany. Wszyscy oni mieli tak samo miedzianą skórę, tę samą dumną, by nie powiedzieć królewską, postawę. Powoli rozchodzili się do swoich chat.

Smith dotknął ramienia Hamiltona i cicho spytał:

–Kim są ci ludzie?

–To Muscia.

–Ci przekłęci Muscia! – szepnął z nienawiścią, aż zbladł jak papier. – W co ty, do cholery, grasz? Mówiłeś, że to łowcy głów i że noszą zminiaturyzowane skalpy jako trofea. Że są kanibalami. Ja wracam!

–A niby dokąd, pajacu? Nie masz dokąd uciekać. Zostań na miejscu. I nie pokazuj im się na oczy pod żadnym pozorem.

Rada była zupełnie zbyteczna. Nikt z obecnych nie wykazywał najmniejszej ochoty na wystawienie z ukrycia choćby czubka głowy.

Hamilton wstał i ufnie wkroczył na polanę. Zanim go zauważono uszedł może dziesięć kroków. Zapadła cisza. Po chwili bardzo wysoki Indianin, starzec obwieszony bransoletami, co do których nawet z tej odległości nie miało się wątpliwości, że są ze złota, przyjrzał się uważnie Hamiltonowi, a potem podbiegł do niego i serdecznie się z nim przywitał.

Stary człowiek, który najprawdopodobniej był wodzem wioski, wdał się w ożywioną, choć niezrozumiałą dla oddalonych widzów rozmowę z Hamiltonem. Wódz kilkakrotnie kręcił głową z wyrazem niedowierzania na twarzy. Hamilton wyciągnął rękę i kreślił nią półkole. Rozmówca przyglądał mu się długo, a potem złapał go za ramiona, uśmiechnął się i zezwalająco pokiwał głową. Po chwili odwrócił się i szybko powiedział coś do swoich współplemienników.

–Rzekłbym, że tych dwóch spotkało się już kiedyś – zauważył Tracy.

Wódz skończył przemawiać do swoich ludzi, którzy do tej pory zgromadzili się już na polanie, i ponownie powiedział coś do Hamiltona. Ten skinął głową.

–Możecie wychodzić! – krzyknął do czekających towarzyszy wyprawy. – Trzymajcie ręce z dala od jakiegokolwiek broni.

Wkroczyli na polanę. Stwierdzenie, że uczynili to w stanie osłupienia byłoby przesadą, ale prawdą jest, że nie rozumieli do końca, co się dzieje.

–To jest wódz Corumba – Hamilton przedstawił im swojego rozmówcę, a następnie wodzowi – całą ósemkę. Ten z powagą potrząsał głową przy każdej kolejnej prezentacji i ścisnął wszystkim ręce.

–Indianie przecież nie mają zwyczaju podawania rąk – zauważył Hiller.

–Ten Indianin ma.

Maria dotknęła ramienia Hamiltona.

–To przecież dzicy łowcy głów...

–Są to najgrzeczniejsi, najmiłsi i najbardziej pokojowo nastawieni ludzie na ziemi. Nawet nie mają w swoim języku słowa oznaczającego wojnę, bo po prostu nie wiedzą, co to jest. Są to Dzieci Słońca zaginionej epoki, które zbudowały Zaginione Miasto.

–I pomyśleć, że uważałem, iż wiem więcej o plemionach zamieszkujących Mato Grosso niż jakikolwiek żyjący dziś człowiek – stwierdził Serrano.

–I być może tak jest rzeczywiście. Jeśli wierzyć słowom pułkownika Diaza.

–Pułkownika Diaza? – zdziwił się Smith. Najwyraźniej poczuł się nagle jak początkujący pływak na głębokiej wodzie. – Kto to jest pułkownik Diaz?

–To mój przyjaciel.

–Ale ich okrutna reputacja... – odezwał się Tracy.

–Została wymyślona przez doktora Hannibala Hustona, “odkrywcę” tych ludzi. Pomyślał on, że taka właśnie reputacja może zapewnić im, jak by to ująć, odrobinę intymności.

–Huston? – zdziwił się Hiller. – Huston? Odnalazłeś Hustona?

–Wiele lat temu.

–Ale przecież jesteś w Mato Grosso dopiero od czterech miesięcy.

–Ale znałem je od lat. Pamiętasz jak w Hotelu de Paris w Romono wspominałeś o moich poszukiwaniach złotych ludzi? Zapomniałem ci wtedy powiedzieć, że spotkałem ich wiele lat temu. Oto oni. Dzieci Słońca.

–A doktor Huston wciąż jest w Zaginionym Mieście? – spytała Maria.

–Wciąż tam jest. Chodźcie. Sądzę, że ci dobrzy ludzie pragną nas ugościć. Przedtem jednak jestem wam winien pewne wyjaśnienia.

–Najwyższy czas – z przekąsem powiedział Smith. – Tylko po co było to teatralne skradanie się?

–Gdybyśmy spróbowali się do nich zbliżyć otwarcie, całą grupą, to by uciekli. Mają wiele powodów, żeby obawiać się ludzi, którzy przychodzą z zewnątrz. Określają nas, jak na ironię, civilizados, a praktycznie rzecz biorąc są o niebo bardziej cywilizowani od nas. Przynosimy im tak zwany postęp, który ich niszczy; tak zwane zmiany, które także im szkodzą; tak zwaną cywilizację, która też im szkodzi; a przede wszystkim choroby, które ich zabijają. Ludzie ci nie mają naturalnej odporności na różyczkę czy grypę. Każda z tych chorób jest dla nich tym samym, co morowe powietrze w Europie lub w Azji w średniowieczu. Taka epidemia może zmieść z powierzchni ziemi połowę plemienia w ciągu jednej doby. Coś takiego właśnie przydarzyło się ludom z Tierra del Fuego. Pełni dobrej woli misjonarze obdarowali ich ubraniami i bielizną; głównie po to, żeby kobiety ukryły swoją nagość. Prześcieradła nadeszły ze szpitala, w którym leczono chorych na różyczkę. Większość ludzi z tego plemienia wkrótce umarła.

–W takim razie nasza obecność tutaj również im zagraża – zauważył Tracy.

–Nie. Prawie połowa plemienia Muscia została wyniszczona przez wirusy – jak już mówiłem – różyczki lub grypy. Pozostali przeżyli i “zdobyli” odporność. Odnalazł ich doktor Huston. Był on znany głównie jako odkrywca, chociaż jego prawdziwa praca polegała na czymś innym. Był on jednym z pierwszych sertanistas – ludzi znających zwyczaje życia plemion – oraz członkiem-założycielem Narodowej Fundacji Indian. FUNAI, bo tak zwykło się określać tę organizację, skupia ludzi, którzy swoje życie poświęcają dla ochrony praw Indian i uczynienia ich nieszkodliwymi dla Civilizados.

Zwykle określa się taką działalność mianem “pacyfikacji”, ale tak naprawdę to trzeba było chronić ich przed cywilizacją. Oczywiście wiele plemion było dzikich – dzisiaj żyje zaledwie dwieście tysięcy Indian czystej krwi – i sporo z owej dzikości miało swe źródło w strachu i to raczej zrozumiałego. Nawet współcześnie wielu gentlemenów z całego świata oraz prawie wszyscy Brazylijczycy strzelali do nich, obrzucali ich dynamitem i sprzedawali zatrutą żywność.

–Pierwszy raz o tym wszystkim słyszę – odezwał się Smith – a przecież żyję w tym kraju od wielu lat. Szczerze mówiąc, trudno mi w to wszystko uwierzyć.

–Serrano może potwierdzić moje słowa.

–I potwierdzam. Rozumiem, że ty także jesteś sertanistą.

–Owszem. Nie zawsze jest to wesoła funkcja. I nam zdarzały się wpadki. Chapate i Horena jak sami widzieliście, bardzo źle znoszą jakąkolwiek myśl o współpracy z białymi. No i przynosimy ze sobą choroby. Tak jak tutaj. Ale teraz już chodźmy. Wódz Corumba zaprasza nas na posiłek. Potrawy mogą mieć dziwny smak, ale zapewniam was, że nikomu nie zaszkodzą.

* * *

Godzinę później goście wciąż jeszcze siedzieli wokół grubo ciosanych, okrągłych drewnianych stolików ustawionych przed największą chatą. Na stołach leżały resztki doskonałego, lecz odrobinę egzotycznego jedzenia: dziczyzna, ryby, owoce i jakieś inne nieznanne delicje, których prawdziwego pochodzenia lepiej było nie dochodzić. A wszystko to polane cachassa – rodzajem dość mocnego piwa. Wreszcie Hamilton w imieniu wszystkich podziękował wodzowi Corumbie.

–Sądzę, że czas ruszać dalej – oznajmił swoim towarzyszom.

–Jedna tylko rzecz wciąż mnie intryguje – odezwał się Tracy – nigdy w życiu nie widziałem tylu złotych ozdób.

–Tak właśnie myślałem, że to najbardziej cię zainteresuje.

–Skąd się tu wzięli ci ludzie?

–Sami nie wiedzą. To są naprawdę Zaginieni Ludzie. Zagubili wszystko, włącznie z własną historią. Według teorii doktora Hustona są potomkami plemienia Quimbaya, starego ludu z okolic dolin Cauca lub Magdaleny w Zachodnich Andach Kolumbijskich.

–To co, u licha, robiliby tu? – zdziwił się Smith.

–Tego nikt nie wie. Doktor Huston wysunął teorię, że opuścili swoje siedziby setki lat temu. Uważa, że uciekli na wschód, znaleźli główny bieg Amazonki i popłynęli nią w dół do Rio Tocantis. Tam skręcili i dopłynęli aż do Aragui, a potem znów w górę Rio da Morte. Ale któż to może wiedzieć na pewno? W historii tych obszarów znane są jeszcze dziwniejsze migracje ludności. Całą drogę mogli pokonać przez kilkadziesiąt lat. Przecież musieli podróżować ze swoim dobytkiem. Chociaż ja jestem zwolennikiem tej teorii. Gdy zobaczycie Zaginione Miasto, sami zrozumiecie dlaczego.

–Jak daleko jeszcze do tego przeklętego miasta? – zapytał Smith.

–Pięć godzin marszu. Może sześć.

–Pięć godzin!

–Teraz to już łatwa droga. W górę, ale za to bez bagien, bez kurzawki. – Odwrócił się do wodza Corumby, który uśmiechnął się i raz jeszcze go uściskał.

–Życzy nam szczęścia? – zainteresował się Smith.

–Owszem. Oraz wielu innych rzeczy. Jutro dłużej sobie z nim pogadam.

–Jutro?

–A czemu nie?

Smith, Tracy i Hiller wymienili szybkie i znaczące spojrzenia. Żaden z nich nie odezwał się jednak ani słowem.

Tuż przed wyruszeniem w drogę Hamilton podszedł do Marii.

–Zostań w wiosce – powiedział cicho. – Ci ludzie zaopiekują się tobą. Obiecuję. Tam, dokąd idziemy, to nie jest miejsce dla damy.

–Idę z wami.

–Jak chcesz. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jutro wieczorem nie będziesz już żyła.

–Przecież zupełnie ci na mnie nie zależy, Prawda?

–Wystarczająco jednak, żeby cię prosić o pozostanie w wiosce.

* * *

Późnym popołudniem grupa Hamiltona wciąż była w drodze do Zaginionego Miasta.

Trasa była doskonała, sucha, w cieniu drzew.

Na nieszczęście dla ludzi takich jak Smith stok, po którym wchodzili, był bardzo stromy, a upał, jak zwykle, deprymujący.

–Sądzę, że możemy sobie zrobić półgodzinną przerwę – oznajmił Hamilton. – Jesteśmy trochę przed czasem. I tak nie możemy tam wejść przed zapadnięciem zmierzchu. No i niektórzy z was pewnie są przekonani, że już zasłużyli na wypoczynek.

–Zasłużyliśmy jak cholera – oznajmił Smith. – Jak długo jeszcze zamierzasz nas tak katować?

Upadł wycieńczony na ziemię i wytarł chustką twarz ociekającą potem. Z wyjątkiem Hamiltona i bliźniaków wszyscy wydawali się cierpieć na brak powietrza. Obolałe nogi ciążyły im, jakby były z ołowiu. Rzeczywiście Hamilton narzucił ostre tempo.

–Wszyscy spisaliście się bardzo dobrze – oznajmił Hamilton. – Z całym szacunkiem dla was, ale spisalibyście się jeszcze lepiej, gdybyście się tak nie obżerali i nie opijali na dole, w wiosce. Wspięliśmy się na wysokość około siedmiuset metrów.

–Jak... daleko... jeszcze? – spytał Smith.

–Na szczyt? Jeszcze pół godziny marszu. Nie więcej. Obawiam się, że potem czeka nas jeszcze wspinaczka. W dół, co prawda, ale po bardzo stromym zboczu.

–Pół godziny – sapnął Smith – tyle, co nic.

–Poczekaj, aż zaczniemy schodzić.

*** * ***

–Ostatni odcinek – oznajmił Hamilton. – Znajdujemy się w odległości dziesięciu metrów od skraju urwiska. Jeżeli ktoś ma lęk wysokości, to lepiej, żeby powiedział to teraz.

Jeżeli nawet ktoś cierpiał na tę chorobę, to się nie przyznał. Hamilton powoli czołgał się, reszta poszła w jego ślady.

–Widzicie to samo, co ja?– spytał nagle.

–Jezus! – wyszeptał Smith.

–Zaginione Miasto – dodała Maria.

–Shangri-La! – skomentował Tracy.

–Eldorado – poprawił go Hamilton.

–Co? – zdziwił się Smith. – Co to takiego?

–Nic takiego. Nigdy nie było żadnego Eldorado. Znaczący to raj, złoty człowiek. Nowo wybrani władcy Inków posypywani byli złotym pyłem, a następnie zanurzani, na chwilę oczywiście, w jeziorze. Czy widzisz tę dziwną schodkową piramidę z płaskim szczytem?

Pytanie było naprawdę zbędne. Budowla ta stanowiła główny obiekt Zaginionego Miasta.

–To jeden z pewników, o których Huston sądził, że Dzieci Słońca przywędrowały tutaj z Kolumbii. Są jeszcze dwa inne. Budowle taką nazywają Ziguratem. Pierwotnie służyły one jako wieże-świątynie w Babilonie i Asyrii. W Starym Świecie nie ma już nawet po nich śladu. Egipcjanie zupełnie inaczej budowali swoje piramidy.

–To jedyna taka budowla w tym rejonie? – spytał Tracy udając, że nie zna odpowiedzi.

–Bez wątpienia. Można znaleźć doskonale zachowane zyguraty w Meksyku, Gwatemali, Boliwii i Peru. Tylko w Ameryce Środkowej i Północno-Zachodniej części Ameryki Południowej. I nigdzie więcej na świecie – z wyjątkiem tego miejsca.

–A więc wywodzą się z Andów – stwierdził Serrano. – Na poparcie tej tezy nie można sobie wymarzyć lepszego dowodu.

–Ty nie mógłbyś tego zrobić, ale mnie się udało.

–Lepszy dowód? Bezsporny?

–Pokażę wam później. – Wyciągnął rękę w stronę doliny i zapytał. – Widzicie te stopnie?

–Od samej rzeki aż po szczyt płaskowyżu ciągnęły się wykute w skale kamienne schody. Nawet z tej odległości wyglądały przerażająco – pięły się w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

–Dwieście czterdzieści osiem stopni – oznajmił Hamilton – każdy o szerokości siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Zużyte, gładkie i śliskie. No i bez poręczy.

–Kto je liczył? – spytał Tracy.

–Ja.

–To znaczy...

–Tak, chociaż nie mam zamiaru liczyć ich jeszcze raz. Kiedyś była tam wbudowana poręcz. Nawet zabrałem ze sobą wyposażenie do zrobienia poręczy linowej. Wciąż jeszcze jest w poduszkowcu... z oczywistych przyczyn.

–Panie Hamilton – szepnął nerwowo Silver – panie Hamilton.

–O co chodzi?

–Ktoś ruszał się w tych ruinach na dole. Mogę przysiąc.

–Sokole oczy pilota, prawda? Nie ma potrzeby przysięgać. Tam na dole jest cała masa ludzi. A jak sądzicie, dlaczego tu od razu nie przylecieliśmy helikopterem?

–A więc nie są to przyjaciele, tak? – spytał Serrano.

–Nie – odparł Hamilton, a potem zwrócił się do Smitha. – Skoro już mówimy o helikopterach, to chyba nie muszę ci opisywać tych ruin? Już je przecież znasz.

–Nie rozumiem.

–A film, który ukradł mi Hiller?

–Nie wiem o czym...

–W ubiegłym roku zrobiłem tu zdjęcia z helikoptera i tak to zaaranżowałem, by Hiller wykradł mi ten film. Nie były złe, jak na amatora, prawda?

Smith nie raczył odpowiedzieć, czy były złe, czy nie. On, Hiller i Tracy ponownie porozumiewawczo spojrzeli na siebie. Poza tym mieli dziwne miny. Czuli się trochę nieswojo.

–Spójrzcie na lewo – powiedział Hamilton – tam, gdzie rzeka się rozwidła opływając wyspę.

Jakiś kilometr w bok i sto metrów w dół za pomocą pajęcznej konstrukcji zwisających i poskręcanych lian, szczyt płaskowyżu łączył się ze wzgórzem, na którym leżeli. Tuż pod miejscem, z którego wyrastały liany, wypływał mały wodospad, wpadając łukiem wprost do rzeki.

–Most linowy – oznajmił Hamilton – z lian, ale raczej powinno się powiedzieć, że jest to most słomiany. Coś takiego trzeba zwykle co roku odbudowywać. Ten tutaj nie był odnawiany co najmniej od pięciu lat. Teraz musi być mocno przegniły.

–No i...? – w głosie Smitha wyraźnie przebijały nutki zaniepokojenia.

Cisza, która nastąpiła po jego pytaniu, była długa.

–To ma być następny dowód na to, że Indianie ci wywodzą się z Andów? – zapytał Serrano. – Chcę przez to powiedzieć, że w Mato Grosso nigdy nie budowano mostów linowych, bo tego tutaj nie liczę – ani, o ile wiem, nigdzie w Brazylii. Indianie po prostu nie umieli tego robić. Zresztą po co mieliby się uczyć, skoro nigdy im nie były potrzebne. Natomiast Inkowie i ich potomkowie umieli budować takie mosty – żyli w Andach i tam były one niezbędne.

–Widziałem jeden taki most – odparł Hamilton – nad rzeką Apurimac, wysoko w Peru, ponad cztery tysiące metrów nad poziomem morza. Zbudowany był z sześciu grubo plecionych lin; cztery liny stanowiły pomost, a dwie dodatkowe przeznaczono na zaczepy dla poręczy. Po bokach umocowano cieńsze liny. Pomost wzmocniono deseczkami ułożonymi tak gęsto, że przez szpary spaść mogło co najwyżej trzyletnie dziecko. Taki most, kiedy jest nowy, może udźwignąć dziesiątki ludzi. Obawiam się jednak, że ten tutaj nie jest najnowszy.

W dół urwiska pod kątem około sześćdziesięciu stopni biegła wąska szczelina. Płynął nią niewielki strumyczek, biorący prawdopodobnie początek z jakiegoś źródła powyżej. Prawdę mówiąc strumyczek ten właściwie spadał z urwiska, rozpryskując na boki białą pianę. Wzdłuż strumyka wykuto wysokie stopnie. Widoczne już było, że prace te przeprowadzono bardzo dawno temu.

Na czele grupy szedł Hamilton. Było to bardzo żmudne zajęcie. Chociaż trasa nie nasycała specjalnych trudności ani specjalnego ryzyka, Hamilton był przewidujący i powiązał ze sobą kilka lian, pierwszą przytwierdzając mocno do drzewa.

U stóp urwiska, tuż nad miejscem, z którego wypływał wodospad spadający łukiem wprost do rzeki, wykuto w skale niewielką platformę, w kształcie kwadratu o boku dwóch i pół metra. Hamilton pierwszy dotarł do niej i czekał, aż pozostali, jeden po drugim, dołączyli.

Uwagę jego zwróciły i kamienny pacholek i żelazny słupek przytwierdzone do platformy. Kiedyś do obu przymocowano trzy, teraz mocno wytarte, liany. Hamilton wyjął nóż i zaczął oskrobywać słupek. Zdierał z niego grube, brązowe płyty rdzy.

Mówcie cicho – ostrzegł resztę. – Przerdzewiały, prawda?– wychylił się nad przepaścią; inni poszli w jego ślady. Most lianowy był lichy i bardzo stary. Zarówno liny nośne, jak i poręcze były mocno postrzępione. Wiele splotów całkiem przegniło i odpadło.

–Nie wygląda najlepiej, prawda?– rzucił Hamilton.

–Dobry Boże! – Smith miał oczy rozszerzone ze strachu i wyraźnie przytłoczony był nadmiarem wrażeń. – To samobójstwo. Tylko szalenie próbowałby przejść po czymś takim. Sądzisz, że będę ryzykował życie przechodząc po tym moście?

–Oczywiście, że nie. Czemu niby miałbyś to robić? Byłbyś wariatem, gdybyś tego dokonał. Powiem ci coś. Daj mi swój aparat, a ja zrobię zdjęcia. No i nie należy zapominać, że ludzie mieszkający po drugiej stronie mogą nie darzyć sympatią intruzów.

–Jestem człowiekiem, który sam musi wszystko zobaczyć aż do samego końca – po krótkim zastanowieniu odparł Smith.

–No cóż. Może ten koniec jest bliżej, niż sądzisz. Jest już wystarczająco ciemno, pójdę pierwszy.

–Senior Hamilton – wtrącił się Nawarro. – Jestem lżejszy.

–Dziękuję, ale właśnie o to mi chodzi. Sporo ważę i niosę ciężki plecak. Jeżeli most wytrzyma mój ciężar, to wy wszyscy również powinniście przejść bezpiecznie.

–Coś mi teraz przyszło do głowy – mruknął Ramon.

–Mnie również.

Hamilton wszedł na most.

–Co to miało znaczyć? – spytała Maria.

–On podejrzewa, że tamci z drugiej strony mogą przygotować powitalny dywanik.

–Aha! Strażnik!

Hamilton pewnie szedł po moście linowym. Sam most drgał niebezpiecznie i kołysał na boki. Pośrodku zaś wykręcił się tak gwałtownie, że Hamilton – by nie runąć w przepaść – musiał podciągać się na rękach po dość dużej stromiznie. Wreszcie bezpiecznie dotarł na drugą stronę urwiska. Przykucnął ostrożnie, bo platforma wykuta była zaledwie metr poniżej poziomu ziemi i powoli wysunął głowę.

Zobaczył wartownika, który – na szczęście – nie traktował swoich obowiązków poważnie. Palił papierosa i co więcej wyciągnięty był wygodnie na krześle. Hamilton podniósł rękę, w której trzymał – owinięty chustką ciężki nóż. W momencie gdy wartownik zaciągnął się głęboko dymem z papierosa, trzonek noża trafił go między oczy. Nie zdążył nawet wydać żadnego dźwięku. Bezgłośnie przechylił się na bok i upadł na ziemię.

Hamilton trzy razy zaświecił latarką. Po kilku minutach dotarli do niego pozostali uczestnicy wyprawy, którzy nie ochłonęli jeszcze z wrażeń.

–Chodźmy zobaczyć się z ich bossem – powiedział Hamilton.

Odnalazłby drogę z zawiązanymi oczyma: prowadził ich pewnie po ruinach. Nagle zatrzymał się i wskazał ręką przed siebie. Przed nimi dobrze widoczny stał zupełnie nowy, drewniany budynek. Słysząc było dobiegające ze środka liczne głosy.

–To baraki – oznajmił Hamilton. – Mesa i sypialnie. Tu też są strażnicy.

–Strażnicy?– zdziwił się Tracy. – Po co?

–Ktoś tam ma zapewne wyrzuty sumienia albo coś w tym rodzaju.

–Co to za szum?– zaniepokoił się naraz Smith.

–Generator.

–Dokąd teraz pójdziemy?

–Tam! – Hamilton ponownie wskazał ręką o wiele mniejszy, również drewniany budynek, stojący u podnóża zyguratu.

–Tam żyją ci, którzy mają ogromne wyrzuty sumienia – Hamilton zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Jest tam człowiek, który każdej nocy słyszy jęki zamordowanych ofiar...

–Panie Hamilton – przerwał Silver.

–Nic, nic. Ramon! Nawarro! Zastanawiam się, czy widzicie to samo co ja?

–Owszem – odparł Ramon. – W cieniu werandy dostrzegłem dwóch ludzi.

Hamilton przez kilka sekund rozważał coś w milczeniu.

–Zastanawiam się – powiedział wreszcie – cóż ci dwaj mogą tam robić?

–Pójdziemy i zapytamy ich – Ramon i Nawarro zniknęli w mroku.

–Kim są ci dwaj? – spytał Smith. – Twoi pomocnicy? Nie są Brazylijczykami.

–Nie.

–Europejczycy?

–Tak.

Ramon i Nawarro powrócili równie niezauważeni, jak zniknęli.

–No i? – spytał Hamilton. – Co wam powiedzieli?

–Niewiele – odparł Nawarro. – Myślę, że powiedzą więcej, kiedy się obudzą.

Rozdział dziewiąty

Wewnątrz tego drewnianego budyneczku znajdował się duży pokój jadalny, pełniący funkcję salonu i pokoju kominkowego. Jego ściany pokryte były niemieckimi flagami, proporcami, portretami, mieczami, rapierami i ogromną liczbą zdjęć. Za wielkim stołem siedział mężczyzna o mocno zaczerwienionej twarzy i obwisłych policzkach. Jadł samotnie posiłek, który popijał piwem ze stojącego obok cynowego litrowego kufła. Ze zdumieniem wpatrywał się w otwierane z łoskotem drzwi.

Hamilton wkroczył pierwszy do środka, z pistoletem w dłoni. Za nim weszła reszta, ze Smithem na czele.

–Guten Abend – powiedział Hamilton. – Przyprowadziłem ci starego przyjaciela, który bardzo chciał się z tobą zobaczyć – skinął głową w kierunku Smitha.

–Sądzę, że starzy przyjaciele powinni się uśmiechnąć, uścisnąć sobie dłonie i powiedzieć cześć, nieprawdaż?... Chyba nie.

Pistolet trzymany przez Hamiltona wypalił, kula wywierciła dziurę w stole, za którym siedział mężczyzna.

–Mam nerwowe ręce – wyjaśnił Hamilton. – Ramon! – zawołał.

Ramon obszedł stół dookoła i z na wpół już wysuniętej szuflady wyjął rewolwer.

–Sprawdź drugą – polecił Hamilton. Ramon uczynił, jak mu kazano i po chwili trzymał już w ręku dwa rewolwery.

–Nie można ci mieć tego za złe – stwierdził Hamilton. – W dzisiejszych czasach wszędzie aż roi się od złodziei i bandytów. Hmm... Nie znoszę tak zawstydzającej ciszy. Pozwólcie, że was sobie przedstawię. Ten pan za stołem to generał major Wolfgang von Manteuffel z SS, znany często jako Brown lub Jones. Ten pan za mną to pułkownik Cheinrich Spatz, także z SS, znany również jako Smith. Panowie byli odpowiednio: generalnym inspektorem i zastępcą generalnego inspektora obozów koncentracyjnych i eksterminacyjnych w północnej i centralnej Polsce. Są złodziejami na wielką skalę, mordercami staruszków ze świętych zakonów i grabieżcami monasterów. Pamiętacie chyba, że tam właśnie widzieliście się po raz ostatni? W tym greckim monasterze, w którym spaliliście żywcem mnichów? No, ale przecież byliście specjalistami od kremacji, prawda?

Żaden z nich nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

W pokoju panowała zupełna cisza. Wszyscy patrzyli na Hamiltona. Z wyjątkiem von

Manteuffla i Spatza, którzy wpatrywali się w siebie.

–To smutne – ciągnął Hamilton. – Bardzo smutne. Spatz przeszedł taki szmat drogi, żeby ciebie von Manteuffel, zobaczyć. Oczywiście, przyszedł tylko po to, żeby cię zabić, ale jednak przyszedł. Chodzi mu o jakąś deszczową noc w dokach Wilhelmshaven, jak się domyślam.

Nagle dał się słyszeć suchy trzask wystrzału z małego pistoletu. Hamilton zerknął na Tracy'ego; pistolet wypadł z pozbawionej czucia dłoni, a Tracy osuwał się na posadzkę. Sądząc po stanie, w jakim znajdowała się jego głowa, było jasne, że nigdy już się stamtąd nie podniesie. Bardzo blada Maria trzymała kurczowo w dłoni pistolet.

–Mam cię na muszce – oznajmił Hamilton.

–Chciał cię zabić – powiedziała, chowając pistolet do kieszeni kurtki.

–To prawda – potwierdził Ramon.

Hamilton spojrział na nią z pełnym zakłopotania zmieszaniem.

–On chciał mnie zabić, więc ty zabiłaś jego?

–Czekałam na tę okazję.

–Sądzę – odezwał się zamyślony Nawarro – że ta młoda dama nie jest tylko tym, kim sądziliśmy, że jest.

–Na to by wyglądało – zgodził się równie zamyślony Hamilton. – Po czyjej więc jesteś stronie?

–Po waszej.

Dopiero teraz Spatz oderwał wzrok od von Manteuffla i zaczął się gapić na nią z całkowitym skupieniem na twarzy.

–Czasami jest bardzo trudno – ciągnęła dalej Maria spokojnie – odróżnić Żydówkę od innych kobiet.

–Izrael? – spytał Hamilton.

–Tak.

–Wywiad?

–Tak.

–Aha! Ty też chciałybyś zastrzelić Spatza?

–W Tel-avivie chcą go mieć żywego.

–A jeżeli okaże się to niemożliwe?

–Wtedy tak.

–Przepraszam. I to za wszystko. Spatz! Stajesz się coraz bardziej niepopularny. Choć nie tak bardzo, jak von Manteuffel. Izraelczycy pragną go z oczywistych powodów. Grecy – tu skinął głową w stronę Ramona i Nawarry – ci dwaj panowie są właśnie oficerami greckiego wywiadu wojskowego, chcą was z równie znanego powodu.

Spojrzał teraz na Hillera.

–To właśnie oni dostarczyli mi tych dwóch monet – oznajmił. – Brazylijczycy zaś – mówił dalej do von Manteuffla – chcą ciebie za obrabowanie Muscia i za zabicie wielu z nich. A ja chcę ciebie za zamordowanie doktora Hannibala Hustona i jego córki Lucy.

Von Manteuffel uśmiechnął się i po raz pierwszy przemówił.

–Obawiam się, że wszyscy chcecie strasznie dużo. Obawiam się, również, że nie dostaniecie nic. Nagle usłyszeli głośny huk pękającego szkła i jednocześnie ujrzeni lufy trzech karabinów maszynowych, które pojawiły się w miejscu wybitych w oknach szyb.

–Każdy, u kogo znajdziemy broń, zostanie natychmiast zabity – oznajmił von Manteuffel z uśmiechem na twarzy. – Czy muszę wam wyjaśnić, co teraz należy zrobić?

Nie musiał. Wszystkie pistolety znalazły się na podłodze, wliczając dwa, będące w posiadaniu Smitha i Hillera, o których nawet Hamilton nie miał pojęcia.

–Dobrze – von Manteuffel był wyraźnie zadowolony. – To jest o wiele lepsze niż krwawa łaźnia. Nie sądzicie? Prostacy! A niby jak wam się wydaje? Jak ja przeżyłem tyle lat? Dzięki ciągłemu zabezpieczaniu się. Jak na przykład ten niewielki przycisk znajdujący się pod moją prawą stopą...

Przerwał, gdyż do pomieszczenia weszło czterech uzbrojonych mężczyzn. W milczeniu przyglądał się, jak przybysze rewidowali więźniów w poszukiwaniu broni. Jak można było przewidzieć, niczego nie znaleźli.

–Plecaki także – rozkazał von Manteuffel.

Poszukiwania jeszcze raz nie dały rezultatu.

–Porozmawiam sobie z moim starym przyjacielem Heinrichem – powiedział von Manteuffel – który, jak się wydaje, przebył szmat drogi na próżno. Aha, i z tym człowiekiem także – wskazał na Hillera. – Zakładam, że to współnik mojego drogiego byłego towarzysza broni. Resztę zabierzcie ze śmiercionośnym bagażem do starego magazynu zboża. Być może poddam ich później intensywnemu i – obawiam się – bardzo bolesnemu przesłuchaniu. A może tego nie uczynię. Decyzję podejmą po mojej pogawędce z Heinrichem.

Rozdział dziesiąty

Stary spichlerz zbożowy zbudowany został z pięknie ociosanych i doskonale dopasowanych do siebie kamieni, bez najmniejszego śladu jakiegokolwiek zaprawy. Na powierzchni sześć na cztery metry wzdłuż obu jego ścian stały po trzy pojemniki na zboże. Ściany i przegrody wyciosane były toporem z surowego drewna. Spochlerz oświetlono pojedynczą i nieosłoniętą żarówką zawieszoną tuż pod sufitem. W środku nie było okien i nawet wejście pozbawione było drzwi. Stojący tam wartownik, z wycelowanym do środka karabinem maszynowym, sprawiał wrażenie zupełnie niepotrzebnego. Hamilton i jego towarzysze mogli spoglądać tylko na siebie lub na wartownika, stojącego przed nimi. Jego staromodny, ale bez wątpienia wciąż jeszcze śmiercionośny schmeisser wycelowany był prosto w nich, a – sądząc po jego wyglądzie – człowiek ten w duchu modlił się o pretekst pozwalający mu na użycie broni.

–Obawiam się o zdrowie naszego pana Smitha – odezwał się wreszcie Nawarro, przerywając milczenie. – O zdrowie Hillera również, skoro już o tym mowa.

–Nie przejmuj się ich cholernym zdrowiem – odparł Hamilton. – Zajmij się naszym. Kiedy skończy się już z tamtymi dwoma, to, jak sądzisz, kto będzie następny? I to bez względu na to, czy zechce sobie pofolgować z torturami, czy nie... – westchnął ciężko zanim dokończył. – Zaufajcie waszemu staremu tajnemu agentowi Hamiltonowi. Von Manteuffel wie, kim jestem, wie, kim jest Maria i kim jesteście wy: tak zwani oficerowie greckiego wywiadu. Nie może zostawić nas przy życiu i obawiam się, że z równie oczywistych przyczyn nie może pozostawić przy życiu silvera ani Serrany.

–Skoro już mowa o Serranie – wtrącił Ramon – czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa?

–Śmiało!

–Na osobności, jeśli można.

–Skoro tego chcesz – obaj mężczyźni przeszli w sam kąt pomieszczenia. Ramon

zaczął szybko coś mówić, ale bardzo cicho. Hamilton w zdumieniu uniósł brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, którego nigdy dotąd nie okazywał. Potem wzruszył ramionami, dwukrotnie pokiwał głową, rozejrzał się i wreszcie uważnie przyjrzał się wartownikowi.

–Wielki facet – powiedział. – Mojego wzrostu. Ubrany na czarno od stóp do głów. Beret, kurtka, spodnie i buty. Potrzebuję tego stroju. Co ważniejsze, potrzebuję jego broni. A – co najważniejsze – obu tych rzeczy chcę szybko.

–To proste – stwierdził Ramon. – Wystarczy, żebyś go poprosił.

Hamilton nie odpowiedział. Z dziką wściekłością, prawie równocześnie ze zduszonym jękiem wydobywającym się z gardła Marii ugryzł się w poduszeczkę lewego kciuka. Krew zaczęła obficie płynąć. Następnie zaczął ścisnąć poszarpany palec drugą ręką, żeby popłynęło jej więcej. Potem rozprowadził tę krew po twarzy osłupiałego Ramona.

–Wszystko dla dobra sztuki – wyjaśnił mu. – Bracie, co to będzie za walka!

“Walka” rozpoczęła się w rogu spichlerza, w polu martwym dla obserwacji strażnika. Wartownik musiałby nie być człowiekiem, żeby nie sprawdzić, skąd dochodzą odgłosy potężnych ciosów, krzyki i przekleństwa. Wszedł więc na próg spichlerza.

Hamilton i Ramon bili się ze zwierzęcą furią, kopiając i waląc pięściami z oczywistym zamiarem zadania sobie poważnych obrażeń. Strażnik wyraźnie był zaskoczony, ale nie podejrzliwy. Jego mocno pokancerowana twarz nie lśniła zbytnią inteligencją.

–Przestańcie! – ryknął. – Wy idioci! Przestańcie, albo...

Przerwał, gdyż jeden z walczących otrzymał potężny cios i zataczając się przeszedł jeszcze kilka kroków. Upadł na plecy za progiem. Wywrócił białka do góry a jego twarz żywo przypominała krwawą maskę. Wartownik przeszedł nad leżącym, gotów zdusić każdy następny atak. Wtedy na jego stopach zacisnęły się dłonie Ramona.

* * *

Czterech mężczyzn przygotowywało się do wyniesienia z pokoju von Manteuffla trzech ciał przykrytych prześcieradłami.

–Pozwolić żyć wrogowi dłużej niż jest to niezbędne może mieć fatalne skutki – pouczał von Manteuffel. Po chwili, po krótkim zastanowieniu dodał: – wrzucie ich do rzeki. Pomyślcie o tych wszystkich biednych i głodnych piraniach. Co się zaś tyczy przyjaciół ze spichlerza, to nie sądzę, żeby mogli dostarczyć mi jakichś dodatkowych, pożytecznych informacji. Wiecie, co należy zrobić?

–Tak jest, generale! – odparł jeden z mężczyzn – wiemy, co należy zrobić. – Jego twarz na myśl o bliskim posiłku lśniła wilczym apetytem.

–Oczekuję was dokładnie... von Manteuffel zerknął na zegarek – za pięć minut. Przez ten czas dostarczycie piraniom drugie danie.

*** * ***

Ubrany na czarno wartownik stał przed spichlerzem z wycelowanym do środka schmeisserem. Nagle usłyszał odgłos kroków i szybko zerknął przez ramię. Z odległości około trzydziestu metrów widać było zbliżających się w jego stronę czterech mężczyzn z pistoletami. Tych samych, którzy pozbyli się ciała Tracy'ego, Spatzta i Hillera. Ubrana na ciemno postać wciąż wpatrywała się w wejście do spichlerza i czekała, aż grupa zbliży się na odległość pięciu metrów. Kiedy wyraźnie usłyszał odgłos ich kroków, odwrócił się do nich, a jego schmeisser zaczął pluć ogniem.

–Jesteś twardzielem, prawda? – powiedziała Maria. – Przecież nie musiałeś ich zabijać.

–Święta prawda. Ale też nie chciałem, żeby oni mnie zabili. Nie należy igrać ze szczurami zagonionymi do kąta. Ci ludzie są zdesperowani i mogą się założyć, że każdy z nich jest wytrenowanym, sprawnym i doświadczonym mordercą. Nie jestem w nastroju na przeprosiny.

–Bo nie ma takiej potrzeby – wtrącił Ramon, na którym – podobnie jak na jego bracie – zajście nie zrobiło żadnego wrażenia. – Dobrym nazistą jest ten, który przestał już oddychać. Tak więc mamy pięć karabinów. Co robimy dalej?

–Zostajemy tutaj, bo tu jesteśmy bezpieczni. Von Manteuffel może mieć trzydziestu, czterdziestu ludzi. A może jeszcze więcej. W otwartym terenie zmasakrują nas... – przerwał i zerknął na leżącego na ziemi wartownika, który się poruszył. – Ooo! Junior dochodzi do siebie. Myślę, że wyślemy go na mały spacer, by mógł powiadomić swojego bossa o tym, że nastąpiła drobna zmiana w status quo. Rozbierzcie go z munduru. To powinno dać von Manteufflowi sporo do myślenia.

*** * ***

Gdy zapukano do drzwi, von Manteuffel siedział za biurkiem i robił notatki. Zerknął na zegarek i uśmiechnął się z tryumfem. Od chwili odejścia jego czterech ludzi minęło dokładnie pięć minut i nieco ponad dwie minuty od momentu serii z karabinu maszynowego, oznaczającego jedynie koniec kłopotów z jego sześcioma więźniami. Dał zezwolenie na wejście i kończył notować, mówiąc:

–Jesteście bardzo punktualni – dopiero wówczas spojrzął na wchodzącego.

Zadowolenie zniknęło z jego twarzy, a oczy rozwarły się niesamowicie szeroko. Chwiejąca się, przed nim postać ubrana była tylko w bieliznę...

* * *

Spichlerz pogrążony był w głębokim mroku. Jedyna żarówka została wyłączona, a odrobina wpadającego światła była jedynie poświatą księżycą.

–Minęło piętnaście minut i wciąż nic – powiedział Nawarro. – Czy to dobry znak?

–To nieuniknione, jak sądzę – odparł Hamilton. – Jesteśmy ukryci w ciemnościach. Ludzie von Manteuffla są odsłonięci lub byliby, gdyby się pokazali. Cóż mogą zrobić? Mogą nas wykurzyć dymem przy sprzyjającym wietrze, ale bez wiatru dymu nie będzie.

–Zagłodzą nas? – spytał Ramon.

–Pożyjemy do tego czasu.

* * *

Czas dłużył się. Wszyscy z wyjątkiem Nawarry, który stał na straży, leżeli na podłodze. Być może próbowali spać, ale niektórzy mimo przymkniętych powiek bez wątplenia byli zupełnie rozbudzeni.

–Dwie godziny – oznajmił Nawarro. – Właśnie minęły dwie godziny. I wciąż nic.

–Mógłbyś się uciszyć, wartowniku? Próbuję zasnąć – powiedział Hamilton. – Ale nie sądzę, żeby mi się to udało. Być może oni coś szykują. Nie mam papierosów. Kto ma? Nikt? – Serrano zaofiarował mu swoją paczkę. – Sądziłem, że śpisz – zwrócił się do niego Hamilton – Dziękuję. Wiesz, nie byłem pewien, czy wierzyć, czy nie w to, co mi opowiadałeś. Ale teraz ci wierzę. Choćby tylko dlatego, że to wszystko musi być tak, jak mówiłeś. Winien ci więc jestem przeprosiny.

Hamilton przerwał i zamyślił się.

–Przepraszanie powoli wchodzi mi w krew.

–Można wiedzieć, czego dotyczą te przeprosiny? – zainteresował się Ramon.

–Oczywiście. Serrano jest agentem rządowym. Zgodnie z zasadą, że każdy powinien wiedzieć tylko to, co musi, pułkownik Diaz go tu skierował, tylko zapomniał mi o tym powiedzieć.

–Pracujesz dla rządu?

–Dla Ministerstwa Kultury. Wydział Sztuk Pięknych.

–Niech nam Bóg dopomoże! – westchnął Ramon. – Wydawało mi się, że w tych zapomnianych przez Boga rejonach jest już wystarczająca liczba prawdziwych sępów; aby nie było jeszcze potrzeby dopisywania do tej listy sępów kulturalnych. Co ty, na Boga, tu robisz?

–To właśnie mam nadzieję sam odkryć – odparł Serrano.

–Pomagamy sobie, prawda senior Hamilton?

–Mówiłem, że dowiedziałem się o tym zaledwie kilka godzin temu.

–Znowu zaczynasz, senior Hamilton – Ramon spojrział na niego z wyrzutem.

–Co?

–Być enigmatycznym i

wykrętnym.

Hamilton wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział.

–Szczere zwątpienie nie wymaga przeprosin – stwierdził Serrano.

–Nie tylko o to chodzi – odparł Hamilton. – Myślałem, że jesteś człowiekiem Hillera. To znaczy w Romono, kiedy po raz pierwszy cię spotkałem. Obawiam się, że to ja jestem tym facetem, który cię wtedy pobił. Oddam ci pieniądze, które ci wtedy zabrałem. Niewiele już jednak mogę poradzić w sprawie tego guza na karku. Wybacz mi, proszę.

–Wybacz! Wybacz! – odezwała się Maria. – Nie sądzę, żeby ktokolwiek mnie wybaczył.

Zapanowała krótka cisza. Przerwał ją Hamilton, mówiąc delikatnie:

–Przeprosiłem już.

–Przeprosiny a przebaczenie to dwie różne sprawy. A wy wyraźnie uważacie, że mój – najdelikatniej mówiąc związek był niewybaczalny. Wszystko zależy od tego, kto osądza i pierwszy rzuca kamieniem. Wszyscy moi dziadkowie zginęli w Auschwitz i istnieje duże prawdopodobieństwo, że to właśnie von Manteuffel albo Spatz ich tam wysłał. Lub obaj. Sądzę, że świat jest już znudzony słuchaniem o obozach, ale prawdą jest, że zgładzono tam sześć milionów Żydów. Wiedziałam, że jeżeli wystarczająco długo będę się trzymała Spatza, to w końcu doprowadzi mnie do von Manteuffla, a jego naprawdę chcieliśmy dostać. Znałam tylko jeden sposób, żeby się

go trzymać wystarczająco długo. I tak znalazłam... znaleźliśmy von Manteuffla. Czyżbym się więc aż tak bardzo pomyliła?

–Tel-aviv? – Hamilton nie próbował nawet ukryć swojej niechęci. – Jeszcze jeden z tych barbarzyńskich procesów pokazowych w stylu Eichmanna?

–Tak.

–Von Manteuffel nigdy nie opuści Zaginionego Miasta.

–Ten doktor Huston – wtrącił ostrożnie Serrano – znaczył tak wiele? I jego córka?

–Tak.

–Byłeś tu, kiedy... oni... umarli?

–Zostali zamordowani. Nie. Byłem w Wiedniu. Ale był tu mój przyjaciel – Jim Clinton, który ich pochował. Zbudował im nawet nagrobki z napisami – wypalonymi w drzewie rozżarzonym prętem. Von Manteuffel zabił też i jego, tylko trochę później.

–Wiedeń? – zdziwiła się Maria – Instytut Wiesenthala?

–Cóż to takiego, młoda damo? – zdziwił się Serrano.

–Panie Serrano, powinieneś zwracać uwagę na swoje przejęzyczenia. Jak na przykład nazywanie mnie młodą damą. A Instytut nazywa się Żydowskim Centrum Ścigania Przeszłości wojennych i chociaż jest instytutem żydowskim, znajduje się w Austrii, a nie w Izraelu. Panie Hamilton, dlaczego nigdy nie pozwolą oni lewej ręce wiedzieć, co robi prawa?

–To chyba przez tę samą starą zasadę, że każdy powinien wiedzieć tylko tyle, ile musi. Tak naprawdę, to wiem tylko tyle, że miałem dwa powody, by ścigać von Manteuffla. Dwukrotnie prawie go dopadłem w Chile, raz w Boliwii i dwa razy w Kolonii Waldnera 555. To bardzo ruchliwy typ, zawsze w biegu i otoczony swoimi nazistowskimi zbirami. Ale wreszcie go dopadłem.

–Albo na odwrót – z przekąsem stwierdził Serrano.

Hamilton przemilczał tę uwagę.

–Twoi przyjaciele są tutaj pochowani?

–Tak.

–Jestem głodny i chce mi się pić – oznajmił Nawarro płacząco. Do świtu brakowało jeszcze pół godziny.

–Jestem głęboko wzruszony twoimi cierpieniami – odparł Hamilton. – A co może być, do diabła, ważniejsze od faktu, że wciąż jeszcze żyjesz? Nie chciałem nikogo przygnębiać jeszcze bardziej i dlatego nie mówiłem tego, co naprawdę myślałem. Szczerze mówiąc nie sądziłem, że doczekamy świtu.

–A to niby dlaczego?– spytał Ramon.

–To dosyć oczywiste. Jest na nas mnóstwo sposobów. Małe działko, raketnica, dowolne działko przeciwlotnicze, moździerz. Prosto przez ten otwór wejściowy mogli wrzucić kilogram lub dwa jakiegoś bardzo brzydkiego materiału wybuchowego. Być może szrapnele nie dostałyby nas wszystkich, ale wstrząs w pomieszczeniu wykończyłby nas. Mogli też wczołgać się od tyłu na dach spichlerza i wrzucić do środka kilka granatów, bomb lub proszku zapalającego. Skutek byłby ten sam. Może nie mieli żadnego z tych materiałów pod ręką, choć w to akurat nie wierzę. Von Manteuffel taszczy ze sobą wystarczającą liczbę broni i artylerii, by uzbroić pancerny batalion. Być może po prostu nie przyszło mu to do głowy, w co też zresztą nie wierzę. Sądzę, że von Manteuffel uważa nas, słusznie zresztą, za bardzo niebezpiecznych i z rozpoczęciem śmiertelnego ataku czeka do świtu.

–Słońce wszędzie już wkrótce – zauważył zupełnie nieszczęśliwy Serrano.

–Wszędzie, prawda?

Wraz z pierwszymi słabymi promieniami słońca Maria, Serrano i Silver w osłupieniu przyglądali się Hamiltonowi. Wyjął on z plecaka kamerę, otworzył, zdjął pokrywę zasłaniającą nadajnik, wyciągnął antenę i zaczął mówić do mikrofonu:

–Tu Nocny Stróż! Tu Nocny Stróż!

Głośnik zachrypiał, ale odpowiedź usłyszano natychmiast.

–Słyszemy cię, Nocny Strózu.

–Teraz.

–Zrozumiałem: teraz. Ile sępów?

–Trzydzieści. Czterdzieści. Zgaduję.

–Powtórz za mną: zostańcie w ukryciu. Napalm.

–Zostańcie w ukryciu. Napalm – powtórzył Hamilton i wyłączył nadajnik. –

Pożyteczne, prawda – dodał. – Pułkownik Diaz jest bardzo przewidujący.

–Napalm!? – powtórzył Ramon ze zdziwieniem.

–Przecież słyszałeś.

–Ale żeby napalmem.

–Ci komandosi to straszni twardziele. Ale nie stosują tego bezpośrednio. Nie mają przecież zamiaru zrzucić tego świństwa na nas. Cały rejon otoczą pierścieniem. Nie jest to nowa technika, ale za to bardzo skuteczna.

Hamilton włączył następny przycisk umieszczony w kamerze i można było usłyszeć ciche bipanie dobywające się z niej.

–Namiar – oznajmił Ramon, nie zwracając się specjalnie do nikogo. – Jakżeby inaczej odnaleźli to miejsce?

–Wszystko dobrze zorganizowaliście, jak widzą – stwierdziła Maria nieco gorzkim tonem. – Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby nam o tym powiedzieć, prawda?

–A czemu miałbym to robić? – Hamilton wzruszył ramionami. – Nikt nigdy mi nic nie mówił.

–Ile czasu upłynie, nim tutaj dotrą?

–Okolo dwudziestu minut. Nie więcej.

–A świt zaczyna się mniej więcej w tym samym czasie?

–Mniej więcej.

–Już jest coraz widniej. Mogą nas zaatakować nim zjawią się tu twoi przyjaciele.

–Nie sądzę. Po pierwsze von Manteufflowi i jego sługusom zajmie trochę czasu, zanim się zorganizują. Poza tym, jeżeli nie będziemy w stanie przetrzymać ich przez kilka minut, to znaczy, że w ogóle nie powinniśmy się tu znaleźć. Po drugie, kiedy tylko usłyszą huk silników helikopterów, to natychmiast o nas zapomną.

Już dniało, a podwórze wciąż pozostawało puste. Jeżeli von Manteuffel i jego ludzie szykowali się do ataku, to czynili to nadzwyczaj ostrożnie.

Zaraz potem odezwał się Ramon.

–Silniki. Już je słyszę. Nadlatują z południa.

–Nic nie słyszę, ale skoro twierdzisz, że nadlatują, to jest to prawda. Ramon! Czy widzisz, to, co ja?

–Owszem. Na dachu ich mesy widzę człowieka z lornetką. Musi również mieć dobry słuch. Mam go postrzelić w nogi?

–Gdybyś mógł.

W typowy dla siebie sposób Ramon płynnym ruchem złożył się do strzału i pociągnął za spust. Mężczyzna z lornetką zwałił się na dach. Po kilku sekundach zaczął uciekać, czołgając się jak krab, na rękach i jednej nodze, ciągnąc drugą, bezwładną, za sobą.

–Nasz przyjaciel von Manteuffel – odezwał się Hamilton – chyba traci zimną krew, bo inaczej nie pozwoliłby sobie na tak głupią akcję. Nie sądzę, żebyśmy zobaczyli następnych obserwatorów – przerwał na chwilę i dodał: – teraz i ja je słyszę.

Odgłos silników samolotowych stał się teraz trudny do pomylenia z czymkolwiek innym i się nasilał. Kiedy trzy wielkie helikoptery szturmowe zaczęły się zniżać na wysokość odbijających echo ścian urwiska, ogłuszający huk osiągnął natężenie trudne do wytrzymania dla ludzkich uszu.

–Sądzę, że lepiej schować się do środka – stwierdził Hamilton.

–Można popatrzeć?– spytała Maria, stając na progu.

Hamilton wepchnął ją brutalnie do wnętrza, za drewnianą przegrodę pojemnika na zboże i po chwili sam znalazł się przy niej.

–To napalm, kobieto! Część tego świństwa mogą zgubić!

–Rakiety? bomby?

–Jezu! Tu są przecież zabytki.

W kilka chwil później, prawie krzycząc, żeby można było ją usłyszeć, Maria spytała:

–Czy nie powinniśmy... nie powinniśmy wyjść i im pomóc?

–Pomóc im? Wchodzilibyśmy im tylko w drogę. Uwierz mi, że ci chłopcy nie potrzebują żadnej pomocy. Poza tym, czy przyszło ci do głowy, że oni prawdopodobnie zmiotliby nas z powierzchni ziemi, zanim przejdziemy parę kroków? Nie znają nas przecież. A komandosi mają dziwny zwyczaj najpierw strzelać, a dopiero potem pytać, coś ty za jeden. Zachowajmy odrobinę dyskrecji i cierpliwości, dopóki znów nie zapanuje pokój i spokój.

Pokój i spokój mieli po dwóch minutach. Silniki helikopterów ucichły. Rozległ się sygnał klaksonu, by wiedzieli, że wszystko jest w porządku. Nie padł ani jeden strzał.

–Myślę – odezwał się Hamilton, że dzielny kapitan Hamilton i jego waleczna załoga mogą teraz bezpiecznie wyjść.

Wymknęli się pojedynczo przez otwór wejściowy.

*** * ***

Trzy helikoptery szturmowe stały na placu przed ziguratem. Ruiny starożytnego miasta wciąż otoczone były dymem palącego się jeszcze napalmu. Przynajmniej pięćdziesięciu komandosów, wyglądających na kompetentnych i oczywiście uzbrojonych po zęby, trzymało na muszkach trzy tuziny ludzi von Manteuffla. Kilku komandosów, wśród nich jeden z pudełkiem wypełnionym kajdankami, przechodziło od jednego więźnia do drugiego pętając im ręce z tyłu. Na czele grupy jeńców stał sam von Manteuffel ze skutymi już rękami.

Kiedy Hamilton ze swoją grupą pojawił się na placu, wyszedł im na spotkanie oficer.

–Pan Hamilton? – spytał. Jestem major Ramirez. Do pańskich usług.

–Już mi pan oddał wystarczająco dużą przysługę – uścisnęli sobie ręce. – Jesteśmy bardzo wdzięczni. To było wykonane nader sprawnie.

–Moi ludzie są rozczarowani – odparł Ramirez. – Spodziewaliśmy się bardziej... ech... wymagającego treningu. Chcecie już wracać?

–Za godzinę, jeżeli można – Hamilton wskazał na von Manteuffla. – Chciałbym mówić z tym człowiekiem.

Von Manteuffel został doprowadzony w towarzystwie dwóch żołnierzy. Jego twarz była szara i bez wyrazu.

–Majorze! – odezwał się Hamilton. – To jest generał major Wolfgang von Manteuffel z SS.

–Ostatni z podłych nazistowskich zbrodniarzy wojennych, tak? Nie muszę się chyba z nim witać?

–Nie! – Hamilton twardo spojrział na von Manteuffla. – Oczywiście zamordowałeś pułkownika Spatza i Hillera. Tak jak doktora Hustona, jego córkę, mnóstwo Muscia i Bóg jeden wie, ilu innych. Każda droga ma swój koniec. Za pańskim zezwoleniem, majorze, chciałbym pokazać von Manteufflowi kilka rzeczy.

W towarzystwie żołnierzy zaopatrzonych w łopaty, latarki oraz dwa silne reflektory, przeszli do podnóża ziguratu.

–Ten zigurat jest jedynym w swoim rodzaju – powiedział Hamilton. – Wszystkie pozostałe, które znamy, są bryłą litą. Ten tutaj został podziurawiony jak plaster miodu, podobnie jak piramidy egipskie. Chodźcie, proszę, za mną.

Prowadził ich krętymi, sypiącymi się przejściami, aż doszli do niskiej komnaty o wygładzonych ścianach. Podłoga była tam mocno zaśmiecona pokruszonymi fragmentami skał oraz grubą, półmetrową warstwą żwiru. Hamilton powiedział coś do Ramireza i wskazał konkretne miejsce. Ośmiu żołnierzy natychmiast zaczęło kopać w tym samym miejscu. Wkrótce ukazała się kamienna kwadratowa płyta o boku dwóch metrów z umocowanymi na końcach żelaznymi obręczami. Po chwili w pierścieniu wsunięto żelazne pręty i płyta, nie bez znacznych trudności, została uniesiona.

W otworze ukazały się prowadzące w dół stopnie. Schodzili grubo ciosanym przejściem, aż stanęli przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

–No tak, Serrano – powiedział Hamilton – tutaj zaczyna się twoja rola. A co do ciebie, von Manteuffel, to niech twoja ostatnia myśl na ziemi krąży wokół największej złośliwości, jaką ci kiedykolwiek spletał los. Sprzedałeś serce i duszę, jeżeli w ogóle takie osiadasz, za to, co jest za tymi drzwiami. Przez wszystkie lata siedziałeś na tym i nigdy ci się nie przyśniło, że jest tutaj.

Zamilkł, jakby się głęboko nad czymś zastanawiał, po czym dodał:

–W środku jest ciemno. Nie ma tam okien ani żadnego innego źródła światła. Niech więc pan będzie tak miły, majorze, i poleci swoim ludziom, by zapalili pochodnie i reflektory. Obawiam się również, że powietrze w środku będzie trochę stęchłe, ale nie zabije nas. Ramon! Nawarro! Pomóżcie mi otworzyć te drzwi.

Okazało się, że drzwi ustępowały opornie, ale w końcu poddały się z przeraźliwym zgrzytem. Hamilton wziął jeden reflektor i wszedł do środka. Tuż za nim wtoczyła się reszta.

Obszerna, kwadratowa jaskinia została wykuta w skale. We wszystkich ścianach znajdowały się schodkowe szuflady głębokości około trzydziestu centymetrów. Widok był zadziwiający: całe pomieszczenie migotało i lśniło blaskiem tysięcy i jeszcze raz tysięcy szczerozłotych przedmiotów.

Były tam garnki, czary, zastawa stołowa; wszystko ze złota. Znajdowały się tam również hełmy, tarcze, różne płytki, naszyjniki, popiersia i figurki. Były dzwoneczki, flety, okaryny, łańcuszki, wazy, napierśniki, nakrycia na głowy, misternej roboty maski i noże także ze złota. Figurki małp, aligatorów, węży, orłów, kondorów, pelikanów, sępów i, niezliczone, jaguarów. I jakby na okrasę stało tam kilka

otwartych skrzyń skrzących się nieopisaną liczbą drogocennych kamieni, z czego ponad połowę stanowiły szmaragdy. Był to skarbiec przerastający największe marzenia każdego skąpca.

Wydawało się, że pełna podziwu cisza trwać będzie w nieskończoność.

–Zaginiony skarb Indii – przerwał wreszcie ciszę Serrano. – Eldorado z milionów snów. Hiszpanie zawsze twierdzili, że któreś z zaginionych plemion zabrało ze sobą olbrzymi skarb. Ludzkość uwierzyła w ten mit i tysiące ludzi straciło życie w poszukiwaniu tego majątku. Tylko, że to nie był mit. Żaden mit.

Było jasne, że Serrano z trudem może uwierzyć w to, co zobaczył na własne oczy.

–Bo to jednak był mit – odezwał się Hamilton. – Złoty skarb znajdował się tu przez cały czas, ale wszyscy szukali go nie tam, gdzie trzeba – wysoko w Gujanie. I wszyscy szukali nie tego, co trzeba. Sądzi, że było to królewskie złoto Inków. A to nieprawda. Ludzie, którzy to stworzyli pochodzili z plemienia Quimbaya z doliny Cauca i byli największymi mistrzami sztuki złotniczej w historii ludzkości. Dla nich złoto nie było środkiem płatniczym. Było wyłącznie dziełem sztuki.

–A Hiszpanie stopiliby to wszystko i wysłali w sztabach do Hiszpanii. Panie Hamilton, oddał pan światu sztuki nieocenioną przysługę. I był pan jedynym białym, który o tym wiedział. Mógłby pan zostać najbogatszym z ludzi.

Hamilton wzruszył ramionami.

–Kiedy raz się stałeś członkiem plemienia quimbaya – powiedział – to zostajesz nim na zawsze.

–I co z tym będzie?– spytał rzeczowo Ramirez.

–Powstanie tu muzeum narodowe. Prawowici właściciele – Muscia, powrócą i będą jego kustoszami. Niewielu ludzi jednak, obawiam się, kiedykolwiek to zobaczy. Tylko akredytowani naukowcy z całego świata, a i to po kilku jednocześnie. Rząd brazylijski, który jeszcze nie zna położenia tego miejsca, jest zdecydowany na to, by Muscia, a raczej to, co z nich zostało, nie zostali wyniszczeni przez cywilizację.

Hamilton spojrzał na von Manteuffla, który gapił się na olbrzymią fortunę, leżącą u jego stóp. Był jak sparaliżowany. Pozostali znajdowali się w podobnym stanie.

Von Manteuffel! – powiedział Hamilton.

Von Manteuffel odwrócił powoli głowę i spojrzał na niego niewidzącymi oczyma.

–Chodź! Została mi jeszcze jedna rzecz do pokazania.

Hamilton poprowadził ich do drugiej, mniejszej jaskini. W odległym jej kącie, obok siebie stały dwa sarkofagi. Nad każdym z nich umieszczono sosnową tablicę z wypalonym napisem.

–Zrobił to mój przyjaciel – powiedział Hamilton – Jim Clinton. Pamiętasz Jima Clintona? Powinieneś. Wkrótce potem zamordowałeś go. Przeczytaj! Na głos! – rozkazał.

Wciąż tym samym, dziwnym, nie widzącym wzrokiem von Manteuffel potoczył dookoła, potem spojrzał na Hamiltona i przeczytał:

–Świętej Pamięci doktor Hannibal Huston.

–A drugą?!

–Świętej Pamięci Lucy Huston Hamilton. Ukochana żona Johna Hamiltona.

Wszyscy w osłupieniu wpatrywali się w Hamiltona i z wolna zaczęli rozumieć.

–Jestem trupem – powiedział von Manteuffel.

Hamilton, wraz z Nawarrem i Ramonem, oraz von Manteuffel i pozostali, idąc tuż za nimi, ruszyli do helikoptera, który stał na skraju dziedzińca kilka zaledwie metrów od krawędzi przepaści płaskowyżu. Nagle von Manteuffel, mając dłonie wciąż skute kajdankami z tyłu, podbiegł do skraju urwiska. Ramon chciał rzucić się za nim, ale Hamilton powstrzymał go za ramię.

–Zostaw go. Słyszałeś, co powiedział. Jest trupem.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/